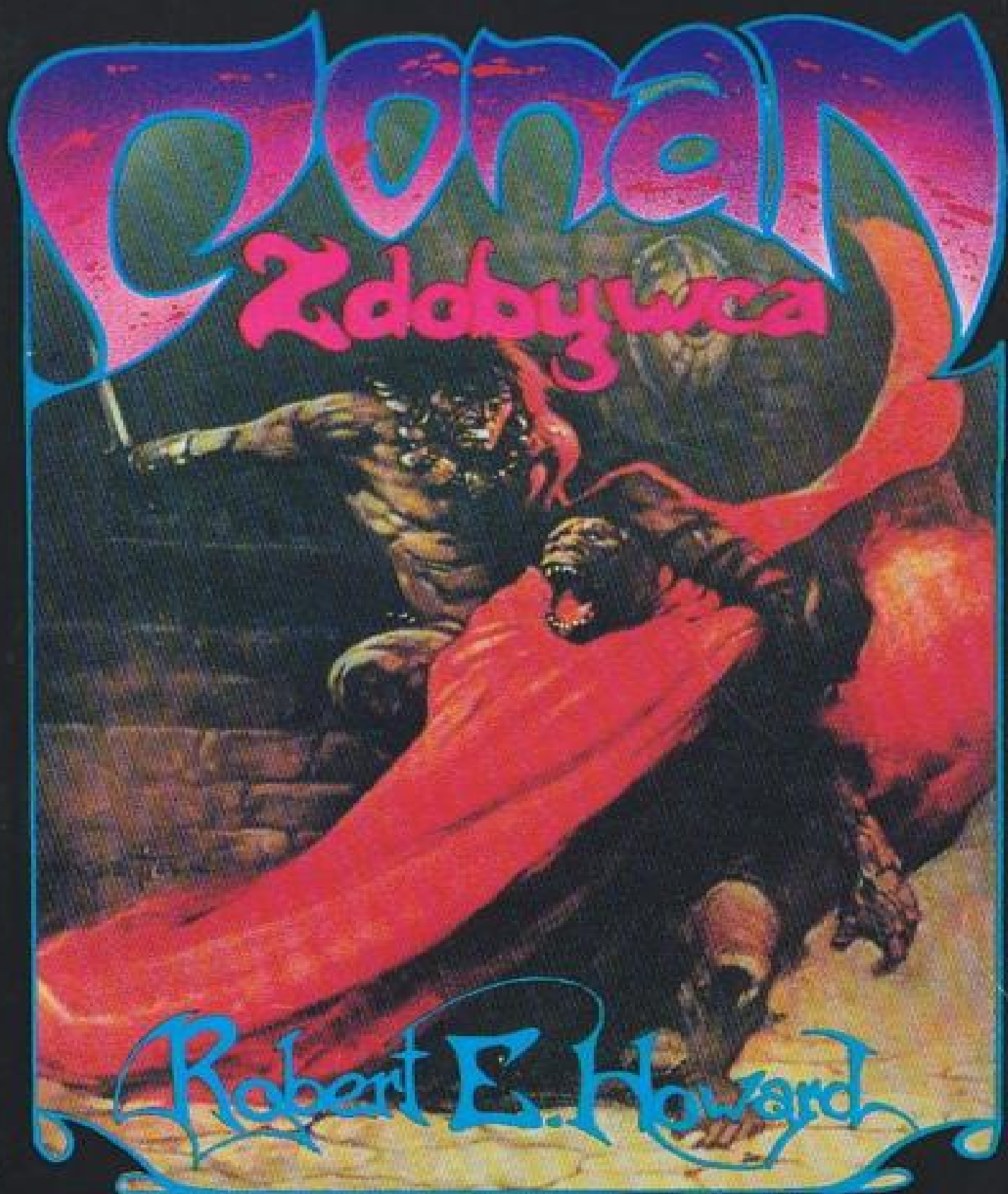


PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE



CONAN ZDOBYWCA

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN THE CONQUEROR

PRZEKŁAD: ZBIGNIEW A. KRÓLICKI

WSTĘP

Conan Cymeryjczyk jest bohaterem ponad dwóch tuzinów opowiadań Roberta Ervina

Howarda (1906–1936). Howard przez większą część swego krótkiego życia mieszkał w Cross Plains w Teksasie. Tam napisał wiele utworów przeznaczonych dla popularnych tygodników: opowiadania z Dzikiego Zachodu, kryminalne, sensacyjne i przygodowe. Jednak jego najbardziej cenionymi dziełami są opowiadania fantasy, szczególnie zaś cykl opowieści o Conanie.

Utwór z gatunku fantasy opisuje nadprzyrodzone wydarzenia rozgrywające się w

wymyślonych światach — albo na naszej planecie, takiej, jaką niegdyś miała być lub jaką będzie w bardzo odległej przyszłości, albo w jakimś innym świecie czy wymiarze: gdzie działają czary, wszyscy mężczyźni są mocarni, wszystkie kobiety piękne, problemy proste, a życie pełne przygód. Ten gatunek literacki rozwinął pod koniec dziewiętnastego stulecia William Morris oraz Lord Dunsany i Eric E. Eddison na początku dwudziestego wieku.

Howard tworzący we wczesnych latach trzydziestych należał do ich najlepszych kontynuatorów.

Za życia Howarda ukazało się osiemnaście opowieści o Conanie; kilka innych, od ukończonych rękopisów po pobeżne szkice, znaleziono w papierach pisarza po roku 1950.

Miałem zaszczyt przygotowywać do druku te ostatnie utwory i kończyć dzieła niekompletne lub zaledwie pobeżnie naszkicowane.

Ze wszystkich napisanych przez Howarda historii o Conanie niniejsza jest jedyną w formie powieści. To jeden z ostatnich utworów, jakie pisarz stworzył przed swoją nieodżałowaną samobójczą śmiercią. „Conan Zdobywca” stanowi znakomite zwieńczenie serii opowiadań o Cymeryjczyku, dzieło godne równać się z takimi utworami fantasy jak „The Worm

Ouroboros” E.R. Eddisona, „The Well of Unicom” Fletchera Pratta i „Władcy pierścienia”

J.R.R. Tolkiena. Może nie dorównuje niektórym z nich pięknem formy literackiej czy głębią filozoficznych rozważań, z pewnością jednak nie ustępuje im wart — kością akcji, barwą opisów, napięciem i rozmachem.

Wprawdzie twórczość Howarda nie jest pozbawiona pewnych wad, ale pisarz ten posiadał

niezaprzeczalny talent. Oddając się lekturze utworów o Conanie, czytelnik ma wrażenie, iż słucha samego wielkiego barbarzyńcy, siedzącego przy ognisku i opowiadającego o swoich czynach. W literaturze różnica między pisarzem z wrodzonym talentem narracyjnym a takim, który go nie posiada, jest taka jak różnica między łodzią unoszącą się na wodzie a łodzią, która natychmiast idzie na dno. Jeśli pisarz ma ten dar, możemy mu wybaczyć wiele innych wad; jeśli go nie posiada, żadne zalety nie zrekompensują tego braku, podobnie jak świeża farba i błyszczące, mosiężne okucia nie zmieniają faktu, iż łódź nie nadaje się do żeglugi.

Niniejsza powieść została pierwotnie opublikowana w odcinkach w „Weird Taks” —

periodyku, który obok wielu bezwartościowych śmieci zamieszczał sporo utworów o niezaprzeczalnej wartości literackiej. Powieść ukazała się jako „Godzina smoka”. Kiedy została wydana w postaci książkowej, tytuł zmieniono na „Conan Zdobywca”. Zachowałem późniejszy tytuł, bo chociaż „Godzina smoka” może intrygować, nie ma praktycznie nic wspólnego z akcją powieści. Dokonałem kilku niewielkich zmian w tekście, aby uniknąć pewnych drobnych niekonsekwencji oryginalnej wersji.

Conan żył, kochał i walczył w wymyślonej przez Howarda Erze Hyboryjskiej, około dwanaście tysięcy lat temu, po zatonięciu Atlantydy, w czasach nie objętych żadnymi przekazami historycznymi. Olbrzymi barbarzyńca z leżącej na północy Cymerii przybył jako młodzieniec do królestwa Zamory (patrz mapka), by przez kilka lat wieść w okolicznych krainach barwny żywot rabusia, po czym służył jako najemny żołnierz, najpierw w orientalnym królestwie Turanu, a potem w innych państwach hyboryjskich.

Zmuszony do ucieczki z Argos, Conan stał się piratem grasującym u wybrzeży Kush razem z Belit, shemicką kobietą–piratem, i jej czarnoskórą załogą. Po śmierci Belit powrócił do żołnierskiego rzemiosła w Shemie i sąsiednich królestwach. Później zaznał wielu — przygód pośród wyjętych spod prawa koczowników ze wschodnich stepów, piratów z morza Vilayet i górali z Gór Himeliańskich na granicy Iranistanu i Vendhji.

Potem znów parał się żołnierką w Koth i Argos, by powrócić na morze, najpierw jako pirat z Wysp Barachańskich, później jako kapitan statku zingarańskich bukanierów. Kiedy inni bukanierzy zatopili jego okręt, barbarzyńca narażał się na niebezpieczeństwa na lądzie, w Czarnych Krainach. Przeprowadził się na północ i został zwiadowcą na zachodnim pograniczu Akwilonii, gdzie walczył z dzikimi Piktami. Objąwszy dowodzenie akwilońską armią, Conan odparł najazd Piktów, lecz został podstępnie zwabiony do Tarantii, stolicy państwa, gdzie uwięził go zazdrosny król Numedides. Uciekwszy, został obrany przywódcą buntu przeciw tyranowi, zabił Numedidesa u stóp tronu i stał się władcą najpotężniejszego z hyboryjskich królestw.

Szybko przekonał się, że żywot króla nie jest usłany różami. Najpierw o mało co nie stracił

życia w zamachu przygotowanym przez niezadowolonych notabli. Potem w wyniku intryg uknutych przez władców Koth i Ophiru został pojmany i uwięziony, co miało umożliwić im podbój Akwilonii. Z pomocą współwięźnia — czarnoksiężnika — Conan umknął w samą porę, aby odwrócić bieg wydarzeń. Następne przygody Cymeryjczyka są opisane w niniejszej książce.

UŚPIONY, ZBUDŹ SIĘ!

Przez prawie dwa lata po wydarzeniach opisanych w „Szkarłatnej cytadeli” państwo akwilońskie rozkwita pod stanowczymi, lecz tolerancyjnymi rządami Conana. Niedysiejszy samowolny, zawzięty awanturnik wskutek kaprysu losu stopniowo przeistacza się w zdolnego i odpowiedzialnego męża stanu. Jednak w sąsiednim królestwie Nemedii uknuto spisek, aby z pomocą straszliwych czarów pozbawić tronu władcę Akwilonii. W tym czasie Conan kończy czterdzieści sześć lat, ale nie wygląda na swój wiek, wyjąwszy niezliczone blizny pokrywające jego ogromne ciało oraz nieco rozważniejsze niż w młodości podejście do wina, kobiet i przelewu krwi. Chociaż utrzymuje harem ponętnych konkubin, z żadną z nich nie zawiera oficjalnego Związku — żadnej nie czyni królową — i dlatego nie ma prawowitego syna, który odziedziczyłby po nim tron. Wrogowie Conana zamierzają w pełni wykorzystać ten fakt.

Długie płomienie świec zamigotały, kreśląc na ścianach falujące, czarne cienie, zaś aksamitne kotary zmarszczyły się. A przecież w komnacie nie było przeciągu. Czterej mężczyźni stali wokół hebanowego stołu, na którym spoczywał zielony sarkofag, lśniący jak polerowany jaspis. W uniesionej prawicy każdego z obecnych płonęła niesamowitym, zielonkawym blaskiem osobliwego kształtu czarna świeca. Na zewnątrz zapadła noc, a zabłąkany wiatr zawodził w konarach drzew.

W komnacie wśród pełnej napięcia ciszy i chybotliwych cieni cztery pary błyszczących z emocji oczu wpatrywały się w długą, zieloną skrzynię pokrytą tajemnymi hieroglifami, które

— obdarzone życiem w tym niepewnym świetle — zdawały się więc jak węże. Mężczyzna, który stał u stóp sarkofagu, pochylił się nad nim i poruszył świecą, jakby pisał piórem, kreśląc w powietrzu mistyczny symbol. Później osadził świecę w czarnym lichtarzu ze złota i mamrocząc jakieś niezrozumiałe dla towarzyszy zaklęcia, wsunął szeroką, białą dłoń pod obszytą gronostajami togę. Gdy wyjął rękę, wydawało się, iż dzierży w garści kulę żywego ognia.

Trzem pozostałym zaparło dech z wrażenia, a śniady, potężny mężczyzna stojący u wezglowia sarkofagu wyszeptał:

— Serce Arymana!

Kapłan szybkim gestem nakazał mu milczenie. Gdzieś żałośnie zawył pies, a zza

zamkniętych i zaryglowanych drzwi dobiegł szmer skradających się kroków. Jednak żaden z zebranych nie oderwał wzroku od sarkofagu, nad którym człowiek w lamowanej gronostajami szacie poruszał wielkim, roziskrzonym klejnotem, mrużąc zaklęcia starsze niż Atlantyda.

Blask kamienia oślepił ich, tak że nie byli pewni, co widzą; jednak rzeźbiona pokrywa sarkofagu wyrzuciła się i pękła z traskiem, jakby wypchnięta przemożną siłą. Czterej mężczyźni pochyliwszy się niecierpliwie nad trumną, ujrzeli jej zawartość — skuloną, pomarszczoną i wyschniętą postać o brązowych członkach wyzieraających niczym zmurszałe gałęzie spod zbutwiałych bandaży.

— Ożywić coś takiego? — mruknął z sardonycznym uśmieszkiem drobny, ciemnoskóry człowieczek stojący po prawej. — Rozpadnie się za lada dotknięciem. Jesteśmy głupcami...

— Sza! — syknął rozkazująco wysoki mężczyzna, który dzierżył klejnot. Pot wystąpił mu na szerokie, białe czoło, a oczy rozszerzyły się jak spodki. Pochylił się i nie dotykając mumii, złożył lśniący kamień na jej piersi. Potem cofnął się i spoglądał w napięciu, a jego wargi poruszały się, powtarzając bezgłośnie zaklęcie.

Kula żywego ognia migotała, płonąć na martwym, wyschniętym łonie. Nagle obserwujący to z sykiem wciągnęli powietrze przez zaciśnięte zęby, gdyż na ich oczach dokonała się straszliwa przemiana. Zaszuszone postać w sarkofagu zaczęła rosnąć, poszerzać się i wydłużać. Bandaże pękły i rozsypały się w brązowy proch. Skurczone kończyny nabrzmiały, wyprostowały się i zaczęły tracić ciemną barwę.

— Na Mitrę! — szepnął wysoki, jasnowłosy mężczyzna po lewej. — On istotnie nie był Stygijczykiem. Przynajmniej to jest prawdą.

Drżący palec ponownie nakazał milczenie. Pies w oddali już nie wył. Teraz skamlał jak w koszmarnym śnie, a niebawem i ten odgłos zamarł i w ciszy, która teraz zapadła, jasnowłosy wyraźnie słyszał skrzypienie ciężkich drzwi, jakby ktoś silnie napierał na nie z zewnątrz.

Chwyciwszy za miecz, obrócił się ku drzwiom, ale człowiek w gronostajowej szacie syknął ostrzegawczo:

— Zostań! Nie przerywaj łańcucha! I nie podchodź do drzwi, jeśli ci życie miłe!

Jasnowłosy wzruszył ramionami, odwrócił się i stanął jak wryty, wytrzeszczając oczy. W jaspisowym sarkofagu leżał żywy człowiek: wysoki, krzepki, nagi, o białej skórze, z czarnymi włosami i brodą. Leżał nieruchomo, z szeroko otwartymi oczyma, pustymi i niewidzącymi jak u noworodka. Na jego piersi wciąż płonął skrząc się wielki klejnot.

Mężczyzna w gronostajach zatoczył się, jak ktoś ogarnięty słabością po chwilach ogromnego napięcia.

— Na Isztar! — sapnął. — To Xaltotun! I on żyje! Valeriusie! Tarascusie! Amalryku! Czy widzicie? Widzicie? Wątpiliście we mnie, ale ja nie zawiodłem! Tej nocy byliśmy o krok od rozwartych wrót piekieł, a wokół nas zbierały się bestie ciemności — o tak, poszły za nim do samych wrót — ale przywróciliśmy wielkiego maga do życia.

— I nie wątpię, iż skazaliśmy nasze dusze na wieczyste męki — mruknął niski, ciemnoskóry Tarascus.

Jasnowłosy Valerius zaśmiał się chrapliwie.

— Jakież męki mogą być gorsze od samego życia? Przecież wszyscy jednako jesteśmy przeklęci od dnia narodzin. A poza tym, któż nie oddałby swojej nędznej duszyczki za tron?

— W jego spojrzeniu nie ma inteligencji, Orastesie — rzekł olbrzymi Amalryk.

— Długo był martwy — odparł Orastes. — Jest jak człowiek nagle przebudzony. Jego umysł jest pusty po długim śnie. Nie, źle mówię, on był martwy, nie uśpiony. Sprowadziliśmy jego duszę przez otchłanie nocy i zapomnienia. Ja doń przemówię.

Pochylił się nad sarkofagiem i wbiwszy spojrzenie w szeroko otwarte, czarne oczy spoczywającego tam człowieka, rzekł powoli:

— Zbudź się, Kaltotunie!

Wargi tamtego poruszyły się machinalnie.

— Xaltotun! — powtórzył głuchym szeptem.

— Tyś jest Xaltotun! — zawołał Orastes, jak hipnotyzer wmawiający coś swemu medium.

— Ty jesteś Xaltotun z Pythonu w Acheronie.

W ciemnych oczach pojawił się nikły błysk.

— Byłem Xaltotunem — wyszeptał. — Jestem martwy.

— Jesteś Xaltotunem! — wykrzyknął Orastes. — Nie jesteś martwy! Żyjesz!

— Jam jest Xaltotun — dał się słyszeć upiorny szept. — Ale jestem martwy. W moim domu w Khemi, w stygijskiej krainie, tam umarłem.

— Kapłani, którzy cię otruli, zmumifikowali twe ciało swą tajemną sztuką, pozostawiając wszystkie narządy nienaruszone! — zakrzyknął Orastes. — A teraz znów żyjesz! Serce Arymana przywróciło ci życie, ściągnąwszy twoją duszę spoza czasu i przestrzeni.

— Serce Arymana! — płomyk wspomnień zapłonął jaśniej. — Ukradli mi je barbarzyńcy!

— Zachował pamięć — mruknął Orastes. — Wyjmijcie go ze skrzyni.

Posłuchali niechętnie, jakby obawiając się dotknąć człowieka, którego wskrzesili, i wcale nie stali się śmielsi, gdy poczuli pod palcami jędrne, muskularne ciało tętniące krwią i życiem. Przenieśli go na stół, gdzie Orastes oblekł Xaltotuna w dziwną szatę z czarnego aksamitu, ozdobionego złotymi gwiazdami i półksiężycami, a na skronie założył opaskę ze złotogłowiu, przytrzymując opadające na ramiona maga czarne pukle włosów.

Tamten pozwalał robić ze sobą wszystko, nic nie mówiąc, nawet wówczas gdy posadzili go na rzeźbionym, przypominającym tron fotelu z wysokim, hebanowym oparciem, szerokimi, srebrnymi

poręczami i nogami w kształcie złotych szponów. Siedział nieruchomo i z wolna w jego czarnych oczach pojawił się błysk inteligencji, który czynił je głębokimi, dziwnymi i świetlistymi. Wyglądało to tak, jakby dawno zatopione błędne ogniki wypływały niespiesznie z otchłannych głębi nocy.

Orastes zerknął ukradkiem na towarzyszy, którzy stali, wpatrując się w ponurym milczeniu w niezwykłego gościa: ich stalowe nerwy wytrzymały próbę, która słabszych przyprawiłaby o utratę zmysłów. Wiedział, że nie spiskuje ze słabeuszami, lecz z mężczyznami o odwadze równie wielkiej co ich wybujałe ambicje i zdolność czynienia zła. Ponownie skierował uwagę na postać zasiadającą w hebanowym fotelu, która w końcu przemówiła.

— Pamiętam — rzekła silnym, dźwięcznym głosem po nemedyjsku z dziwnym, archaicznym akcentem. — Jam jest Xaltotun, który był arcykapłanem Seta w stolicy Acheronu Pythonie. Serce Arymana — śniłem, że znów je znalazłem — gdzie ono?

Orastes położył mu je na dłoni i wstrzymał oddech, spoglądając w głąb straszliwego klejnotu, który płonął w garści czarodzieja.

— Ukradli mi je dawno, dawno temu — rzekł. — To krwawe serce mroku, mogące przynieść ratunek lub zgubę. Przybyło z daleka i dawno temu. Kiedy je miałem, nikt nie mógł mi sprostać. Jednak skradziono mi je i Acheron padł, a ja poszedłem na wygnanie do mrocznej Stygii. Wiele pamiętam, lecz wiele zapomniałem. Byłem w odległej krainie, za mglistymi otchłaniami i zatokami, za oceanami mroku. Który mamy rok?

— Schyłek roku Lwa — odparł Orastes. — Trzy tysiące lat po upadku Acheronu.

— Trzy tysiące lat! — wymamrotał tamten. — Tak długo? Kim jesteście?

— Ja jestem Orastes, niegdyś kapłan Mitry. Ten człowiek to Amalryk, baron Tor w Nemedii; tamten to Tarascus, młodszy brat króla Nemedii; zaś ten wysoki to Valerius, prawowity dziedzic tronu Akwilonii.

— Dlaczego przywróciliście mnie do życia? — dopytywał i. — Czego ode mnie chcecie?

W pełni ożywiony i przytomny, a bystre spojrzenie ujawniało pracę sprawnego umysłu. W

jego zachowaniu nie było cienia wahania czy niepewności. Przeszedł od razu do sedna sprawy jak ktoś, kto wie, że nie daje się niczego za darmo. Orastes odplacił mu szczerością za szczerość.

— Tej nocy otworzyliśmy wrota piekieł, aby uwolnić twą duszę i przywrócić ją ciału, ponieważ potrzebujemy twojej pomocy. Chcemy umieścić Tarascusa na tronie Nemedii, zaś dla Valeriusa zdobyć koronę Akwilonii. Możesz nam pomóc swą czarnoksięską sztuką.

Xaltotun był przebiegły, a jego myśli wędrowały niespodziewanymi torami.

— Ty sam musisz być głęboko wtajemniczony w ową sztukę, Orastesie, jeśli zdołałeś przywrócić mi życie. Jak to możliwe, by kapłan Mitry wiedział o Sercu Arymana i znał

zaklęcia Skelos?

— Już nie jestem kapłanem Mitry — odparł Orastes. — Pozbawiono mnie tej godności, ponieważ uprawiałem czarną magię. Gdyby nie obecny tu Amalryk, zostałbym spalony jako czarownik. Jednak dzięki temu, co się stało, mogłem kontynuować moje badania.

Podróżowałem po Zamorze, Vendhji, Stygii oraz przez pełne duchów dżungle Khitaju.

Czytałem oprawne w żelazo księgi Skelos i rozmawiałem z niewidzialnymi istotami otchłani oraz bezcielesnymi zjawami w cuchnących, mrocznych dżunglach. Ujrzałem twój sarkofag w nawiedzanych przez demony kryptach pod czarną, otoczoną gigantycznym murem świątynią Seta w samym sercu Stygii i opanowałem umiejętność przywracania życia zasuszonemu ciału. Ze zbutwiałych manuskryptów dowiedziałem się o Sercu Arymana. Potem przez rok szukałem miejsca, gdzie je ukryto, nim w końcu je znalazłem.

— Czemu więc zadałeś sobie trud, aby przywrócić mnie do życia? — spytał Xaltotun, mierząc kapłana przenikliwym spojrzeniem. — Dlaczego nie użyłeś Serca, aby powiększyć własną moc.

— Ponieważ nikt z żyjących dziś ludzi nie zna tajemnic Serca — odparł Orastes. — Nawet w legendach nie przetrwała sztuka wyzwalania jego pełnej potęgi. Wiedziałem, że może wskrzeszać umarłych; o innych jego mocach nie mam pojęcia. Użyłem go, aby cię wskrzesić.

Pragniemy skorzystać z twojej wiedzy. Tylko ty znasz straszliwe tajemnice Serca.

Xaltotun potrząsnął głową, ponuro spoglądając w płomienne głębie klejnotu.

— Moja wiedza czarnoksięska jest większa od całej wiedzy wszystkich ludzi — rzekł. — A jednak nie znam pełnej mocy kamienia. Dawniej nie przywoływałem jej, bacząc jedynie, aby nie została użyta przeciwko mnie. W końcu skradziono mi klejnot, który w rękach przybranego w pióra szamana barbarzyńców przemógł całą potęgę mych czarów. Potem kamień zniknął, a ja zostałem otruty przez zawistnych stygijskich kapłanów, zanim zdołałem poznać miejsce jego ukrycia.

— Ukryto go w jaskini pod świątynią Mitry w Tarantii — powiedział Orastes. —

Podstępem wydobyłem tę wiadomość po tym, jak odnalazłem twoje szczątki w podziemnej świątyni Seta w Stygii. Zamorańscy złodzieje, częściowo chronieni zaklęciami, jakie poznałem ze źródeł, o których lepiej nie wspomnę, wykradli twoją mumię ze szponów tych, którzy strzegli jej w ciemności, a karawana wielbłądów, galera i zaprzęg mułów dowiozły ją wreszcie do tego miasta. Ci sami złodzieje — a raczej ci, którzy przeżyli tę okropną wyprawę

— skradli Serce Arymana z pełnej duchów pieczary pod świątynią Mitry, przy czym cały ich kunszt i moje czarnoksięskie zaklęcia nieomal zawiodły. Jeden ze złodziei żył dość długo, by do mnie dotrzeć i oddać mi klejnot, nim umarł, mając o tym, co widział w tej przeklętej krypcie. Zamorańscy złodzieje są zawsze uczciwi wobec tego, kto ich wynajął. Nawet z pomocą mych zaklęć nikt prócz

nich nie zdołałby wykraść klejnotu z ciemności, w jakich pod strażą demonów spoczywał przez trzy tysiące lat, od upadku Acheronu.

Xaltotun uniósł swoją lwią głowę i zapatrzył się w przestrzeń, jakby usiłując wniknąć w minione stulecia.

— Trzy tysiące lat! — mruknął. — Na Seta! Opowiedz mi, co zdarzyło się w tym czasie.

— Barbarzyńcy, którzy zniszczyli Acheron, utworzyli nowe królestwa — rzekł Orastes. —

Tam, gdzie niegdyś rozpościerało się imperium, teraz wznoszą się królestwa zwane Akwilonią, Nemedią i Argos, nazwane tak od plemion, które je założyły. Starsze królestwa, Ophir, Corinthia i zachodnie Koth, kiedyś wasale królów Acheronu, wraz z upadkiem imperium odzyskały swoją niepodległość.

— A co z ludem Acheronu? — pytał Xaltotun. — Kiedy uciekałem do Stygii, Python leżał

w ruinach, a wszystkie wielkie grody o purpurowych wieżach spłynęły krwią i zostały zdeptane stopami barbarzyńców.

— Niewielkie górskie plemiona nadal przechwalają się tym, że wywodzą się od

Acherończyków — odparł były kapłan. — Co do pozostałych, moi barbarzyńscy przodkowie przetoczyli się po nich i starli ich z powierzchni ziemi. Oni, moi przodkowie, wiele wycierpieli od władców Acheronu.

Wargi Pythończyka wykrzywił okrutny i straszny uśmiech.

— O tak! Niejeden barbarzyńca, czy to kobieta czy mężczyzna, zginął, wrzeszcząc na ołtarzu, z tej oto ręki. Widziałem, jak na głównym placu Pythonu usypano z ich głów piramidę, kiedy królowie wracali z zachodu, wioząc łupy i nagich jeńców.

— Tak. A kiedy nadszedł dzień zapłaty, nie szczędzono mieczów. I tak Acheron przestał

istnieć, a Python purpurowych wieżyc stał się tylko wspomnieniem. Jednak na ruinach imperium powstały i rosły w potęgę nowe królestwa. Teraz sprowadziliśmy cię z powrotem, abys pomógł nam władać tymi królestwami, które — choć nie tak niezwykle i wspaniałe jak niegdyjszy Acheron — są bogate i potężne, zaprawdę warte, aby o nie walczyć. Spójrz!

Orastes rozwinął przed nim kunsztownie nakreśloną na pergaminie mapę.

Xaltotun popatrzył na nią i potrząsnął głową skonfudowany.

— Nawet zarysy lądów się zmieniły. To jest tak, jak z jakąś znaną ci rzeczą widzianą we śnie i fantastycznie zniekształconą.

— Wszelako — odparł Orastes, wodząc po mapie palcem — tu widzisz Belverus, stolicę Nemedii,

gdzie się znajdujemy. A tu biegną granice ziem nemedijskich. Na południu i na południowym wschodzie leżą Ophir i Corinthia, na wschodzie Brythunia, a na zachodzie Akwilonia.

— To mapa świata, którego nie znam — rzekł spokojnie Xaltotun, lecz Orastes dojrzał błysk nienawiści w czarnych oczach maga.

— To mapa świata, który pomożesz nam zmienić — powiedział Orastes. — Na początek jest naszym życzeniem osadzić Tarascusa na tronie Nemedii. Pragniemy osiągnąć ten cel bez rozlewu krwi i w sposób, który nie rzuci na Tarascusa żadnych podejrzeń. Nie chcemy, aby kraj został rozdarty wojną domową, lecz by zachował całą swą potęgę na podbój Akwilonii.

Gdyby król Nimed i jego synowie zmarli śmiercią naturalną, na przykład podczas zarazy, Tarascus zasiadłby na tronie jako prawowity dziedzic w pokoju i bez przeszkód.

Xaltotun, nie odpowiadając, kiwnął głową, zaś Orastes mówił dalej.

— Drugie zadanie będzie trudniejsze. Nie możemy osadzić Valeriusa na akwilońskim tronie bez wojny, a to królestwo jest potężnym przeciwnikiem. Jego lud to rasa twarda i wojownicza, zahartowana w ciągłych walkach z Piktami, Zingarańczykami oraz

Cymeryjczykami. Przez pięćset lat Akwilonia i Nemedia nieustannie toczyły wojny i ostateczne zwycięstwo zawsze należało do Akwilończyków. Ich obecny król jest

największym wojownikiem pośród ludów zachodu. To cudzoziemiec, awanturnik, który przemocą przejął władzę w czasie wojny domowej, udusiwszy własnoręcznie króla

Numedidesa na stopniach tronu. Zwie się Conan i żaden człowiek nie sprosta mu w boju.

Teraz Valerius jest prawowitym dziedzicem tronu. Został wygnany przez swego królewskiego krewniaka, Numedidesa, i od wielu lat przebywa na obczyźnie; jednak w jego żyłach płynie krew starej dynastii, a wielu baronów w duchu pochwaliliby obalenie Conana, który jest nikim, bez odrobiny królewskiej czy choćby tylko szlacheckiej krwi. Jednak pospólstwo sprzyja mu, podobnie jak szlachta z co odleglejszych prowincji. Gdyby jednak jego siły zostały pokonane w bitwie, od której wszystko musi się zacząć, i gdyby Conan poległ, nie sądzę, aby trudno przyszło nam osadzić Valeriusa na tronie. W rzeczy samej, wraz ze śmiercią Conana przestałby istnieć jedyny ośrodek władzy. On nie wywodzi się z żadnej dynastii, jest samotnym awanturnikiem.

— Chciałbym zobaczyć tego króla — zadumał się Xaltotun, zerkając na srebrne lustro wypełniające jeden z kasetonów ściany. Lustro nie dawało odbicia, lecz wyraz twarzy Xaltotuna zdradzał, że rozumie jego przeznaczenie, na co Orastes skinął głową z dumą, jaką czerpie rzemieślnik z wyrazów uznania złożonych przez mistrza swego fachu.

— Spróbuję ci go pokazać — rzekł i zasiadłszy przed lustrem, wpatrzył się hipnotycznym spojrzeniem w jego głębie, gdzie w końcu pojawił się rozmazany kształt.

Było to niesamowite, ale widzowie wiedzieli, iż mają przed oczyma jedynie odbicie myśli Orastesa

ukazanych w zwierciadle, tak samo jak myśli czarnoksiężnika pojawiają się w magicznej kuli. Mglisty i falujący obraz nagle nabrał zdumiewającej wyrazistości — ujrzeli wizerunek wysokiego mężczyzny o szerokich barach i potężnie umięśnionym torsie, odzianego w jedwabie i atłasy. Na jego bogato haftowanym kaftanie pyszniły się złote lwy Akwilonii, a na równo przyciętej grzywie czarnych włosów lśniła korona, lecz te symbole królewskiej władzy mniej zdawały się doń pasować niż wielki miecz u jego boku. Czoło miał

niskie i szerokie, zaś jasnoniebieskie oczy jakby płonęły jakimś wewnętrznym ogniem.

Śniada, poznaczona bliznami i niemal odpychająca twarz była obliczem wojownika, a aksamitne szaty nie zdołały ukryć kanciastych linii mocarnego ciała.

— To nie jest Hyboryjczyk! — wykrzyknął Xaltotun.

— Nie. To Cymeryjczyk, przedstawiciel tych dzikich plemion, które zamieszkują szare wzgórza północy.

— Walczyłem z jego praprzodkami — mruknął Xaltotun. — Nawet królowie Acheronu nie zdołali ich podbić.

— Nadal są postrachem ludów południa — odparł Orastes. — A on jest prawdziwym synem swej dzikiej rasy, jak dotąd niezwyciężonym.

Xaltotun nie odpowiedział; siedział, wpatrując się w kulę żywego ognia migoczącego w jego dłoni. Na zewnątrz znów przeciągle i przejmująco zawył pies.

PODMUCH CZARNEGO WIATRU

Rok Smoka narodził się wśród wojny, zarazy i niepokoju. Czarny mór kroczył ulicami Belverusu, powalając kupca w jego kramie, niewolnika w szopie i rycerza przy biesiadnym stole. Bezradni byli wobec niego cyrulicy ze swą sztuką. Ludzie powiadali, iż jest on piekielną karą za grzech pychy i lubieżności. Niósł śmierć szybką i nieuchronną jak ukąszenie żmii. Skóra ofiary stawała się najpierw czerwona, potem czarna i po kilku minutach ofiara osuwała się na ziemię w agonii, czując w nozdrzach fetor własnego rozkładu, jeszcze nim śmierć wyrwała duszę z gnijącego ciała. Z południa nieustannie wiał gorący, wyjący wichur, zbiory marniały na polach, a bydło zdychało na pastwiskach.

Ludzie wzywali Mitrę i pomstowali na króla, ponieważ jakimś sposobem po całym

państwie rozeszła się plotka, iż król w zaciszu swego pałacu potajemnie oddaje się odrażającym praktykom i plugawym orgiom. A potem szczerząca zęby śmierć zakradła się i do pałacu, zaś wokół jej stóp kłębiły się okropne opary zarazy. I tej samej nocy umarł król ze swymi trzema synami, a zwiastujące ich śmierć werble żałobne zagłuszyły ponury i złowrogi brzęk dzwonek u toczących się przez ulice wozów, na które zbierano gnijące zwłoki.

Tejże nocy tuż przed świtem gorący wiatr, który wiał od tygodni, przestał złowieszczo szeleścić jedwabnymi zasłonami. Z północy nadszedł wichur i zaryczał pośród wież; straszliwie zagrzmiało, oślepiające błyskawice przecięły niebo i lunął deszcz. A rankiem wszystko było czyste, zielone i jasne; spalona ziemia okryła się welonem traw, spragnione zboża wykiełkowały na nowo i zaraza odeszła, gdyż porywisty wiatr wywiał z kraju jej miazmaty.

Powiadano, iż bogowie są radzi, bowiem zły król szezł wraz ze swym pomiotem, i kiedy jego młodszy brat Tarascus został koronowany w wielkiej sali tronowej, lud, witając króla, któremu sprzyjali bogowie, wiwatował, aż trzęsły się miejskie wieże.

Taka fala entuzjazmu i euforii jak ta, która przetoczyła się przez Nemedię, często zapowiada zaborczą wojnę. Tak więc nikt się nie dziwił, kiedy obwieszczono, że król Tarascus uznał rozejm zawarty przez zmarłego władcę z sąsiadami z zachodu za nieważny i zaczął zbierać wojska, szykując najazd na Akwilonię. Jego rozumowanie było jasne; szeroko rozgłaszane motywy przydawały jego planom pozornego splendoru krucjaty. Popierał sprawę Valeriusa, „prawowitego dziedzica tronu”, przybywał — jak głosił — nie jako wróg Akwilonii, lecz jako przyjaciel, aby wyzwolić jej lud spod tyranii uzurpatora i cudzoziemca.

Jeśli nawet w pewnych kręgach uśmiechano się cynicznie i szeptano o dobrym przyjacielu króla, Amalryku, którego ogromny majątek zdawał się płynąć do mocno opustoszałego królewskiego skarbcza, to na fali powszechnego zapału i popularności Tarascusa nie zwracano na to uwagi. Jeśli nawet jakiś bystry osobnik podejrzewał, że prawdziwym, choć zakulisowym władcą Nemedii jest Amalryk, to wystrzegał się głoszenia podobnych herezji. I tak z entuzjazmem rozpoczęto wojnę.

Król i jego sprzymierzeńcy wyruszyli na zachód na czele pięćdziesięciu tysięcy zbrojnych

— rycerzy w lśniących pancerzach i z proporczykami powiewającymi nad hełmami,

pikinierów w stalowych kołpakach i łuskowych półpancerzach oraz kuszników w skórzanych kaftanach. Przekroczyli granicę, wzięli przygraniczny zamek i spalili trzy górskie wioski, by w dolinie Valkii, dziesięć mil w głąb kraju, stanąć naprzeciw sił Conana, króla Akwilonii —

liczących czterdzieści cztery tysiące rycerzy, łuczników i zbrojnych, kwiatu akwilońskiej potęgi. Tylko rycerze z Poitain pod wodzą Prospera jeszcze nie dotarli, gdyż musieli jechać aż z południowo-zachodniego krańca królestwa. Tarascus uderzył bez ostrzeżenia. Inwazja na Akwilonię nastąpiła natychmiast po zerwaniu przez niego rozejmu, bez formalnego wypowiedzenia wojny.

Obie armie stanęły naprzeciw siebie, przedzielone szeroką, płytką doliną z urwistymi ścianami skalnymi oraz niegłębokim strumieniem wijącym się wśród trzciny i wierzb na jej dnie. Markietanki obu wojsk zeszyły zaczerpnąć zeń wody i miotały na siebie obelgi oraz kamienie. Ostatnie promienie słońca padły na złocisty sztandar Nemedii ze szkarłatnym smokiem, który łopotał na wietrze ponad stojącym na wzniesieniu przy wschodnim urwisku namiotem króla Tarascusa. Cień zachodniej ściany kładł się jak ogromny purpurowy całun na akwilońską armię i czarny proporzec z złotym lwem, powiewający nad namiotem króla Conana.

Przez całą noc jak dolina długa i szeroka paliły się ogniska, a wiatr niósł granie fanfar, szczęk oręża i urywane okrzyki wart przemierzających konno oba brzegi porośniętego łożami strumyka.

Jeszcze nie zaczęło szarzyć, gdy król Conan niespokojnie poruszył się na swym łożu, skleconym z jedwabiu oraz futer ciśniętych na drewniane podium. Obudził się i zerwał z chrapliwym okrzykiem, chwytając za miecz. Pallantides — jeden z jego dowódców — który przybiegł, słysząc ten krzyk, ujrzał swego króla siedzącego na posłaniu, z dłonią na rękojeści miecza i z grubymi kroplami potu spływającymi po dziwnie pobladłej twarzy.

— Wasza Wysokość! — zawołał Pallantides. — Czy coś się stało?

— Co z obozem? — dopytywał się Conan. — Czy warty wystawione?

— Pięciuset konnych patroluje strumień, Wasza Wysokość — odparł generał. —

Nemedyjczycy nie zdecydowali się zaatakować nas w nocy. Czekają na świt, tak jak my.

— Na Croma — mruknął Conan. — Obudziłem się, czując że w mroku czai się jakieś niebezpieczeństwo.

Spojrzał na wielką, złotą lampę rzucającą łagodny blask na aksamitne zasłony i kobierce w olbrzymim namiocie. Byli sami; żaden niewolnik czy giermek nie spał na pokrytej dywanami podłodze, lecz miecz drżał w dłoni Conana, a oczy jarzyły się takim samym blaskiem, jakim paliły się w chwilach największego niebezpieczeństwa. Pallantides obserwował go z niepokojem. Conan zdawał się nasłuchiwać.

— Słuchaj! — syknął. — Czy słyszysz? Ktoś się skrada!

— Siedmiu rycerzy strzeże twego namiotu, Wasza Wysokość — uspokajał go Pallantides.

— Nikt nie zdołałby się tu dostać nie zauważony.

— Nie na zewnątrz — warknął barbarzyńca. — Zdawało mi się, że słyszę kroki w namiocie.

Pallantides powiódł wokół zdziwionym spojrzeniem. Aksamitne kotary zlewały się w kątach z cieniami, lecz gdyby w namiocie znajdował się ktoś oprócz nich, generał z pewnością by go dostrzegł. Ponownie potrząsnął głową.

— Nie ma tu nikogo, panie. Spisz pośród swej armii.

— Widziałem, jak śmierć dosięgła króla wśród tysięcznego tłumu — mruknął Conan. —

Coś, co stąpa na niewidzialnych stopach niewidoczne dla oczu...

— Pewnie miałeś zły sen, Wasza Wysokość — rzekł Pallantides, nieco zbity z tropu.

— Bo też miałem — odburknął Cymeryjczyk. — Dziwny, diabelski sen. Jeszcze raz

kroczyłem tymi wszystkimi długimi, nużącymi drogami, które przebyłem, by wstąpić na tron.

Zamilkł, a Pallantides spoglądał nań bez słowa. Dla generała, tak jak dla większości cywilizowanych ludzi, król stanowił zagadkę. Pallantides wiedział, iż Cymeryjczyk w swym dzikim, burzliwym życiu przemierzył wiele osobliwych dróg i parał się przeróżnymi zajęciami, zanim kaprys Losu osadził go na tronie Akwilonii.

Znów widziałem pole walki, na którym się urodziłem — zaczął Conan, w zadumie

opierając brodę na potężnej pięści. — Widziałem siebie w przepasce z lamparciej skóry, rzucającego włócznią w górskie bestie. Ponownie byłem najemnym żołnierzem, hetmanem kozaków zamieszkujących brzegi Zaporoski, korsarzem plądrującym wybrzeża Kush, piratem z Wysp Barachańskich, wodzem himelijskich górali. Byłem każdym z nich i śniłem o tym wszystkim; wszystkie postacie, którymi byłem, przesunęły się przede mną w nie kończącym się pochodzie, a ich stopy wybijały rytm pieśni żałobnej w pyłe gościńca. Lecz przez cały czas widziałem też dziwne, zakapturzone postacie i upiorne cienie, a jakiś głos z oddali naigrawał się ze mnie. Na koniec zaś ujrzałem siebie leżącego na tym posłaniu w tym namiocie, a nade mną pochylała się postać owinięta opończą z kapturem. Leżałem, nie mogąc się ruszyć, aż nagle kaptur opadł i spod niego wyszczerzył do mnie zęby gnijący czerep.

Wtedy się przebudziłem.

— To koszmarny sen, Wasza Wysokość — rzekł Pallantides, opanowując dreszcz. — Nic więcej.

Conan potrząsnął głową, bardziej z powątpiewaniem niż przecząco. Pochodził z

barbarzyńskiej rasy i tuż pod powierzchnią jego zdrowego rozsądku czaiły się odziedziczone po przodkach instynkty i przesady.

— Miałem wiele koszmarnych snów — powiedział. — I większość z nich nie miała

żadnego znaczenia. Jednak ten, na Croma, był inny od wszystkich! Chciałbym, żebyśmy mieli już za sobą tę bitwę i zwycięstwo, bo od kiedy król Nimed umarł od zarazy, mam złe przeczucia. Dlaczego mór ustąpił po jego śmierci?

— Mówią, że grzeszył...

— Głupie gadanie — mruknął Conan. — Gdyby zaraza padała na każdego grzesznika, to, na Croma, nie miałyby kto liczyć ocalałych! Dlaczego bogowie, o których kapłani powiadają, iż są sprawiedliwi, mieliby zabijać pięciuset wieśniaków, kupców i szlachciców przed zgładzeniem króla, jeśli mór miał być przeznaczony dla niego? Czyżby bogowie uderzali na oślep jak walczący we mgle? Na Mitrę, gdybym ja tak wymierzał ciosy, Akwilonia już dawno miałaby nowego króla. Nie!

Czarny mór nie był zwykłą zarazą. On czai się w stygijskich grobowcach i przywołują go tylko czarnoksiężnicy. Kiedy służyłem w armii księcia Almurica, gdy ten najechał Stygię, z trzydziestu tysięcy naszych piętnaście tysięcy padło od stygijskich strzał, a reszta od morowej zarazy, która przewaliła się przez nas jak wiatr z południa. Tylko ja ocalałem.

— A przecież w Nemedii umarło ledwie pięciuset — spierał się Pallantides.

— Ktokolwiek przywołał tę zarazę, wiedział, jak położyć jej kres — odrzekł Conan. —

Zatem wiem, że ma to jakiś zaplanowany i diabelski cel. Ktoś ściągnął mór i odwołał go, kiedy spełnił swe zadanie, gdy Tarascus zasiadł na tronie, sławiony jako ten, który zbawił lud przed gniewem bogów. Na Croma, wyczuwam w tym mroczny i chytry umysł. Co wiemy o tym nieznanym, który, jak powiadają, służy radą Tarascusowi?

— Zakrywa twarz — odparł Pallantides — i mówią, iż jest cudzoziemcem, przybyszem ze Stygii.

— Przybysz ze Stygii! — powtórzył Conan, marszcząc brwi. — Raczej przybysz z piekieł!

Ha! A cóż to takiego?

— Trąby Nemedyczyków! — wykrzyknął Pallantides. — Posłuchaj, jak odpowiada im granie naszych! Już świta i kapitanowie szykują oddziały do boju! Niech Mitra będzie z nami, gdyż wielu z nas nie zobaczy, jak słońce zajdzie dziś za te skały.

— Przyślij mi moich giermków! — zawołał Conan, zrywając się z posłania i zrzucając atłasową nocną szatę; perspektywa działania sprawiła, że zdał się zapomnieć o złych przeczuciach. — Idź do kapitanów i dopilnuj, żeby wszystko było przygotowane. Dołączę do ciebie, gdy tylko przywdzieję zbroję.

Wiele zwyczajów Cymeryczyka pozostawało zagadką dla cywilizowanych ludzi, którymi rządził, a

jednym z nich był upór, z jakim nalegał, aby spać samotnie w swej komnacie czy w namiocie. Pallantides pospiesznie opuścił kwaterę, brzęcząc zbroją, którą założył o północy, po kilku godzinach snu.

Szybkim spojrzeniem omiół budzące się do życia obozowisko; chrzęściły pancerze, a w niepewnym świetle rysowały się ludzkie sylwetki przemykające między długimi rzędami namiotów. Gwiazdy wciąż blado migotały na zachodzie, lecz od wschodu na horyzoncie widać już było długie, różowe smugi, a na ich tle sztandar Nemedii ze smokiem wydymający swe jedwabne fałdy.

Pallantides skierował się ku stojącemu opodal mniejszemu namiotowi, w którym spali królewscy giermkowie. Już gramolili się na zewnątrz, obudzeni graniem trąb. Pallantides właśnie ponaglał ich, gdy urwał w pół słowa, słysząc dobiegający z głębi królewskiego namiotu donośny okrzyk i głuchy odgłos ciosu, po czym rozległ się zapierający dech w piersi łoskot padającego ciała, a potem cichy śmiech, który zmroził krew w żyłach generała.

Pallantides wrzasnął, obrócił się na pięcie i pognał z powrotem do namiotu. Krzyknął

jeszcze raz, gdy ujrzał potężną postać władcy leżącą na dywanie. Wielki, oburęczny miecz leżał opodal dłoni króla, a strzaskany maszt namiotu wskazywał, gdzie padł cios. Z

obnażonym mieczem w dłoni Pallantides omiół spojrzeniem wnętrze namiotu, lecz nikogo nie dostrzegł. Tak jak poprzednio w namiocie znajdował się tylko król i on sam.

— Wasza Wysokość! — Pallantides rzucił się na kolana obok leżącego olbrzyma.

Oczy Conana były otwarte; gdy spojrział na generała, błyszczały inteligencją i

świadomością. Jego wargi się wykrzywiły, ale Cymeryjczyk nie wypowiedział żadnego słowa. Wydawało się, iż nie może się poruszyć.

Na zewnątrz rozległy się głosy. Pallantides zerwał się z ziemi i skoczył do wejścia. Stanęli w nim królewscy giermkowie i jeden z rycerzy strzegących namiotu.

— Usłyszeliśmy w środku jakiś hałas — rzekł przepraszają — . co rycerz. — Czy królowi nic się nie stało?

Pallantides obrzucił go badawczym spojrzeniem.

— Czy tej nocy ktoś wchodził lub wychodził z tego namiotu?

— Nikt prócz ciebie, panie — odparł rycerz, a Pallantides nie mógł wątpić w jego uczciwość.

— Król potknął się i upuścił miecz — wyjaśnił krótko. — Wracaj na posterunek.

Gdy żołnierz odszedł, generał nieznacznie skinął na pięciu królewskich giermków, a kiedy weszli za nim do namiotu, szczelnie zaciągnął kotarę. Pobledli na widok króla rozciągniętego na dywanie, ale szybki gest Pałlantidesa powstrzymał ich okrzyki.

General pochylił się nad wodzem. Conan ponownie spróbował przemówić; żyły na skroniach oraz mięśnie szyi nabrzmiały mu z wysiłku i w końcu zdołał unieść głowę.

Wreszcie dały się słyszeć słowa, zniekształcone i ledwie zrozumiałe.

— To coś... to coś tam w kącie!

Pallantides podtrzymał głowę władcy i z lękiem rozejrzał się wokół. W świetle lampy ujrzał pobladłe twarze giermków i aksamitne cienie czające się pod ścianami namiotu. To wszystko.

— Nic tu nie ma, Wasza Wysokość — rzekł.

— Był tam, w kącie — wymamrotał król, potrząsając swą lwią grzywą i próbując dźwignąć się z ziemi. — Człowiek — a przynajmniej wyglądał jak człowiek — owinięty w łachmany podobne do bandaży mumii, odziany w zbutwiałą opończę z kapturem. Widziałem tylko jego oczy, gdyż krył się tam w półmroku. Sądziłem, że to cień, ale zobaczyłem jego oczy. Były jak czarne klejnoty. Skoczyłem na niego i wymierzyłem cios mieczem, lecz chybiłem — Crom wie, jakim cudem — strzaskalem ten drań. Gdy zatoczyłem się, straciwszy równowagę, złapał

mnie za rękę, a jego palce parzyły jak rozżarzone żelazo. Uszły ze mnie wszystkie siły, a podłoga podniosła się i rąbnęła mnie jak maczuga. Potem zniknął, a ja leżałem i — niech go szlag! — nie mogłem się ruszyć! Jestem sparaliżowany!

Pallantides podniósł rękę olbrzyma i dreszcz przebiegł mu po plecach. Na królewskim przegubie ujrzał sine ślady długich, smukłych palców. Cóż za dłoń mogła ścisnąć tak silnie, by zostawić swój ślad na grubym nadgarstku? Pallantides przypomniał sobie cichy śmiech, który słyszał, gdy biegł do namiotu; oblał się zimnym potem, bowiem to nie Conan się śmiał.

— Diabelska sprawka! — szepnął drżącym głosem jeden z giermków. — Powiadają, iż dzieci ciemności walczą po stronie Tarascusa!

— Milcz! — rozkazał mu surowo Pallantides.

Na dworze świt gasił gwiazdy. Od gór nadleciał wietrzyk, przynosząc granie tysięcy fanfar.

Na ten dźwięk konwulsyjny dreszcz targnął potężnym ciałem monarchy. Żyły znów

nabrzmiały mu na skroniach, gdy usiłował zerwać przykuwające go do ziemi, niewidzialne łańcuchy.

— Załóżcie mi zbroję i przy wiążcie do siodła — szepnął. — Jeszcze poprowadzę natarcie!

Pallantides pokręcił głową, a jeden z giermków pociągnął go za tunikę.

— Panie, jeśli wojsko dowie się, że nasz król leży zdjęty niemocą, będziemy zgubieni!

Tylko on mógł powieść nas dziś do zwycięstwa.

— Pomóżcie mi dźwignąć go na łożo — odparł generał. Posłuchali, kładąc bezradnego olbrzyma na posłaniu z futer i okrywając go jedwabnym płaszczem. Pallantides obrócił się do pięciu giermków i długo mierzył ich blade twarze badawczym spojrzeniem, nim w końcu przemówił:

— Nasze usta muszą po wsze czasy milczeć o tym, co stało się w namiocie. Od nas zależy los Akwilonii. Niechaj jeden z was sprowadzi Valannusa, kapitana pellijskich oszczepników.

Wskazany giermek skłonił się i wypadł z namiotu. Pallantides stał, spoglądając na zdjętego niemocą króla. Na zewnątrz ryczały trąby, warczały werble i w blasku świtania narastał zgiełk tysięcznych tłumów. W końcu giermek wrócił z oficerem wymienionym przez Pallantidesa —

rosłym, barczystym i muskularnym mężczyzną, budową ciała przypominającym króla. Tak jak Conan miał gęste, czarne włosy, ale oczy szare, a rysy twarzy niepodobne do Cymeryjczyka.

— Króla został zdjęty przedziwną niemocą — wyjaśnił krótko Pallantides. — Przypadł ci w udziale wielki zaszczyt; wdziejesz jego zbroję i poprowadzisz dziś armię do ataku. Nikt nie może wiedzieć, że to nie król nią dowodzi.

— To zaszczyt, za jaki człowiek chętnie oddałby życie — wyjąkał kapitan, przytłoczony ogromem zadania. — Mitro, pomóż mi, abym nie zawiódł pokładanego we mnie zaufania!

I gdy bezsilny król patrzył płonącymi oczyma, w których odzwierciedlała się zimna wściekłość i dręczące uczucie poniżenia, giermkowie rozdiali Valannusa z kolczugi, hełmu i nagolenników, po czym założyli nań Conanową czarną zbroję i ozdobiony pióropuszem hełm z przyłbicą. Na ramiona narzucili jedwabny płaszcz z wyszytym na piersi złotym królewskim lwem, spinając go szerokim pasem z wielką sprzączką, na którym w pochwie ze złotogłowiu wisiał obosieczny miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści. Kiedy to czynili, na zewnątrz grzmiały trąby, szczekał oręż, a zza rzeki niósł się głuchy ryk szwadronów stojących na pozycji.

Valannus w pełnym rynsztunku przyklęknął i skłonił głowę przed leżącą na posłaniu postacią.

— Królu, klę się na Mitrę, iż nie zhańbię zbroi, którą dziś noszę!

— Przynieś mi głowę Tarascusa, a uczynię cię baronem!

W przypiływie udręki z Conana opadła cienka otoczka cywilizacji. Jego oczy płonęły złym blaskiem, gdy zgrzytał zębami z wściekłością, ogarnięty żądzą krwi, typową dla barbarzyńcy z gór Cymerii.

WALĄ SIĘ URWISKA

Armia akwilońska — długie, najeżone bronią szeregi oszczepników i konnych zakutych w lśniącą stal — stała już w gotowości. Gdy z królewskiego namiotu wyłoniła się ogromna postać w czarnej zbroi, by dotrzeć czarnego ogiera przytrzymywanego przez czterech giermków, nad szykiem przetoczył się ryk, od którego zatrzęsły się góry. Potrząsając orężem, wojownicy — rycerze w pozłacanych pancerzach, pikinierzy w kolczugach i stalowych hełmach oraz łucznicy w skórzanych kaftanach, dzierżący w dłoniach swe łuki — grzmiącym chórem pozdrawiali swego króla wojownika.

Armia po drugiej stronie strumienia posuwała się już po łagodnym zboczu w kierunku rzeki; przez kłębiące się pod końskimi kopytami mgły poranka przeblęskiwała stal.

Akwilończycy powoli ruszyli na spotkanie wroga. Miarowy trucht zakutych w stal wierzchowców wstrząsnął ziemią. Długie wstęgi jedwabnych sztandarów łopotały na porannym wietrze; kopie kołysały się jak lśniący las, to wznosząc się, to opadając w furkocie proporców.

Dziesięciu zbrojnych, posępnych i groźnych weteranów potrafiących trzymać język za zębami, strzegło królewskiego namiotu. W środku pozostał jeden giermek, który wyglądał zza uchylonej kotary. Oprócz tej garstki wtajemniczonych nikt z całej potężnej armii nie wiedział, że to nie Conan jedzie na czele wojska na wielkim ogierze.

Akwilończycy uformowali tradycyjny szyk: najsilniejsze oddziały ciężkozbrojnych rycerzy znajdowały się w środku, na skrzydłach szły pułki lżejszej jazdy, składające się głównie ze szlachty, wspierane przez pikinierów i łuczników. Ci ostatni byli Bossończykami z zachodniego pogranicza, krzepkimi choć niewysokimi ludźmi w skórzanych kubrakach i żelaznych hełmach.

Nemedyjska armia była podobnie ugrupowana, więc gdy oba wojska zbliżały się do rzeki, ich skrzydła poruszały się szybciej niż centra. Pośrodku akwilońskich oddziałów olbrzymi sztandar ze złotym lwem łopotał wyдутymi czarnymi fałdami nad zakutą w stal postacią na czarnym rumaku.

A spoczywający na swym posłaniu w królewskim namiocie Conan jęczał w udręce i miotał dziwne pogańskie przekleństwa.

— Wojska zbliżają się do siebie — rzekł wyglądający z namiotu giermek. — Słuchaj królu, jak grają trąby! Ha! Wschodzące słońce krzesze skry z grotów kopii i hełmów, aż bolą oczy.

Barwi rzekę szkarłatem... Zaiste, nim dzień minie, jej wody spłyną czerwienią! Nieprzyjaciół dotarł do brzegu. Teraz strzały przelatują między wojskami jak chmury żadeł, przesłaniając słońce. Ha! Dobra robota, łucznicy! Bossończycy strzelają lepiej! Posłuchaj, jak krzyczą!

Do uszu króla dobiegł ledwie słyszalny wśród ryku trąb i szczęku stali, dziki, gardłowy okrzyk Bossończyków, którzy w idealnie zgodnym rytmie naciągali i zwalniali cięciwy.

— Ich łucznicy próbują związać naszych walką, aby ich jazda dojechała do rzeki —

powiedział giermek. — Brzegi nie są strome, opadają łagodnie do samej wody. Rycerze ruszają, pędzą przez łozy. Na Mitrę, łokciowe strzały znajdują każdą szczelinę w ich pancierzach! Konie i ludzie walą się w wodę. Rzeka nie jest głęboka, nurt niezbyt wartki, a jednak rycerze toną, ściągani na dno ciężarem zbroi i tratowani przez rozszalałe wierzchowce.

Teraz rusza akwilońska jazda. Wjeżdżają w rzekę i uderzają na nemedyjska konnicę. Woda pieni się wokół końskich brzuchów, a szcęk oręza jest wprost ogłuszający!

— Na Croma! — z ust Conana wyrwał się okrzyk udręki. Powoli odzyskiwał czucie w kończynach, lecz nadal nie mógł podnieść z posłania swego potężnego ciała.

Skrzydła starły się ze sobą — ciągnął giermek. — Pikinierzy i piechota walczą w strumieniu ramie przy ramieniu, a zza ich pleców szyją strzałami łucznicy. Na Mitrę, nemedyjscy kusznicy zostali srodze przetrzebieni, a Bossończycy ślą strzały wysokim łukiem, rażąc tylne szeregi. Centrum wrogich wojsk nie posunęło się nawet o krok, a ich skrzydła znów zostały odepchnięte od potoku.

— Na Croma, Ymira i Mitrę! — pienił się Conan. — Bogowie i szatani, dajcie mi siłę do walki, choćby po to, aby zginąć od pierwszego ciosu!

Bój huczał i grzmiał przez cały długi, gorący dzień. Dolina trzęsła się od ataków i kontrataków, świstu strzał, trzasku pękających puklerzy i łamanych kopii. Jednak akwilońskie wojska trzymały się mocno. Raz zostały odepchnięte od rzeki, lecz natychmiastowym kontratakiem prowadzonym przez dzierżącego sztandar jeźdźca na czarnym ogierze odzyskały stracony teren. Trzymały prawy brzeg niczym żelazny wał, aż wreszcie giermek oznajmił Conanowi, że Nemedyjscy cofają się od rzeki.

— Ich skrzydła zostały rozbite! — zawołał. — Ich rycerze podają tyły. Lecz cóż to? Twój sztandar porusza się — środek wojsk wjeżdża w rzekę! Na Mitrę, Valannus prowadzi armię na drugi brzeg!

— Głupiec! — jęknął Conan. — To może być podstęp. Powinien utrzymać pozycję; do świtu przybędzie Prospero z poitaińskimi posiłkami.

— Na rycerzy spada grad strzał! — krzyknął giermek. — Ale nie zwalniają! Jadą dalej...

Przeprawili się przez rzekę! Pędzą w górę zbocza! Pallantides pchnął im na pomoc oba skrzydła! Nie mógł uczynić nic innego. Sztandar z lwem chwieje się i pochyla nad kłębowiskiem. Nemedyjscy zwarli szyki. Rozerwane! Cofają się! Ich lewe skrzydło poszło w rozsypkę, a nasi pikinierzy wyrzynają umykających! Widzę Valannusa, który gna, siekąc jak szalony. Poniosła go żądza krwi. Ludzie nie oglądają się już na Pallantidesa. Podążają za Valannusem, biorąc go za Conana, gdyż ma opuszczoną przyłbicę. Ale spójrz! W jego szaleństwie jest metoda! Z pięcioma tysiącami doborowych rycerzy omija szerokim łukiem centrum nemedyjskich wojsk. Wśród głównych sił wroga panuje rozgardiasz... Spójrz! Ich flanki broni urwisko, lecz zostawili jedno nie strzeżone przejście! To jakby wielka szczelina ziejąca za nemedyjskimi szykami. Na Mitrę, Valannus dostrzega szansę i zamierza ją wykorzystać! Zepchnął ich lewe skrzydło i prowadzi swoich rycerzy w kierunku przejścia.

Omijają szerokim łukiem główne siły, przebijają się przez oszczepników, wpadają do wąwozu!

— Pułapka! — ryknął Conan, usiłując wstać.

— Nie! — zawołał z uniesieniem giermek. — Cała nemedyjska armia jest odsłonięta!

Zapomnieli o tym wąwozie! Nie spodziewali się, że zostaną zepchnięci tak daleko. Co za głupiec z tego Tarascusa; popełnić taki błąd! Och, widzę lance i proporczyki wylaniające się z wylotu jaru, za oddziałami Nemedyjczyków. Uderzą na nich od tyłu i rozniosą w pył. Na Mitrę, a to co?

Zatoczył się, a ściany namiotu zakołysały się jak pijane. W oddali nad bitewny zgiełk wzniósł się nieopisanie złowieszczy, głuchy ryk.

— Skąły się chwieją! — wrzasnął giermek. — O bogowie, cóż to takiego? Spieniona rzeka wylewa się ze swego łożyska, a skalne szczyty pękają! Ziemia drży, przewracają się konie i zakuci w stal jeźdźcy! Urwiska! Walą się urwiska!

Jego słowom zawtórował zgrzytliwy pomruk i grzmiący rumor; ziemia zadrżała. Opętańcze wrzaski przerażenia zagłuszyły zgiełk bitwy.

— Runęły urwiska! — krzyknął pobladły giermek. — Zwały się, miażdżąc wszystkie żywe istoty w wąwozie! Przez moment widziałem nasz sztandar z lwem, chwiejący się wśród kurzawy i spadających głązów, lecz zaraz zniknął mi z oczu! Ha! Nemedyjczycy wrzeszczą triumfalnie! Mają się z czego radować, gdyż skały zmiażdżyły pięć tysięcy naszych najdzielniejszych rycerzy... Słuchaj!

Do uszu Conana doleciał nieskładny chór okrzyków, coraz głośniejszych i bardziej rozpaczliwych:

— Król poległ! Król nie żyje! Uciekajmy! Uciekajmy! Król zginął!

— Łgarze! — wysapał Conan. — Psy! Łotry! Tchórze! Och, Cromie, gdybym tylko mógł wstać... choćby poczołgać się do rzeki z mieczem w zębach! Jak tam, chłopcze, czy umykają?

— Tak! — załkał giermek. — Pędzą ku rzece; rozbici, gnani jak morska piana sztormem.

Widzę Pallantidesa usiłującego ich powstrzymać... pada, tratują go konie! Wpadają do rzeki; rycerze, łucznicy, pikinierzy splątani w jeden oszalały kłęb. Nemedyjczycy depczą im po piętach, kosząc jak łan zboża.

— Ale zajmą stanowiska po tej stronie potoku! — wrzasnął król. Z wysiłkiem, od którego pot wystąpił mu na skronie, podparł się łokciami.

— Nic z tego! — zakrzyknął giermek. — Nie mogą! Są rozbici! Pokonani! O, bogowie, czemu dożyłem takiego dnia!

Potem przypomniał sobie o swych obowiązkach i zawołał do zbrojnych, którzy stali nieporuszenie, obserwując odwrót towarzyszy.

— Dajcie mi konia, szybko, i pomóżcie dźwignąć nań króla, Nie możemy tu pozostać.

Jednak zanim zdołali wykonać ten rozkaz, spadł na nich pierwszy podmuch burzy. Rycerze, pikinierzy i łucznicy gnali między namiotami, potykając się o liny i pakunki, przemieszani z nemedyjskimi jeźdźcami, którzy siekli na prawo i lewo. Poprzecinano sznury namiotów, w stu miejscach na raz buchnęły płomienie, a napastnicy zaczęli plądrować obóz. Posepni strażnicy Conanowego namiotu zginęli w jego obronie, oddając cios za cios i pchnięcie za pchnięcie, zaś konie zwycięzców stratowały ich zmasakrowane zwłoki.

Jednak giermek zasunął poły namiotu i w rozszałym zamieszaniu rzezi nikt nie zorientował się, że wewnątrz ktoś jest. Tak więc ścigani i ścigający przemknęli obok, w górę doliny, i gdy w końcu giermek wychylił się na zewnątrz, ujrzał grupę ludzi najwyraźniej zmierzających prosto ku królewskiemu namiotowi.

— Oto nadchodzi władca Nemedii z czterema towarzyszami oraz giermkim — oznajmił.

— Przyjmie twoją kapitulację, mój zacny panie...

— Prędeż diabelski ogon! — zgrzytnął zębami król.

Z najwyższym trudem zdołał usiąść. Walcząc z bólem, spuścił nogi z łoża i chwiejnie powstał, zataczając się jak pijany. Giermek skoczył, żeby go podtrzymać, lecz Conan odepchnął go. — Daj mi ten łuk! — warknął, wskazując wielki łuk i kołczan wiszące przy maszcie namiotu.

— Ależ, Wasza Wysokość! — zawołał zmieszany giermek. — Bitwa przegrana!

Monarszemu majestatowi wypada skapitulować z godnością przystającą królewskiej krwi!

— Nie mam w żyłach królewskiej krwi — warknął Conan. — Jestem barbarzyńcą, synem kowala.

Porwawszy łuk i strzałę, chwiejnie ruszył ku wejściu do namiotu. Wyglądał tak groźnie odziany jedynie w krótkie skórznie oraz koszulę bez rękawów, ukazującą jego potężną, włochatą pierś, z muskularnymi ramionami i niebieskimi oczyma jarzącymi się pod zmierzwioną, czarną grzywą, że giermek cofnął się, bardziej lękając się swego władcy niż całej nemedyjskiej armii.

Chwiejąc się jak pijany na szeroko rozstawionych nogach, Conan dotarł do wejścia, rozsunął poły i wytoczył się pod okap. Król Nemedii oraz jego towarzysze zsiadli już z koni i teraz jakby wrosli w ziemię, ze zdumieniem spozierając na stojącą przed nimi zjawę.

— Tu jestem, szakale! — ryknął Cymeryjczyk. — Ja — król! Śmierć wam, psubraty!

Przyciągnął cięciwę do ucha i wypuścił strzałę, która po sam bełt wbiła się w pierś rycerza stojącego obok Tarascusa, po czym cisnął łukiem w nemedyjskiego władcę.

— Przekleństwo na mą drżącą dłoń! Chodźcie i weźcie mnie, jeśli macie odwagę!

Zatoczył się w tył na chwiejnych nogach, ciężko oparł plecami o maszt namiotu i prostując się,

dźwignął oburącz swój ogromny miecz.

— Na Mitrę, toż to król! — zaklął Tarascus. Szybko powiódł wokół spojrzeniem i zaśmiał się. — Tamten był kukłą w jego zbroi! Dalej, psy, przynieście mi jego głowę!

Trzej żołnierze — wojownicy noszący emblemat królewskiej gwardii — skoczyli na Conana, a jeden z nich ciosem maczugi powalił giermka. Pozostałym dwóm nie poszło tak dobrze. Gdy pierwszy z uniesionym mieczem wpadł do namiotu, Conan powitał go

zamaszystym ciosem, który przeciął kolczugę jak szmatę i odrąbał Nemedyczykowi ramię wraz z barkiem. Padając, jego ciało podcięło nogi drugiego. Ten potknął się i nim zdążył

odzyskać równowagę, zginął przeszyty długim ostrzem.

Ciężko dysząc, Conan wyrwał swą stal i znów chwiejnie oparł się o maszt namiotu. Potężne kończyny barbarzyńcy drżały, pierś unosiła się z wysiłkiem, a pot lał się strumieniami po twarzy i szyi. Jednak jego oczy gorzały dzikim triumfem, gdy wysapał:

— Czemu nie podejdziesz, psie z Belverusu? Tam cię nie sięgnę; chodź tu i zdychaj!

Tarascus zawahał się, rzucił okiem na ostatniego gwardzistę i swego giermka — chudego, ponurego mężczyznę w czarnej zbroi — po czym zrobił krok naprzód. Posturą i krzepą znacznie ustępował olbrzymiemu Cymeryczykowi, lecz miał na sobie zbroję i słynął wśród ludów całego zachodu jako wyśmienity szermierz. Jednak giermek złapał go za ramię.

— Nie, Wasza Wysokość, nie narażaj swego życia. Zawołam łuczników, aby ustrzelili tego barbarzyńcę, tak jak czynimy to z lwami.

Żaden z nich nie zauważył, iż w czasie starcia do namiotu zbliżył się rydwan, który teraz zatrzymał się obok. Conan dojrzał go za ich plecami i dziwny dreszcz przebiegł mu po krzyżu. Już ciągnące powóz czarne rumaki wyglądały niesamowicie, lecz uwagę monarchy przykuła postać woźnicy.

Wysoki, wspaniale zbudowany mężczyzna, odziany w długą, prostą, jedwabną togę miał

głowę okrytą shemickim zawojem, którego dolna część niemal zupełnie zasłaniała twarz, ukazując tylko ciemne, magnetyczne oczy. Dzierżące wodze dłonie, które jednym

szarpnięciem osadziły konie na zadach, były białe, lecz silne. Conan, w którym obudziły się wszystkie prymitywne instynkty, zmierzył nieznajomego wściekłym spojrzeniem. Wyczuł

emanującą z tej tajemniczej postaci aurę zagrożenia i potęgi, groźbę równie wyraźną jak falowanie traw w bezwietrzny dzień, znaczące szlak zmił.

— Bądź pozdrowiony, Xaltotunie! — krzyknął Tarascus. — Oto król Akwilonii! Nie zginął wśród lawiny, jak oczekiwaliśmy.

— Wiem — odparł tamten, nie fatygując się tłumaczeniem, skąd o tym wie. — I co teraz zamierzasz uczynić?

— Wezwę łuczników, aby go ustrzelili — rzekł Nemedyczyk. — Dopóki żyje, stanowi dla nas zagrożenie.

— Nawet z psa może być jakiś pożytek — odparł Xaltotun. — Weźcie go żywcem.

Conan zaśmiał się chrapliwie.

— Chodź tu i spróbuj! — zaproponował. — Gdyby nie zawiodły mnie nogi, zrąbałbym cię z tego rydwanu, jak drwał zrabuje drzewo. Nigdy nie weźmiecie mnie żywym, przekłęci!

— Obawiam się, że mówi prawdę — rzekł Tarascus. — Ten człowiek to barbarzyńca, dziki jak ranny tygrys. Pozwól mi przywołać łuczników.

— Patrz i ucz się — poradził Xaltotun.

Zanurzył dłoń w fałdy togi i wyciągnął coś błyszczącego — lśniącą kulę. Cisnął nią w Conana. Cymeryjczyk pogardliwie odtrącił ją mieczem — i w tejże chwili nastąpił ostry huk, biały, oślepiający błysk i Conan bez czucia runął na ziemię.

— Nie żyje? — Tarascus raczej upewniał się, niż pytał.

— Nie. Tylko stracił przytomność. Za kilka godzin odzyska zmysły. Każ swoim ludziom spętać mu ręce i nogi, a potem położyć w moim rydwanie.

Tarascus gestem wydał polecenie i jego słudzy zanieśli nieprzytomnego króla do rydwanu, sapiąc pod ciężarem. Xaltotun nakrył go atlasowym płaszczem, chowając przed wścibskimi oczyma. Potem ujął wodze.

— Ruszam do Belverusu — rzekł. — Powiedz Amalrykowi, że dołączę doń w razie

potrzeby. Jednak teraz, gdy Conan został usunięty, a jego armia rozbita, kopia i miecz powinny wystarczyć do dokończenia podboju. Prospero nie może mieć więcej niż dziesięć tysięcy zbrojnych i z pewnością wycofa się do Tarantii, kiedy usłyszy wieści o bitwie. Nic nie mów Amalrykowi, Valeriusowi i innym o naszym jeńcu. Niech myślą, że Conan zginął w lawinie.

Potem wbił wzrok w gwardzistę i patrzył tak długo, aż ten zaczął się kręcić nerwowo pod jego spojrzeniem.

— Co masz na brzuchu? — spytał Xaltotun.

— Za pozwoleniem, to mój pas, panie! — wykrztusił zdumiony żołnierz.

— Łżesz! — śmiech Xaltotuna był bezlitosny jak ostrze miecza. — To jadowita żmija! Cóż z ciebie za głupiec, żeby opasywać się takim gadem!

Gwardzista spojrział w dół rozszerzonymi ze zdumienia oczyma i z przerażeniem zobaczył, że sprzączka pasa unosi się do jego twarzy. To był wężowy łeb! Ujrzał złe ślepie i ociekające jadem kły, usłyszał syk i poczuł na ciele ohydny dotyk gada. Żołnierz wrzasnął okropnie i uderzył węża gołą ręką; poczuł, jak gad zatapia w niej kły — a potem zeszywniał i runął na ziemię. Tarascus patrzył nań obojętnie. Widział tylko skórzany pas i sprzączkę, której zapinka tkwiła wbita w dłoń gwardzisty. Xaltotun obrócił hipnotyczne spojrzenie na królewskiego giermka, który zbladł jak ściana i zaczął się trząść; lecz Tarascus wtrącił:

— Nie, temu możemy ufać.

Czarownik ściągnął wodze i konie obróciły rydwan.

— Zadbaj o to, aby wszystko pozostało tajemnicą. Gdybym był potrzebny, niech Altaro, sługa Orastesy, wezwie mnie sposobem, jakiego go nauczyłem. Będę w twoim pałacu, w Belverusie.

Tarascus uniósł dłoń w geście pozdrowienia, lecz gdy spoglądał za odjeżdżającym magiem, jego twarz wykrzywił złośliwy grymas.

— Dlaczego oszczędził Cymeryjczyka? — szepnął wystraszony giermek.

— Sam się dziwię — mruknął Tarascus.

Za pędzącym rydwanem ucichł zgiełk bitwy i odgłosy pościgu, a zachodzące słońce obramowało urwiska szkarłatnym płomieniem i zaprzęg zapadł w ogromne, granatowe cienie napływające ze wschodu.

IV

„Z JAKIEGOŚ WYPEŁZŁ PIEKŁA?”

Conan nic nie pamiętał z długiej jazdy rydwanem Xaltotuna. Leżał jak nieżywy, gdy koła z brązu turkotały po kamieniach górskich traktów, przecinały wysokie trawy żyznych dolin, a w końcu — gdy zaprzęg zjechał ze skalnych wyżyn rytmicznie zadudniły na szerokiej, białej drodze wijącej się wśród bogatych łąk pod mury Belverusu.

Tuż przed świtem Cymeryjczyk zaczął powoli wracać do życia. Usłyszał ciche głosy, skrzypienie potężnych zawiasów, a przez wycięcie w okrywającym go płaszczu dostrzegł

czarny łuk wielkiej bramy, niewyraźny w ponurym blasku pochodni, oraz brodate twarze gwardzistów, w których hełmach i grotach włóczni odbijały się płomienie łuczywa.

— Jak potoczyła się bitwa, mój dobry panie? — zapytał zaciekawiony głos po nemedyjsku.

— Nader dobrze — padła krótka odpowiedź. — Król Akwilonii legł martwy, a jego armia jest rozbita.

Gwar podnieconych głosów zaraz został zagłuszony przez turkot rydwanu jadącego po kamiennych płytach. Skry trysnęły spod obręczy kół, gdy Xaltotun, strzelając z biczka, pognął

rumaki przez bramę. Jednak Conan zdążył usłyszeć, jak jeden ze strażników mamrocze:

— Znad granicy do Belverusu między zachodem a wschodem słońca! I konie ledwie spienione! Na Mitrę, to...

Potem zapadła cisza zakłócana jedynie stukotem kopyt i kół po mrocznej ulicy.

Zasłyszane słowa głęboko zapadły Conanowi w pamięć, lecz na razie nic nie przychodziło mu na myśl. Był jak bezduszny mechanizm, który widzi i słyszy, lecz niczego nie pojmuje.

Obrazy i dźwięki przepływały bezsensownie obok niego. Znów zapadł w letarg i był ledwie przytomny, gdy rydwan zatrzymał się na otoczonym wysokim murem dziedzińcu. Liczne ręce dźwignęły go i poniosły w górę po krętych, kamiennych schodach, a potem długim, mrocznym korytarzem. Szepty, ciche kroki, oderwane dźwięki napływały i odpływały, nic nie znaczące i dalekie.

A jednak przebudzenie było gwałtowne i natychmiastowe. Zachował pełne wspomnienie stoczony w górach bitwy i jej skutków, wiedział też, gdzie się znajduje.

Leżał na aksamitnym tapczanie, odziany tak jak poprzedniego dnia, lecz skuty okowami, jakich nawet on nie zdołałby zerwać. Komnatę, w której leżał, umeblowano z ponurym przepychem: ściany pokrywały czarne, aksamitne tkaniny, a na podłodze leżały ciężkie, purpurowe dywany. Nie było

śladu drzwi czy okien, a jedna osobliwie kuta złota lampa, zawieszona pod kasetonowym sufitem, oświetlała pomieszczenie posępnym blaskiem.

W tym świetle siedząca przed barbarzyńcą postać na srebrnym, podobnym do tronu krześle wydawała się nierzeczywista i fantastyczna, a przezroczysta jedwabna szata jeszcze podkreślała ulotność jej konturów. Jednak jej rysy były wyraźnie widoczne — rzecz niezwykła w tym niepewnym świetle. Wyglądało to tak, jakby jakiś nieziemski nimb unosił

się nad głową tego człowieka, kreśląc relief brodatego oblicza, które zdawało się jedyną ostateczną i wyraźną rzeczywistością w tej tajemniczej, upiornej komnacie.

To była wspaniała twarz, o pięknie rzeźbionych rysach, tchnących klasycznym pięknem.

Jednak w jej spokoju było coś niepokojącego, coś ponad ludzką wiedzę, i poczucie własnej potęgi przekraczającej zwyczajną pewność siebie. Podświadomość Conana zareagowała nieprzyjemnym dreszczem. Nigdy przedtem nie widział twarzy tego człowieka, a przecież te rysy przypominały mu coś lub kogoś. Miał wrażenie, iż oto ucieleśnił się jakiś obraz z któregoś z nawiedzających go czasem koszmarnych snów.

— Kim jesteś? — rzucił wyzywająco, próbując mimo kajdan przyjąć siedzącą pozycję.

— Zwą mnie Xaltotun — odpowiedział mu silny, melodyjny głos.

— A co to za miejsce?

— Komnata w pałacu króla Tarascusa w Belverusie.

Conan nie zdziwił się. Stołeczny Belverus był jednocześnie największym z nemedyjskich miast leżących tak blisko granicy.

— A gdzie Tarascus?

— Z armią.

— No — warknął Conan — jeśli chcesz mnie zamordować, to może zabrałbyś się do dzieła, żebyśmy mieli to z głowy?

— Nie po to ocaliłem cię przed królewskimi łucznikami, żeby mordować cię tutaj — odparł

Xaltotun.

— Co ze mną zrobiłeś, do diabła?

— Poraziłem twoją świadomość — odrzekł Xaltotun. — Nie zdołasz pojąć, jak. Jeśli chcesz, nazwij to czarną magią.

Conan doszedł już do takiego wniosku i teraz rozmyślał o czymś innym.

— Myślę — mruknął — że wiem, dlaczego mnie oszczędziłeś. Amalryk chce mnie trzymać jako hak na Valeriusa, gdyby ten mimo wszystko został królem Akwilonii. Powszechnie wiadomo, że za próbą osadzenia Valeriusa na moim tronie stoi baron Tor. A o ile znam Amalryka, nie zamierza dopuścić do tego, by Valerius był kimś więcej niż figurantem, takim jak Tarascus.

— Amalryk nic nie wie o twoim uwięzieniu — odparł Xaltotun. — Tak samo jak Valerius.

Obaj sądzą, że zginąłeś pod Valkią.

Conan zmrużył oczy i w milczeniu spoglądał na rozmówcę.

— Czulem czyjś umysł za tym wszystkim — mruknął — ale myślałem, że to Amalryk. Czy on, Tarascus i Valerius to tylko kukielki tańczące na twoich sznurkach? Kim jesteś?

— Czy to ważne? Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział. A jeśli ci powiem, że mógłbym z powrotem osadzić cię na tronie Akwilonii?

Płonące oczy Conana wbiły się weń jak wilcze ślepia.

— Za jaką cenę?

— Posłuszeństwa wobec mnie.

— Idź do diabła ze swoją propozycją! — warknął Conan. — Nie jestem figurantem.

Zdobyłem koronę mieczem. Ponadto, jest poza twą mocą kupczyć tronem Akwilonii.

Królestwo jeszcze nie zostało podbite; jedna bitwa nie przesądza wyniku wojny.

— Walczysz nie tylko przeciw mieczom — odparł Xaltotun. — Czy to miecz śmiertelnika powalił cię przed bitwą w twym namiocie? Nie, to dziecię mroków, pielgrzym kosmicznych przestworzy, którego palce płonęły lodowatym chłodem czarnych otchłani, który zmroził

krw w twoich żyłach i szpik w twych kościach. Palcami tak zimnymi, że sparzyły twe ciało niczym rozżarzone do białości żelazo! Czy to przypadek sprawił, iż odziany w twoją zbroję mąż poprowadził rycerzy do wąwozu? I przypadkiem osunęły się na nich skalne urwiska?

Conan bez słowa mierzył go nienawistnym spojrzeniem, czując dreszcz pełznący po plecach. W jego barbarzyńskiej mitologii roiło się od magów i czarnoksiężników, a nawet głupiec mógł stwierdzić, że Xaltotun nie jest zwyczajnym człowiekiem. Cymeryjczyk wyczuwał wokół niego coś, co czyniło go innym, coś niepojętego — jakąś nieludzką aurę Czasu i Przestrzeni, wrażenie przerażającej i złowieszczej wiekowości. Jednak wrodzony upór nie pozwalał mu ustąpić.

— Urwiska osunęły się przypadkowo — mruknął zaczepnie. — A każdy na jego miejscu zaatakowałby wąwóz.

— Wcale nie. Ty nie poprowadziłbyś tamtędy ataku. Podejrzewałbyś pułapkę. I przede wszystkim,

nie przekroczyłbyś rzeki, dopóki byś się nie upewnił, że Nemedycjcy naprawdę się cofają. Nawet w szale bitwy nie uległbyś hipnotycznym sugestiom i nie dopuściłbyś, aby opętały ci duszę i poprowadziły na oślep w pułapkę, jak zdołały uczynić to z przebranym za ciebie pomniejszym człowiekiem.

— Zatem jeśli wszystko zostało zaplanowane — odparł sceptycznie Conan — jeżeli było pułapką zastawioną na moją armię, to czemu „dziecię mroków” nie zabiło mnie w namiocie?

— Ponieważ chciałem wziąć cię żywcem. Nie potrzeba było maga, żeby przewidzieć, iż Pallantides wyśle innego człowieka w twojej zbroi. Chciałem cię zdrowego i całego. Możesz mi się przydać. Masz w sobie siłę witalną większą niż zręczność i spryt moich

sprzymierzeńców. Źle mieć w tobie wroga, lecz byłbyś dobrym wasalem.

Conan splunął z wściekłością, słysząc to słowo. Xaltotun, ignorując jego furję, wziął z pobliskiego stołu kryształową kulę i umieścił ją przed nim. Nie podtrzymał jej w żaden sposób ani na niczym nie postawił, a jednak zawisała w powietrzu tak nieruchomo, jakby spoczywała na żelaznym piedestale. Conan prychnął pogardliwie na widok czarów, niemniej zrobiły one na nim wrażenie.

— Chcesz wiedzieć, co dzieje się teraz w Akwilonii? — zapytał Xaltorun.

Conan nie odpowiedział, lecz nagle zastygła twarz zdradziła jego zainteresowanie.

Xaltotun spojrział w zamglone głębie i rzekł:

— Teraz jest wieczór, dzień po bitwie pod Valkią. Zeszłej nocy główne siły nemedyjskie nadal obozowały w dolinie, podczas gdy szwadrony jazdy niepokoiły uciekających Akwilończyków. O świcie armia zwinęła obóz i ruszyła przez góry na zachód. Prospero z dziesięcioma tysiącami Poitainczyków znajdował się o kilka mil od poboju, gdy o świcie napotkał pierwszych uciekających. Maszerował całą noc z nadzieją, że zdąży dołączyć do was przed bitwą. Nie mogąc zebrać resztek rozbitej armii, wycofał się do Tarantii. Idąc forsownym marszem, zmieniając utrudzone wierzchowce na konie rekwirowane po drodze, dociera do Tarantii. Widzę jego utrudzonych rycerzy w zbrojach szarych od pyłu, z proporczykami smętnie zwisającymi z kopii, jak gnają przez równinę swe zmęczone rumaki.

Widzę również ulice Tarantii. W mieście panuje chaos. W jakiś sposób dotarła tu wieść o klęsce i śmierci króla Conana. Oszalała ze strachu tłuszcza wrzeszczy, że król poległ i nie ma nikogo, kto mógłby poprowadzić ich przeciw Nemedycykom. Ogromny cień nadciąga nad Akwilonię od wschodu, a niebo pociemniało od sępów. Conan zaklął siarczyście.

— To tylko słowa! Obdarty żebrak na ulicy mógłby powiedzieć to samo. Jeśli twierdzisz, że wszystko zobaczyłeś w tej szklanej kuli, to jesteś równie wielkim łgarzem, co łotrem — a to ostatnie nie ulega wątpliwości! Prospero utrzyma Tarantię i zbierze wokół siebie baronów.

Książę Poitain Trocero włada królestwem pod moją nieobecność i przepędzi te nemedyjskie psy, aż ze skowytem umkną do swej psiarni. Czymże jest te pięćdziesiąt tysięcy Nemedycyków? Akwilonia

ich połknie. Już nigdy nie ujrzą Belverusu. To nie Akwilonię pokonano pod Valkią, lecz jedynie Conana!

— Akwilonia jest zgubiona — odparł nieporuszony Xaltotun. — Zostanie podbita włócznią, toporem i pochodnią; a jeśli one zawiodą, ruszą w bój moce odwiecznych ciemności. W razie potrzeby mury grodów i góry runą jak skały pod Valkią, a rzeki wystąpią z brzegów, by zatopić całe prowincje. Jednak lepiej, by stal i cięciwa poradziły sobie bez pomocy sztuki, gdyż ciągle używanie potężnych zaklęć może wprawić w ruch moce, które wstrząsną Wszechświatem.

— Z jakiegoś wypełził piekła, ty czarny psie? — mruknął Conan, spoglądając na Xaltotuna.

Mimowolnie zadrżał; wyczuwał aurę niewiarygodnej starożytności, niewiarygodnego zła...

Xaltotun uniósł głowę, jakby nasłuchując szeptów z otchłani. Zdawał się nie pamiętać o swoim więźniu. Potem niecierpliwie potrząsnął głową i spojrzał obojętnie na Cymeryjczyka.

— Co? I tak byś nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział. Teraz mam już dość tej rozmowy z tobą; łatwiej zniszczyć warowny gród, niż oblec me myśli w słowa, które pojałby bezmózgi barbarzyńca.

— Gdybym miał wolne ręce — zauważył Conan — zaraz zrobiłbym z ciebie bezmózgiego trupa.

— Nie wątpię — gdybym był tak głupi, żeby dać ci okazję — odrzekł Xaltotun, klaszcząc w dłonie.

W jego zachowaniu zaszła wyraźna zmiana; w głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie, a ruchy zdradzały nerwowość, chociaż Conan nie sądził, aby w jakikolwiek sposób wiązało się to z jego osobą.

— Rozważ to, co ci rzekłem, barbarzyńco — powiedział mag. — Będziesz miał na to dość czasu. Jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobię. Zależy to od okoliczności, które dopiero zaistnieją. Ale dobrze sobie zapamiętaj: jeśli zapragnę posłużyć się tobą w mej grze, lepiej abys uległ bez oporu, niż miał narażać się na mój gniew.

Conan rzucił mu w twarz przekleństwo i w tej samej chwili otworzyły się drzwi, przez które wkroczyło czterech ogromnych Murzynów. Każdy z nich był odziany jedynie w jedwabną przepaskę podtrzymaną pasem, z którego zwisał wielki klucz.

Xaltotun niecierpliwym gestem wskazał króla i odwrócił się, jakby tracąc dlań wszelkie zainteresowanie. Jego palce dziwnie drżały. Z rzeźbionego jaspisowego pudełka wyjął garść lśniącego, czarnego proszku i umieścił go w palenisku stojącym na złotym trójnogu u jego boku. Kryształowa kula, o której najwidoczniej zapomniał, nagle upadła na podłogę, jakby pozbawiona niewidzialnego wsparcia.

Wtedy czarni podnieśli Conana — bowiem tak był omotany łańcuchami, że nie mógł sam iść — i wytaszczyli go z komnaty. Zerknąwszy „za siebie, nim zamknęły się ciężkie, okute złotem drzwi z tekowego drewna, Cymeryjczyk zobaczył Xaltotuna rozpartego z założonymi rękami na podobnym do tronu krześle oraz wijącą się przed nim z paleniska cienką smużkę dymu.

Conan poczuł nieprzyjemne mrowienie. Widział już ten czarny proszek w Stygli, tym starożytnym i złowrogim królestwie leżącym daleko na południu. Był to pyłek czarnego lotosu, sprowadzający podobny do śmierci sen i potworne wizje; barbarzyńca wiedział, iż tylko przerażający czarnoksiężnicy Czarnego Kręgu, tego zenitu zła, dobrowolnie oddają się szkarłatnym koszmarom czarnego lotosu, aby ożywić swe magiczne moce. Dla większości mieszkańców zachodniego świata Czarny Krąg jest bajką lub zmyśleniem, lecz Conan poznał

jego potworną rzeczywistość oraz ponurych wyznawców, oddających się najohydniejszym praktykom w mrocznych lochach Stygii i w ciemnych wieżach przeklętej Sabatei.

Obejrzał się na tajemne, okute złotem drzwi, drżąc na myśl o tym, co się za nimi kryje.

Nie miał pojęcia, czy to dzień, czy noc. Pałac króla Tarascusa zdawał się cienistą, mroczną budowlą, do której nie dochodziło światło dnia. Wszędzie unosił się duch tych mroków i cieni, który — w odczuciu Conana — ucieleśniał się w osobie Xaltotuna. Czarni nieśli króla krętym korytarzem, tak ciemnym, iż zdawali się w nim duchami nocy dźwigającymi trupa, a potem w dół po nie kończących się, spiralnych schodach. Pochodnia w ręku jednego z nich rzucała na ściany niekształtne cienie; przypominało to zstępowanie do Piekieł pod eskortą demonów ciemności.

W końcu dotarli do podnóża schodów i przeszli przez długi, prosty korytarz, w którego ścianach po jednej stronie otwierały się łukowe przejścia z wiodącymi w górę stopniami, a po drugiej widniał szereg ciężko okratowanych drzwi, umieszczonych w regularnych

kilkumetrowych odstępach.

Zatrzymawszy się przed kolejną z tych furt, jeden z czarnych sięgnął po klucz wiszący u pasa i przekręcił go w zamku. Pchnął kratę, po czym weszli z więźniem do małego lochu o grubych, kamiennych ścianach, podłodze i suficie. W przeciwległej ścianie tkwiły następne zakratowane drzwi. Conan nie miał pojęcia, co się za nimi znajduje, lecz nie sądził, aby był

tam kolejny korytarz. Migotliwe światło pochodni sączące się tam przez kraty wskazywało na mroczną przestrzeń i dudniące echami otchłanie.

W rogu celi, w pobliżu drzwi, przez które weszli, z wielkiego żelaznego pierścienia osadzonego w kamiennej ścianie zwieszał się pęk zardzewiałych łańcuchów. W okowach tkwił wyschnięty szkielet. Conan spojrział nań z zainteresowaniem, notując w myśli fakt, że większość kości jest rozłupana lub połamana; czaszka, która odpadła od kręgosłupa, została zmiażdżona jakby okropnym ciosem o potwornej sile.

Jeden z czarnych — ale nie ten, który otworzył drzwi — włożywszy swój klucz w masywny zamek, zwolnił łańcuchy i odciągnął na bok płataninę zardzewiałego żelastwa i potrzaskanych kości. Zaraz umocowali w to miejsce łańcuchy Conana, zaś trzeci z Murzynów przekręcił

klucz w zamku przeciwległych drzwi i mruknął coś z zadowoleniem, upewniwszy się, że są dobrze zamknięte.

Potem zwrócili na barbarzyńcę swe nieprzeniknione spojrzenia skośnoocy, hebanowo czarni giganci, o błyszczącej skórze lśniącej w blasku pochodni.

Ten, który dzierżył klucz do najbliższych drzwi, zdobył się na gardłową uwagę:

— Oto twój pałac, biały psi królu! Wiemy o tym tylko my i nasz pan. Cały pałac śpi.

Dochowujemy tajemnicy. Może będziesz tu żyć aż do śmierci. Tak jak on!

I pogardliwie kopnął strzaskany czerep, który z łoskotem potoczył się po kamiennej podłodze.

Conan nie zniżył się do odpowiedzi na drwinę, więc czarny, ośmielony milczeniem więźnia, zaklął pod nosem, nachylił się i splunął królowi w twarz. Nie był to dobry pomysł. Conan siedział na podłodze, omotany w pasie łańcuchem, z nogami i ramionami przykutymi do pierścienia w ścianie. Nie mógł wstać, ani ruszyć się dalej niż o metr od ściany. Jednak łańcuch łączący jego przeguby był dość luźny i zanim wełnisty łeb znalazł się poza jego zasięgiem, król zebrał łańcuch w garść i zdzielił nim czarnego. Ten padł jak zarżnięty wół, a jego kamraci wybałuszyli oczy, widząc, jak leży z rozwaloną czaszką i krwią sączącą się z uszu oraz nosa.

Jednak nie próbowali odwetu i nie zareagowali na gorące namowy Cymeryjczyka, który z okrwawionym łańcuchem w ręku zachęcał ich, by podeszli bliżej. W końcu, mamrocząc w swej gardłowej mowie, dźwignęli nieprzytomnego towarzysza i ponieśli go jak worek mąki.

Zamknęli za sobą drzwi przy pomocy jego klucza, nie odpinając go jednak od złotego łańcucha, którym był przytwierdzony do pasa. Zabrali pochodnię i w miarę jak się oddalali, ciemność pełzła za nimi korytarzem niczym żywa istota. Ciche szuranie ich stóp zamarło w oddali wraz z blaskiem pochodni, pozostawiając podziemia na pastwę mroku i ciszy.

POSTRACH PODZIEMI

Conan leżał cicho, znosząc brzemię kajdan i swej rozpaczliwej sytuacji ze stoicyzmem dziczy, która go wychowała. Nie poruszał się, ponieważ brzęk łańcuchów przy każdej zmianie pozycji wydawał się w ciszy i ciemności dziwnie głośny, a odziedziczony po tysiącach żyjących w puszczy przodków instynkt nakazywał nie zdradzać swej kryjówki, jeśli jest się bezbronnym. Nie wynikało to z logicznego rozumowania; nie leżał cicho dlatego, iż uznał, że ciemność kryje nieznaną niebezpieczeństwa, mogące mu zagrozić, gdy odkryją, że jest bezbronny. Xaltotun zapewniał, że nic mu się nie stanie i Conan uważał, że pozostawienie go przy życiu — przynajmniej na razie — leży w interesie czarnoksiężnika. Jednak zwyciężył

instynkt, który w dzieciństwie kazał mu leżeć cicho w kryjówce, gdy wokół polowały dzikie bestie.

Nawet jego sokole oczy nie mogły przeniknąć gęstych ciemności. Jednak niebawem, po pewnym, nie wiedzieć jak długim czasie pojawiła się słaba poświata, rodzaj padającej ukośnie szarej smugi, w której nikłym blasku Cymeryjczyk dostrzegł kratę pobliskich drzwi, a nawet zarys szkieletu w odległym kącie. Zdziwiło go to, jednak w końcu znalazł wyjaśnienie tego faktu. Znajdował się głęboko pod ziemią, w lochach pod pałacem; a jednak z jakiegoś powodu wybito tu szyb biegnący ku powierzchni. Tam zaś księżyc znalazł się w punkcie, gdy jego słabe światło wpadało w otwór szybu. Conan pomyślał, że w ten sposób będzie mógł

określić upływ dni i nocy. Może i słońce będzie świecić przez ten szyb, choć równie dobrze jego wylot może być za dnia zasłaniany. Może to rodzaj wyszukanej tortury; pozwalać więźniowi dostrzec zaledwie odrobinę dziennego i księżycowego blasku.

Jego spojrzenie padło na połamane kości połyskujące matowo w przeciwległym kącie. Nie zawracał sobie głowy próżnymi rozważaniami, kim był ten nieszczęśnik i z jakiego powodu został zgładzony, lecz zdumiał go stan szkieletu. Nie połamano go kołem. Po dłuższych oględzinach odkrył kolejny dziwny fakt. Piszczele zostały rozłupane wzdłuż, co dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: uczyniono to, aby dostać się do szpiku. Jednakże jakież stworzenie prócz człowieka łamie kości, aby wysysać z nich szpik? Może szczątki były niemym świadectwem okropnej, ludożerczej uczy jakiegoś oszalałego z głodu nieszczęśnika?

Conan zastanawiał się, czy i jego dyndające w tych zardzewiałych łańcuchach gnaty zostaną kiedyś znalezione w podobnym stanie. Stłumił w sobie bezrozumny strach schwytanego w potrzask wilka.

Cymeryjczyk nie kłął, nie wrzeszczał, nie szlochał i nie odchodził od zmysłów, jak mógłby czynić na jego miejscu cywilizowany człowiek. Jednak ból i burczenie w brzuchu wcale się przez to nie zmniejszyły. Jego wielkie ciało dygotało od miotających nim emocji. Gdzieś daleko na zachodzie nemedijska jazda ogniem i mieczem torowała sobie drogę do serca jego królestwa. Mała armia poitaińska nie zdołała ich powstrzymać. Prospero może utrzyma Tarantię przez kilka tygodni lub miesięcy; jednak w końcu, nie otrzymawszy posiłków, będzie musiał ulec liczebnej przewadze. Baronowie na pewno wesprą jego walkę z najeźdźcami. A tymczasem on, Conan, musi leżeć

bezradnie w ciemnej celi, w czasie gdy inni dowodzą jego wojskami i walczą o jego państwo. Król zgrzytnął zębami w przyływie szalonej furii.

Nagle znieruchomiał, słysząc za przeciwległymi drzwiami skradające się kroki. Wyteżając wzrok, dojrzał niewyraźny, zgarbiony kształt po drugiej stronie kraty. Usłyszał zgrzyt metalu o metal, a potem stuknięcie zapadek, jakby przekrecono klucz w zamku. Potem postać bezgłośnie zniknęła mu z pola widzenia. Jakiś strażnik sprawdzający zamek, pomyślał. Za chwilę szczęk zamka powtórzył się, po czym zgrzytnęły otwierane drzwi, a cichy tupot nóg szybko ucichł w oddali. I znów zapadła cisza.

Conan nasłuchiwał przez chwilę, która zdała mu się bardzo długa, choć może wcale taką nie była, gdyż światło księżyca nadal wpadało przez ukryty szyb, lecz nie doczekał się żadnego dźwięku. W końcu poruszył się lekko, szczękając kajdanami. Wtedy usłyszał inne, lżejsze kroki, dobiegające zza pobliskich drzwi, przez które wniesiono go do celi. W następnej chwili w szarym świetle zamajaczyła wiotka postać.

— Królu Conanie! — powiedział niespokojny, miękki głosik. — Och, mój panie, jesteś tam?

— A gdzie mam być? — odparł ostrożnie, wykręcając głowę, żeby spojrzeć na przybyłą.

Jakaś dziewczyna stała przy drzwiach, ściskając kraty smukłymi palcami. Słaby blask z szybu za nią prześwietlał jedwabną chustę spowijającą jej biodra i migotał matowo na wysadzanych klejnotami napierśnikach. Jej czarne oczy lśniły w mroku, a białe ciało lekko błyszczało jak alabaster. Miała włosy jak czarne, spienione fale, połyskujące nawet w tym nikłym świetle.

— Oto klucz od kajdan i tamtych drzwi! — szepnęła, po czym smukła, biała dłoń wysunęła się spomiędzy krat i trzy przedmioty upadły z brzękiem na kamienną posadzkę przy Conanie.

— Co to za gra? — zapytał. — Mówisz po nemedyjsku, a ja nie mam przyjaciół w Nemedii.

Cóż za nowe diabelstwo szykuje twój pan? Czy przysłał cię tu, żebyś ze mnie drwiła?

— To nie drwiny! — Dziewczyna trzęsa się ze strachu. Bransolety i napierśniki stukały o kraty, które ściskała. — Przysięgam na Mitrę! Ukradłam te klucze czarnym strażnikom. To dozorczy podziemi, a każdy z nich ma klucz otwierający tylko jeden zamek. Społłam ich.

Tego, któremu rozbiłaś głowę, zaniecono do cyrulika i nie mogłam zdobyć jego klucza.

Jednak zabrałam pozostałe. Och, błagam, nie zwlekaj! Za tymi lochami znajdują się czeluści, które są wrotami piekieł.

Lekko poruszony Conan bez przekonania wypróbował klucz, spodziewając się

niewpowodzenia skwitowanego drwiącym śmiechem. Jednak zelektryzował go fakt, iż jeden z kluczy istotnie otwierał kajdany i pasował nie tylko do zamka łączącego je z pierścieniem, ale także do obręczy na rękach oraz nogach. Po kilku sekundach wstał, rozkoszując się odzyskaną swobodą. Szybko podszedł do kraty i zamknął dłoń na pręcie oraz na przyciśniętym doń smukłym nadgarstku. Uwięziona w ten sposób dziewczyna dzielnie uniosła głowę, by napotkać jego płonące spojrzenie.

— Kim jesteś, dziewczyno? — spytał. — Dlaczego to robisz?

— Mam na imię Zanobia — wyjąkała, jakby śmiertelnie przestraszona — i jestem tylko dziewczyną z królewskiego seraju.

— Jeśli to nie jest jakaś przeklęta sztuczka — mruknął Conan — to nie pojmuję, dlaczego przynosisz mi te klucze.

Pochyliła ciemną główkę, a potem podniosła ją, napotykając jego podejrzliwe spojrzenie.

Łzy zaiskrzyły się jak perły na jej długich, czarnych rzęsach.

— Jestem tylko dziewczyną z królewskiego seraju — powtórzyła z dumą i pokorą zarazem.

— On nigdy na mnie nie spojrział i pewnie nigdy nie spojrzy. Jestem gorsza od psów, co ogryzają kości w jego biesiadnej sali. A ja nie jestem malowaną zabawką, lecz istotą z krwi i kości.

Oddycham, nienawidzę, boję się, raduję i kocham. I pokochałam ciebie, królu Conanie, od kiedy zobaczyłam cię jadącego na czele twych rycerzy ulicami Belverusu, kiedy przed laty odwiedziłeś króla Numę. Serce wyrywało mi się z piersi, by paść w uliczny pył pod kopyta twego rumaka.

Kiedy mówiła, rumieniec wypłynął na jej policzki, lecz ciemne oczy spoglądały śmiało.

Conan nie odpowiedział od razu; jakkolwiek był dziki, gwałtowny i nieokiełznany, to jedynie największy grubianin nie dozna uczucia wzruszenia lub podziwu, gdy kobieta obnaża przed nim swą duszę.

Potem pochyliła głowę i przycisnęła czerwone usta do palców, które więziły jej smukłą dłoń, lecz zaraz drgnęła, jakby nagle przypominając sobie swoje położenie, i w jej ciemnych oczach zabłysło przerażenie.

— Spiesz się! — ponagliła szeptem. — Już po północy. Musisz iść.

— A nie obedną cię żywcem ze skóry za to, że skradłaś klucze?

— Nigdy się nie dowiedzą. Jeśli czarni będą rano pamiętać, kto dał im winą, to nie ośmielą się przyznać, że skradziono im klucze, gdy leżeli pijani. Klucz, którego nie zdołałam zdobyć, otwiera te drzwi. Musisz wyjść na wolność przez te podziemia. Nie mam pojęcia, jakie niebezpieczeństwa czyhają za drzwiami, lecz większe grożą ci, jeśli pozostaniesz w celi.

Wrócił król Tarascus...

— Co? Tarascus?

— Tak! Powrócił w wielkim sekrecie i niedługo potem zszedł do podziemi, po czym wyszedł, blady i drżący, jak człowiek, który odważył się na wielkie niebezpieczeństwo.

Słyszałam, jak szeptał do swego giermka, Arideusa, że mimo zaleceń Xaltotuna powinieneś umrzeć.

— A co z Xaltotunem? — mruknął Conan. Poczuł, jak zadrżała.

— Nawet o nim nie mów! — szepnęła. — Demony często przybywają na dźwięk jego

imienia. Niewolnicy powiadają, że leży w swojej komnacie, za zaryglowanymi drzwiami, śniąc sny czarnego lotosu. Myślę, iż nawet Tarascus lęka się go w duchu, inaczej zabiłby cię otwarcie. Jednak dziś w nocy zszedł do lochów i jeden Mitra wie, co tu robił.

— Zastanawiam się, czy to nie Tarascus majstrował niedawno przy drzwiach do mojej celi?

— mruknął Conan.

— Masz sztylet! — szepnęła, wsuwając coś między kraty. Jego palce chciwie zacisnęły się na znajomym przedmiocie. — Wyjdź szybko tamtymi drzwiami, skręć w lewo i idź wzdłuż cel, aż dojdiesz do kamiennych schodów. Nie zbaczaj z drogi, jeśli ci życie miłe! Wejdź po schodach i otwórz drzwi na ich szczycie; jeden z kluczy będzie do nich pasować. Jeśli Mitra pozwoli, tam się spotkamy.

Potem zniknęła, z cichym tupotem nóg obutych w miękkie cizemki.

Conan wzruszył ramionami i skierował się ku przeciwległej kracie. Mógł wpaść w jakąś szatańską pułapkę zastawioną przez Tarascusa, lecz skok na oślep na spotkanie

niebezpieczeństwu mniej sprzeciwiał się naturze Conana niż pełne rezygnacji oczekiwanie na śmierć. Obejrzał otrzymaną od dziewczyny broń i uśmiechnął się ponuro. Kimkolwiek była, okazała się osobą niezwykle praktyczną. Nie był to wąski sztylecik, wybrany dla wysadzanej klejnotami rękojeści lub złotego jelca, który nadawałby się jedynie do wykwintnego morderstwa w buduarze damy, lecz solidny puginał, broń wojownika, o szerokim,

czterdziestocentymetrowym ostrzu, zwężającym się w ostry jak igła koniec.

Wydał pomruk zadowolenia. Dotyk rękojeści poprawił mu samopoczucie i dodał pewności siebie. Jakikolwiek zarzucano by nań sieci intryg, jakiegokolwiek szykowano podstępny i zdrady, ten nóż był prawdziwy. Potężne mięśnie prawego ramienia barbarzyńcy stężały, szykując się do morderczego ciosu.

Podszedł do przeciwległych drzwi celi i spróbował kluczy. Krata nie była zamknięta. A przecież pamiętał, że czarny ją zamknął. Zatem ta tajemnicza, zgarbiona postać nie była strażnikiem sprawdzającym rygle. Wprost przeciwnie, odsunęła je. Fakt, iż furta była otwarta, miał złowrogą wymowę. Jednak Conan nie wahał się. Pchnął kratę i wyszedł z celi w ciemność.

Tak jak przypuszczał, nie znalazł za drzwiami kolejnego korytarza. Kamienna posadzka biegła w dal wraz z rzędem cel po prawej i lewej stronie, lecz nie mógł dojrzeć jej kresu w pozostałych kierunkach. Nie widział ani sklepienia, ani ścian. Księżycowy blask sączył się do tego ogromnego pomieszczenia jedynie przez kraty cel, a wszystko niemal tonęło w mroku.

Oczy mniej bystre od Conanowych ledwie dostrzegłyby rząd ciemnoszarych plam przed drzwiami

każdej celi.

Cymeryjczyk skręcił w lewo i ruszył szybko i bezgłośnie wzdłuż szeregu cel, bezszelestnie stąpając bosymi stopami po kamiennych płytach posadzki. Mijał kolejne cele, zaglądając do każdej. Wszystkie były puste, lecz zamknięte. W niektórych dostrzegał błysk zbieleiałych kości. Te lochy stanowiły relikty mroczniejszych czasów; zbudowano je dawno temu, gdy Belverus był bardziej fortecą niż miastem. Jednak najwidoczniej ostatnio używano ich częściej, niż sądził świat.

W końcu Conan dostrzegł przed sobą ledwie widoczne, biegnące stromo w górę stopnie i domyślił się, że to schody, których szukał. Nagle obrócił się na pięcie i zapadł w głęboki cień u podnóża schodów.

Gdzieś za nim coś się poruszało — wielkie, przyczajone, cicho stawiające nogi nie zakończone ludzkimi stopami. Spojrzał wzdłuż długiego rzędu cel i ścielących się przed nimi prostokątów światła, nie będących niczym więcej jak plamami mniej gęstego mroku. Jednak dojrzał tam coś, co się poruszało. Nie miał pojęcia, co to takiego, jednak było ogromne i ciężkie, a mimo to szybsze i zwinniejsze od człowieka. Dostrzegał to coś na tle szarych prostokątów poświaty i tracił z oczu, gdy wtapiało się w zalegający między nimi cień. To było niesamowite w swej bezgłośnej wędrówce, pojawiające się i znikające jak widziadło. Słyszał

grzechot krat, gdy po kolei próbowało każde drzwi. W końcu dotarło do celi, którą tak niedawno opuścił, i mocno szarpnięta krata otworzyła się na oścież. Przez moment widział

ogromny, przysadzisty kształt na szarym tle przejścia; potem stwór zniknął w celi. Pot zrosił

czoło i dłonie Conana. Teraz już wiedział, dlaczego Tasascus po cichu podkraść się do drzwi jego lochu, a potem umknął tak szybko. Król otworzył kratę, po czym — gdzieś w tych diabelskich podziemiach — odemknął celę lub klatkę, w której trzymano jakieś okropne monstrum. Teraz stwór wyłonił się z lochu i znów ruszył korytarzem, trzymając niekształtny łeb tuż nad ziemią. Przestał zważać na pozamykane cele. Chwycił trop. Teraz Conan widział

go wyraźniej; szara poświata obrysowała gigantyczne, człekokształtne cielsko, ale o wiele większe i cięższe od ciała jakiegokolwiek człowieka. Stwór szedł na dwóch nogach, mocno nachylony, szary i kudłaty, o gęstym futrze przetykanym siwizną. Łeb był potworną parodią ludzkiej głowy, a długie ramiona zwieszały się niemal do ziemi.

Conan rozpoznał go w końcu — zrozumiał znaczenie tych połamanych i skruszonych kości w lochu — i już wiedział, kim jest postrach tych podziemi. To była szara małpa, odrażający ludożerca z puszczy porastających górzyste wschodnie brzegi morza Vilayet. Te na wpół

mityczne, lecz zupełnie przerażające małpy były trollami hyboryjskich legend, prawdziwymi wilkołakami, kanibalami i mordercami z ciemnych puszczy.

Poczuł, że bestia zwierzyła jego obecność, gdyż zbliżała się szybciej, pospiesznie przetaczając baryłkowate cielsko na krótkich, krzywych, potężnych łapach. Obrzucił

spojrzeniem strzemił schody, lecz zorientował się, że stwor spadnie mu na kark, zanim zdola dopaść odległych drzwi. Postanowił stawić mu czoła.

Pospiesznie przemieścił się do najbliższej plamy księżycowego blasku, aby jak najlepiej wykorzystać nikłe światło, gdyż wiedział, iż bestia lepiej niż on widzi w ciemnościach.

Dostrzegła go natychmiast; błysnęła w mroku wielkimi, żółtymi kłami, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Stwory ciszy i ciemności, szare małpy znad Vilayet, były nieme. Jednak odrażające rysy, które jakby parodiowały ludzką twarz, wykrzywił grymas upiornego triumfu.

Conan stał w gotowości, bez mrugnięcia okiem przyglądając się nadchodzącemu

potworowi. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi postawić swe życie na kartę jednego pchnięcia; nie będzie miał okazji zadać kolejnego, nie zdąży też odskoczyć po zadaniu ciosu.

Pierwsze uderzenie musi zabić i to zabić natychmiast, jeżeli ma przeżyć to straszliwe starcie.

Obrzucił spojrzeniem krótką, krępą szyję, owłosione brzuszysko i mocarną pierś, wypiętrzoną w dwa gigantyczne sklepienia niczym bliźniacze tarcze. Musi mierzyć w serce; lepiej zaryzykować, że ostrze ześlizgnie się po grubych żebrach, niż zadać cios, który nie zabije od razu. W pełni świadom dysproporcji, Conan porównał siłę swych mięśni, pewność oka i ręki z potworną krzepą i dzikością ludożercy. Musi spotkać się ze stworem pierś w pierś, zadać śmiertelny cios, a potem ufać, że jego kości okażą się wystarczająco twarde, aby wytrzymać nieuniknione starcie.

Gdy małpa, nie zwalniając kroku, runęła nań z szeroko rozłożonymi, mocarnymi łapskami, zanurkował między nie i pchnął całą siłą swej rozpaczki. Poczł, jak ostrze wbija się po rękojeść we włochatą pierś; w oka mgnieniu puścił sztylet, wciągnął głowę w ramiona i zwał

całe ciało w masę skłębionych mięśni, jednocześnie wymierzając kolaniem potężnego kopniaka w podbrzusze potwora i starając się znieść miazdzący uścisk jego łap.

Przez moment czuł się tak, jakby trzęsienie ziemi rozrywało mu ciało na strzępy; nagle, uwolniony, legł na podłodze obok potwora, który z postawionymi w słup czerwonymi ślepiami i drgającą w piersi rękojeścią sztyletu wydawał ostatnie tchnienie. Rozpaczliwy cios sięgnął celu.

Conan sapał jak po długim starciu, trzęsąc się na całym cieie. Miał wrażenie, że ma połamane wszystkie kości, krew ciekła mu z zadrapań pozostawionych przez pazury; mięśnie oraz ścięgna zdawały się okrutnie ponaciągane i poskręcane. Gdyby bestia żyła choć chwilę dłużej, z pewnością rozerwałaby go na kawałki. Ogromna siła Cymeryjczyka oparła się jednak przez tę krótką chwilę konwulsyjnemu uściskowi małpy, która rozszarpałaby na strzępy człowieka słabszej postury.

VI

PCHNIĘCIE NOŻA

Conan pochylił się i wyrwał nóż z piersi potwora. Potem pobiegł schodami w górę. Nie miał pojęcia, jakie jeszcze przerażające monstra mogą kryć się w ciemnościach, ale nie miał już ochoty na spotkanie z żadnym z nich. Takie gwałtowne starcia zbyt wyczerpywały nawet olbrzymiego Cymeryjczyka. Księżycowy blask na posadzce przygasał, mrok gęstniał, a bliski paniki barbarzyńca pędził ile sił w nogach po schodach. Wydał głośne westchnienie ulgi, gdy dotarł do ich szczytu i przekonał się, że trzeci klucz pasuje do zamka. Delikatnie uchylił drzwi i wyciągnął szyję, aby przez nie wyrzucić, po trosze oczekując ataku jakiegoś ludzkiego lub nieludzkiego wroga.

Ujrzał pusty, słabo oświetlony, kamienny korytarz oraz wiotką, gibką postać stojącą na progu.

— Wasza Wysokość! — usłyszał cichy, rozedrgany okrzyk ulgi i lęku. Dziewczyna skoczyła ku niemu, ale zaraz zawahała się, jakby zawstydzona.

— Krwawisz — powiedziała. — Jesteś ranny!

Z niecierpliwym gestem przeszedł nad tym do porządku dziennego.

— Zwyczajne draśnięcia, które nie zaboląłyby dzieciaka. Ale twój nożyk bardzo mi się przydał. Gdyby nie on, małpa Tarascusa łupałaby właśnie moje piszczele, żeby wyssać szpik.

Tylko co teraz?

— Chodź za mną — szepnęła. — Wyprowadzę cię za mury. Ukryłam tam konia.

Odwróciła się, aby pójść przodem, lecz Conan położył ciężką dłoń na jej nagim ramieniu.

— Idź obok mnie — nakazał łagodnie, otaczając potężnym ramieniem jej smukłą kibić. —

Do tej pory grałaś ze mną uczciwie, więc skłonny jestem ci wierzyć; jednak dożyłem swoich lat tylko dlatego, że nie ufałem bez reszty nikomu — żadnemu mężczyźnie i żadnej kobiecie.

No! Jeśli mnie teraz zwodzisz, nie dożyjesz chwili, w której będziesz mogła się śmiać z tego żartu.

Nie wzdrygnęła się ani na widok zbrozonego ostrza, ani pod dotknięciem twardych mięśni na swym gibkim ciele.

— Zarznij mnie bez litości, jeśli cię zwodzę — odparła. — Już sam dotyk twego ramienia, nawet gdy mi grozisz, jest jak spełniający się sen.

Łukowato sklepiony korytarz kończył się drzwiami, które otworzyła. Za nimi leżał inny czarnoskóry; olbrzym w turbanie i w przepasce biodrowej, z jataganem leżącym na kamiennej posadzce obok jego

dłoni. Nie ruszał się.

— Dosypałam mu makowego proszku do wina — szepnęła dziewczyna, omijając

rozciągniętą na podłodze postać. — To ostatni ze strażników podziemi. Nikt nigdy stąd nie uciekł i nikt nie pragnął ich zwiedzać; tak więc strzegą ich tylko ci czarni strażnicy. Ze wszystkich sług tylko oni wiedzą, że to króla Conana Xaltotun przywiózł swym rydwanem jako jeńca. Nie mogłam zasnąć i widziałam to z górnego okna wychodzącego na dziedziniec, podczas gdy inne dziewczyny spały; wiedziałam bowiem, że na zachodzie toczyła się bitwa i bałam się o ciebie... Widziałam, jak czarni wnoszą cię na schody i rozpoznałam cię w świetle księżyca. Dziś w nocy zakradłam się do tego skrzydła pałacu, w samą porę, by zobaczyć, jak znoszą cię do podziemi. Nie odważyłam się przyjść tu przed zmrokiem. Pograżony w narkotycznym śnie, musiałeś przeleżeć w komnacie Xaltotuna cały dzień. Och, strzeżmy się!

Przedziwne rzeczy dzieją się dzisiejszej nocy w pałacu. Niewolnicy powiadają, iż Xaltotun śpi, jak to często czyni, odurzony stygijskim lotosem, ale Tarascus jest w pałacu. Wszedł po kryjomu tylnym wejściem, okutany w płaszcz zakurzony jak po długiej podróży, jedynie w asyście giermka, tego chudego milczka Arideusa. Nie rozumiem tego, ale boję się.

Dotarli do podnóża wąskich spiralnych schodów i pokonawszy je, przeszli sekretnym przejściem za ruchomą płytą w ścianie. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, dziewczyna zasunęła ją i płyta na powrót stała się częścią ozdobnej ściany.

Byli teraz w obszerniejszym korytarzu, wyścielonym dywanami i gobelinami, nad którymi złotym blaskiem świeciły wiszące lampy.

Conan czujnie nasłuchiwał, lecz w całym pałacu zalegała głucha cisza. Nie wiedział, w jakim skrzydle się znajduje, ani w jakim kierunku leży komnata Xaltotuna. Drżąca dziewczyna powiodła go korytarzem, aż w końcu stanęli przed alkową zasłoniętą aksamitną kotarą. Odsunąwszy ją, Zanobia poleciała mu gestem wejść do niszy i szepnęła:

— Czekaj tu! Za tymi drzwiami na końcu korytarza można o każdej porze dnia i nocy napotkać niewolników lub eunuchów. Sprawdzę, czy droga wolna, nim pójdziemy dalej.

Natychmiast obudziły się w nim podejrzenia.

— Czyżbyś prowadziła mnie w pułapkę?

Do ciemnych oczu nabiegły łzy. Dziewczyna opadła na kolana i chwyciła go za muskularną dłoń.

— Och, mój królu, zaufaj mi teraz! — błagała. — Jeśli zwątpisz i zawahasz się, będziemy zgubieni! Czy po to wyprowadzałabym cię z lochów, żeby cię teraz zdradzić?

— W porządku — mruknął. — Zaufam ci, ale, na Croma, trudno pozbyć się przyzwyczajęń całego życia. Chociaż nawet gdybyś mi teraz ściągnęła na kark całą nemedyjską armię nie skrzywdziłbym cię. Gdyby nie ty, ta przeklęta małpa Tarascusa dopadłaby mnie zakutego w łańcuchy i bezbronego. Rób, co chcesz, dziewczyno.

Ucałowałszy jego ręce, zwinnie zerwała się z podłogi i pobiegła korytarzem, by zniknąć za ciężkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami.

Spoglądał za nią i rozmyślał, czy okazał się głupcem, ufając jej; potem wzruszył potężnymi ramionami i zaciągnął aksamitne zasłony, maskując swoją kryjówkę. Nic w tym osobliwego, że namiętna młoda piękność ryzykuje życiem, aby mu pomóc; takie przypadki dość często mu się zdarzały. Wiele kobiet spoglądało nań łaskawym okiem — zarówno w czasach jego wędrówek, jak i podczas królowania.

Jednak czekając na jej powrót, nie siedział beczynnym w alkowie. Wiedziony instynktem zbadał niszę w poszukiwaniu innego wyjścia i w końcu je znalazł — zamaskowany kotarą wylot wąskiego korytarzyka wiodącego do kunsztownie rzeźbionych drzwi, ledwie

widocznych w słabym świetle padającym z głównego korytarza. Gdy na nie patrzył, usłyszał

z ich drugiej strony odgłos otwierania i zamykania jakichś innych drzwi, a potem cichy gwar głosów. Jeden z tych głosów brzmiał znajomo i śniadą twarz Conana wykrzywił groźny grymas. Bez wahania prześlizgnął się korytarzykiem i niczym polująca pantera przycisnął się pod drzwiami. Nie były zamknięte, więc delikatnie manipulując, uchylił je z sobie właściwym zuchwałym lekceważeniem wszelkich ewentualnych skutków.

Po drugiej stronie drzwi zasłaniała kotara, lecz przez małe rozcięcie w aksamicie ujrzał

komnatę oświetloną blaskiem świecy ustawionej na hebanowym stole. W pomieszczeniu znajdowało się dwóch mężczyzn. Jednym był ospowaty, podejrzanie wyglądający łotrzyk w skórzanych spodniach i wystrzępionym płaszczu, drugim — Tarascus, król Nemedii.

Tarascus wyglądał na wzburzonego. Był blady i wciąż niespokojnie oglądał się za siebie, jakby oczekując na jakiś dźwięk lub odgłos kroków, a jednocześnie obawiając się je usłyszeć.

— Ruszaj niezwłocznie — mówił. — On jest teraz pogrążony w narkotycznym śnie, lecz nie wiem, kiedy się zbudzi.

— Dziwnie słyszeć słowa strachu z ust Tarascusa — burknął tamten chrapliwym, głębokim głosem.

Król zmarszczył brwi.

— Dobrze wiesz, że nie boję się żadnego zwykłego człowieka. Jednak gdy ujrzałem, jak runęły urwiska pod Valkią, pojąłem, iż ten demon, którego wskrzesiliśmy, nie jest zwykłym szarlatanem. Obawiam się jego mocy, ponieważ nie znam ich w pełni. Jednak wiem, że wiążą się w jakiś sposób z tą przeklętą rzeczą, którą mu skradłem. Ona przywróciła mu życie, musi więc być źródłem jego magii. Dobrze ją ukrył, lecz szpiegujący go z mojego rozkazu niewolnik widział, jak umieszcza ją w złotej szkatułce, i wyszedł, gdzie chowa szkatułę.

Mimo to nie odważyłbym się tego ukraść, gdyby Xaltotun nie zapadł w swój lotosowy sen.

Sądzę, iż w tym kryje się tajemnica jego potęgi. Przy pomocy tego Orastes przywrócił mu życie i za jej pomocą on, jeśli nie będziemy się strzec, uczyni nas wszystkich niewolnikami.

Tak więc weź to i ciśnij w morze, jak ci kazałem. A upewnij się, że jesteś daleko od brzegu, żeby żaden przyływ czy sztorm nie wyrzucił tego na plażę. Zapłacono ci.

— Tak jest — mruknął łotrzyk. — A dostałem coś więcej niż złoto, królu; zaciągnąłem dług wdzięczności. Nawet złodzieje potrafią być wdzięczni.

— Cokolwiek, jak uważasz, jesteś mi winien — odparł Tarascus — zostanie spłacone z nawiązką, gdy rzucisz tę rzecz w morze.

— Pojadę konno do Zingary, a tam wsiądę na statek do Kordawy — obiecywał tamten. —

Nie ośmielę się pokazać w Argos, ze względu na morderstwo, jakie...

— Nie dbam o to, bylebyś zrobił swoje. Masz; koń czeka na dziedzincu. Ruszaj, a żywo!

Coś przeszło z rąk do rąk, coś, co płonęło jak żywy ogień. Conan widział tę rzecz jedynie przez mgnienie oka; potem łotrzyk nasunął na oczy kapelusz z miękkim rondem, owinał się opończą i pospiesznie wyszedł z komnaty. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Conan ruszył z niszczycielską furią wyzwolonej żądy krwi. Nie był w stanie dłużej się hamować. Widok wroga w zasięgu ręki sprawił, że krew zawrzała mu w żyłach, i pozbawił wszelkiej ostrożności czy rozwagi.

Tarascus właśnie odwracał się do drzwi, gdy Conan rozerwał draperie i skoczył do komnaty jak krwiożercza pantera. Tarascus obrócił się, lecz nim zdołał choćby rozpoznać napastnika, dosięgnął go sztylet Cymeryjczyka.

Jednak już w chwili gdy uderzał, Conan wiedział, że cios nie był śmiertelny. Stopa uwięzła mu w fałdach kotary i zatrzymała w pół skoku. Koniec sztyletu ześlizgnął się po barku Tarascusa i przeorał żebra. Król Nemedii wrzasnął.

Impet uderzenia i ciężar ciała rozpedzonego barbarzyńcy rzuciły go na stół, ten zaś przewrócił się i świeca zgasła. Obaj runęli na podłogę, zaplątując się w fałdy zasłony. Conan dźgał na oślep w ciemnościach, a oszalały z przerażenia Tarascus wrzeszczał wniebogłosy.

Strach dodał mu nadludzkiej siły i Nemedyczyk zdołał się wyrwać, rycząc:

— Pomocy! Straż! Arideusie! Orastesie! Orastesie!

Conan wstał, odrzucił kopniakiem płaczące się pod nogami zasłony oraz szczątki stołu i zaklął wściekle. Nie wiedział, co robić, nie znał bowiem rozkładu pałacu. Krzyki Tarascusa jeszcze odbijały się echem w oddali, a już odpowiedział im nieskładny chór głosów.

Nemedyczyk umknął mu w ciemnościach, zaś Conan nie wiedział, którądy. Wiedziony żądzą zemsty Cymeryjczyk chybił i nie pozostawało mu nic innego, jak ratować własną skórę — o ile to było możliwe.

Klnąc wymyślnie, Conan przemknął sekretnym przejściem do alkowy i wyrżał na oświetlony korytarz w tej samej chwili, gdy z oczyma rozszerzonymi ze strachu nadbiegła Zanobia.

— Och, co się stało? — krzyknęła. — Ktoś podniósł alarm w pałacu! Przysięgam, że ja nie zdradziłam...

— Nie, to ja poruszyłem to gniazdo szerszeni — mruknął. — Próbowałem wyrównać rachunek. Jak się stąd można najszybciej wydostać?

Chwyliła go za rękę i popędziła korytarzem. Jednak zanim dotarli do wielkich drzwi na jego drugim końcu, usłyszeli za sobą stłumione głosy, a portal zadygotał od uderzeń z zewnątrz. Zanobia załamała rękę i jęknęła:

— Odcięli nam drogę! Zamknęłam te drzwi, wracając. Jednak wyłamią je lada chwila. A tędy wiedzie droga do tylnych wrót.

Conan okręcił się na pięcie. W korytarzu, chociaż wciąż poza zasięgiem wzroku, słychać było narastający zgiełk, który świadczył o bliskości nieprzyjaciela zarówno z przodu, jak i z tyłu.

— Szybko! Tymi drzwiami! — zawołała z rozpaczą dziewczyna, przebiegając korytarz i otwierając drzwi komnaty.

Conan skoczył za nią i zasunął złoty rygiel. Znaleźli się w wykwintnie umeblowanej izbie; Zanobia pociągnęła barbarzyńcę do okna opatrzonego złotą kratą, za którą ujrzał drzewa i krzaki.

— Jesteś silny — wysapała. — Jeżeli wyłamiesz te kraty, możesz jeszcze uciec. Ogrodu pilnuje wielu strażników, ale zarośla są gęste i może zdołasz im umknąć. Murowane ogrodzenie na południu stanowi zarazem zewnętrzny mur miasta. Jeśli uda ci się tam dotrzeć, może się wydostaniesz. Koń dla ciebie czeka ukryty w gąszczu przy drodze wiodącej na zachód, kilkaset kroków na południe od fontanny Thrallosa. Wiesz, gdzie to jest?

— Tak! Lecz co z tobą? Chciałem cię zabrać ze sobą. Jej śliczna twarzyczka pojaśniała z radości.

— A więc dopełnił się puchar mej radości! Jednak nie będę opóźniać twojej ucieczki.

Byłabym ci tylko ciężarem. Nie, nie lękaj się o mnie. Nie będą podejrzewać, że pomogłam ci dobrowolnie. Idź! To, co mi powiedziałeś, rozjaśni mi życie na długie lata.

Pochwycił ją w żelazne ramiona, przycisnął do piersi smukłą, drżącą kibić i całował

namiętnie oczy, policzki, szyję i usta, aż na wpół omdlała w jego objęciach; jego miłość była jak on sam dzika i gwałtowna jak pustylny wiatr.

— Pójdę — mruknął. — Lecz, na Croma, kiedyś po ciebie wrócę!

Odwrócił się, złapał złote pręty i jednym potężnym szarpnięciem wyrwał je z framugi; przełożył nogę przez okienny parapet i zaczął szybko opuszczać się w dół, wykorzystując zdobiące mur płaskorzeźby. Zaczął biec, nim jeszcze dobrze dotknął ziemi, i zniknął jak duch w labiryncie różanych krzewów i rozłożystych drzew. Zerknąwszy przez ramię, ujrzał

Zanobię wychylającą się z okna i podnoszącą rękę w geście pożegnania.

W ogrodzie roilo się od strażników — rosnących mężów w lśniących półpancerzach i grzebieniastych hełmach z polerowanego brązu. Wszyscy biegli w kierunku pałacu, skąd dochodził narastający zgiełk. Światło gwiazd krzeszło skry na błyszczących zbrojach, zdradzając każdy ich ruch wśród drzew; poszczekiwanie rysztyunku jeszcze wcześniej zapowiadało ich przybycie. Wychowanemu w dziczy Conanowi ten hałaśliwy galop przez zarośla wydawał się odgłosem spłoszonego stada bydła. Kilku z nich przebiegło niedaleko od miejsca, gdzie leżał ukryty w gąszczu, nawet nie podejrzewając jego obecności. Zdążyli do pałacu, nie zważając na nic. Gdy z wrzaskiem pobiegli dalej, barbarzyńca wstał i pomknął

przez ogród, nie czyniąc więcej hałasu niż pantera na łowach.

W ten sposób szybko dotarł do południowego muru i wspiął się na schody wiodące na parapet. Mur postawiono po to, aby nie pozwalał wejść, a nie zejść. Nie było widać żadnego wartownika patrolującego umocnienia. Kucnąwszy przy strzelnicy, Conan obejrzał się na wielki pałac wznoszący się nad korony cyprysów. Widział światła pałace się we wszystkich oknach i postaci biegające tam i z powrotem jak marionetki na niewidzialnych sznurkach.

Wyszczrzył zaciśnięte zęby, potrząsnął pięścią w geście pożegnania i groźby, po czym zeskoczył z zewnętrznej krawędzi blanki.

Niskie drzewko, którego korona znajdowała się parę metrów poniżej, przyjęło ciężar Conana, który bezszelestnie opuścił się między gałęzie. Po chwili już gnał przez półmrok rozkołysanym krokiem człowieka gór, szybko pożerającego długie mile drogi. Mury Belverusu były otoczone ogrodami i letnimi rezydencjami bogaczy. Senni niewolnicy, drzemający wsparci na swych pikach, nie zauważyli zwinnej, przyczajonej postaci, która wspięła się na mury, przemknęła przez aleje pod sklepieniem z konarów drzew i bezgłośnie prześlizgnęła się przez ogrody oraz winnice. Psy łańcuchowe zbudziły się i głuchym jazgotem obwieściły przybycie cienia, na poły zwietrzywszy, a na poły przeczuwszy jego obecność, nim zniknął w mroku.

W swej pałacowej komnacie Tarascus klął na zbryzganej krwią sofie, wijąc się pod zwinnymi, szybkimi palcami Orastesa. W pałacu roilo się od trzęsących się sług o rozszerzonych ze strachu oczach, lecz w komnacie, w której spoczywał król, oprócz niego i kapłana — renegata nie było nikogo.

— Jesteś pewien, że on wciąż śpi? — zapytał jeszcze raz Tarascus, zaciskając zęby z bólu wywołanego piekącym ziołowym wywarem, którym Orastes przemywał długie, poszarpane rozcięcie na ramieniu i żebrach. — Isztar, Mitro i Secie! To pali jak topiona smoła Piekieł!

— Której, gdyby nie twoje szczęście, właśnie kosztowałbyś — zauważył Orastes.

Ktokolwiek dzierzył ten nóż, uderzył, aby zabić. Tak, mówiłem ci już, że Xaltotun wciąż śpi.

Dlaczegoż tak cię to gnębi? Co on ma z tym wspólnego?

— Zatem nic ci nie wiadomo o tym, co wydarzyło się dziś w nocy w pałacu? — Tarascus zmierzył kapłana płonącym spojrzeniem.

— Nie mam pojęcia. Jak wiesz, już od kilku miesięcy byłem zajęty tłumaczeniem dla Xaltotuna pewnych ezoterycznych manuskryptów, napisanych w młodszych językach, na pismo, które on potrafi odczytać. On zna w mowie i w piśmie wiele języków swej epoki, lecz jeszcze nie nauczył się wszystkich, więc dla zaoszczędzenia czasu kazał mi przetłumaczyć te prace, aby sprawdzić, czy od jego czasów poczyniono w tej dziedzinie jakieś odkrycia.

Powrócił zeszłej nocy i przysłał po mnie, aby opowiedzieć mi o bitwie. Potem

kontynuowałem moje badania i nie wiedziałem, że wróciłeś, aż zgiełk w pałacu wywabił mnie z komnaty.

— A więc nie wiesz, że Xaltotun sprowadził tutaj króla Akwilonii jako jeńca?

Orastes bez szczególnego zdziwienia potrząsnął głową.

— Xaltotun powiedział tylko, że Conan już nie stanie nam na drodze. Domyślałem się, że padł, ale nie pytałem o szczegóły.

— Xaltotun ocalił mu życie, kiedy chciałem go zabić — warknął Tarascus. — .Natychmiast przejrzałem jego zamiary. Będzie więził Conana, aby trzymać go niczym maczugę nad naszymi głowami — nad Amalrykiem, nad Valeriuszem i nade mną. Dopóki Conan żyje, stanowi groźbę jako czynnik jednoczący Akwilonię i może zostać wykorzystany do popchnięcia nas do działań, jakich w innym wypadku nigdy byśmy nie podjęli. Nie ufam temu wskrzeszonemu Pythonijczykowi. Ostatnio zacząłem obawiać się go. Podążyłem za nim kilka godzin po tym, jak odjechał na wschód. Chciałem dowiedzieć się, co zamierza uczynić z Conanem. Stwierdziłem, że uwięził go w lochach. Zamierzałem zadbać o to, by barbarzyńca umarł — wbrew woli Xaltotuna. Udało mi się...

Przerwało mu ciche pukanie do drzwi.

— To Arideus — mruknął Tarascus. — Wpuść go. Wszedł posępny giermek — jego oczy błyszczały skrywanym podnieceniem.

— I co, Arideusie? — zawołał Tarascus. — Znaleźliście człowieka, który na mnie napadł?

— A nie widziałeś go, panie? — spytał Arideus jak ktoś, kto jedynie upewnia się co do znanego już faktu. — Nie rozpoznałeś go?

— Nie. Wszystko wydarzyło się tak szybko, świeca zaraz zgasła... Wydało mi się, iż to jakiś demon nasłany na mnie przez czary Xaltotuna...

— Pythonijczyk śpi w swej okratowanej i zaryglowanej komnacie. Ale byłem w

podziemiach... — Szczupłe ramiona Arideusa dygotały z emocji.

— No już, gadaj, człowieku! — wrzasnął niecierpliwie Tarascus. — Co tam znalazłeś?

— Pusty loch — szepnął giermek. — Zewłok wielkiej małpy!

— Co!?! — Tarascus gwałtownie usiadł na łożu, aż krew trysnęła mu z otwartej rany.

— Tak! Ludojad nie żyje — pchnięty w serce — a Conana nie ma!

Pobladły jak trup Tarascus pozwolił, by Orastes ponownie, ułożył go na posłaniu i znów zajął się jego pokieroszowanym ciałem.

— Conan! — powtórzył. — Nie został zmiażdżony przez małpę — uciekł! Mitro! To nie człowiek, lecz diabeł wcielony! Myślałem, że moja rana to dzieło Xaltotuna. Teraz wiem.

Bogowie i demony! To Conan mnie dźgnął! Arideusie!

— Tak, Wasza Wysokość?

— Przeszukać każdy zakamarek pałacu. Może właśnie skrada się ciemnymi korytarzami jak wygłodniały tygrys. Zajrzyjcie w każdą wnękę i strzeżcie się. Nie szukacie cywilizowanego człowieka, lecz krwiożerczego barbarzyńcy, siłą i gwałtownością dorównującego dzikiej bestii. Przecheszcie tereny wokół pałacu i miasto. Postawcie kordon wzdłuż murów. Jeśli stwierdzisz, iż umknął z miasta, co z powodzeniem mógł uczynić, weź oddział jezdnych i ścigaj go. Kiedy znajdzie się za murami, będą to łowy na wilka pośród wzgórz. Jednak pospiesz się, a może ci się uda. — To zadanie wymaga czegoś więcej niż zwykłego ludzkiego sprytu — rzekł Orastes. — Może powinniśmy poprosić o radę Xaltotuna.

— Nie! — przerwał mu gwałtownie Tarascus. — Niech zbrojni ścigają Conana i zabiją go.

Xaltotun nie będzie mógł mieć nam za złe, jeśli zabijemy więźnia, aby zapobiec ucieczce.

— No cóż — rzekł Orastes. — Nie jestem Acheronczykiem, lecz znam nieco sztukę

tajemną i panuję nad pewnymi duchami, mogącymi przybrać cielesną postać. Może zdołam wam pomóc.

Fontanna Thrallosa biła na polance okolonej kręgiem dębów rosnących przy drodze o milę od miejskich murów. Jej melodyjne szemranie dobiegło do uszu Conana przez ciszę rozgwieżdżonej nocy. Ugasił pragnienie jej lodowatym strumieniem, a potem ruszył na południe, w kierunku gęstego zagajnika, który tam dojrzał. Obchodząc go wokół, ujrzał

wielkiego, białego rumaka uwiązanego wśród krzaków. Wydawszy głębokie westchnienie ulgi, rzucił się doń jednym susem — po czym błyskawicznie obrócił się i groźnie zmarszczył

brwi, słysząc drwiący śmiech.

Z cienia wyłoniła się jakaś postać odziana w stal, matowo błyszczącą w świetle księżyca.

Nie był to jeden z ozdobionych pióropuszcami gwardzistów w wypolerowanych pancerzach, lecz wysoki mężczyzna w szyszaku i szarej kolczudze — należący do Awanturników, elitarnej kasty nemedyjskich wojowników; ludzi, którzy nie osiągnęli bogactwa czy splendoru stanu rycerskiego bądź też ze stanu tego wypadli, zahartowanych wojowników, spędzających życie na wojaczce i przygodach. Tworzyli własną klasę, czasami dowodzili wojskami, lecz sami nie przyjmowali rozkazów od nikogo prócz króla. Conan wiedział, że nie mógł napotkać groźniejszego przeciwnika.

Szybko zerknąwszy na boki, barbarzyńca upewnił się, iż tamten jest sam; nabrał tchu w piersi, mocniej zaparł się stopami w ziemię i napiął mięśnie.

— Jechałem do Belverusu w sprawach Amalryka — rzekł Awanturnik, podchodząc

ostrożnie. W blasku gwiazd lśniło długie ostrze oburęcznego miecza, który trzymał obnażony w ręku. — Usłyszałem parskanie konia w zagajniku. Sprawdziłem to i zdziwiło mnie, że ktoś uwiązał rumaka w takim miejscu. Zaczekałem — i proszę, jaką otrzymałem nagrodę!

Awanturnicy żyli z tego, co zarobili swoim mieczem.

— Znam cię — mruknął Nemedyczyk. — Jesteś Conan, król Akwilonii. Zdawało mi się, że widziałem, jak zginąłeś w dolinie Valkii, ale...

Conan skoczył jak śmiertelnie ranny tygrys. Mimo iż Awanturnik był doświadczonym wojownikiem, nie miał pojęcia, jaka siła drzemie w muskularnym ciele barbarzyńcy. Atak Cymeryjczyka zaskoczył go z ciężkim mieczem na wpół uniesionym nad głowę. Nim zdołał

uderzyć czy odparować cios, sztylet króla pogrzył się w jego szyi, nad kryzą zbroi, i sięgnął

serca. Ze zduszonym charkotem Nemedyczyk zatoczył się i runął na ziemię, a Conan wprawnie wyrwał ostrze z ciała padającego. Biały koń głośno parsknął, spłoszony zapachem i widokiem przelanej krwi.

Spoglądając na leżącego bez życia wroga, Conan zastygł ze zboczonym sztyletem w dłoni i czujnie nasłuchiwał; krople potu błyszczały mu na szerokiej piersi. W zagajniku nie słychać było żadnych dźwięków prócz sennego świergotu rozbudzonych ptaków, jednak z odległego o milę miasta niósł się donośny dźwięk trąbki.

Cymeryjczyk pospiesznie pochylił się nad zabitym. Obszukawszy go, szybko przekonał się, że jakkolwiek wiadomość niósł posłaniec, miał ją przekazać ustnie. Jednak barbarzyńca nie zwlekał ani chwili. Do świtu pozostało zaledwie parę godzin. Kilka minut później biały rumak galopował białą drogą na zachód, niosąc jeźdźca odzianego w szarą kolczugę nemedyjskiego Awanturnika.

VII

UCHYLENIE ZASŁONY

Conan zdawał sobie sprawę z tego, że jedyną jego szansą jest jak najszybsza ucieczka.

Nawet nie brał pod uwagę możliwości ukrycia się gdzieś w pobliżu Belverusu do czasu, gdy odwołają pościg; był pewien, iż niesamowity sprzymierzeniec Tarascusa zdołałby go wywęszyć. Ponadto ukrywanie się i skradanie nie leżało w jego naturze; otwarta walka lub długa pogoń bardziej odpowiadały jego temperamentowi. Wiedział, żeżna dużą przewagę nad ścigającymi. Zmusi ich do męczącego wyścigu ku granicy.

Wybierając białego wierzchowca, Zanobia uczyniła dobry wybór. Jego szybkość, siła i wytrzymałość były oczywiste. Dziewczyna знаła się na broni, koniach oraz — co sprawiło Conanowi niejaką satysfakcję — na ludziach. Gnał na zachód, pokonując milę za milą.

Jechał przez uśpioną krainę, mijając ukryte w gajach wioski i dworki o białych ścianach stojące pośród rozległych pól oraz . sadów, coraz rzadsze, w miarę jak posuwał się na zachód.

Im mniej było wiosek, tym teren stawał się bardziej pofałdowany, a królujące na wzniesieniach zameczki mówiły o stuleciach granicznych wojen. Nikt jednak nie wyjeżdżał z tych warowni, aby go wyzwąć czy zatrzymać. Panowie tych zamków poszli pod sztandary Amalryka; proporce, które powinny powiewać nad tymi basztami, łopotały teraz nad równinami Akwilonii.

Zostawiwszy za sobą ostatnią nędzną wioskę, Conan porzucił drogę, która zaczynała skręcać na północny zachód, ku odległym przełęczom. Trzymać się jej, oznaczało przejazd przez nadgraniczne strażnice, obsadzone zbrojnymi, którzy nie pozwoliliby mu przejechać bez pytania. Conan wiedział, że teraz nie spotka patroli, które w czasie pokoju przemierzały po obu stronach pogranicze; pozostawały jednak strażnice, a o świcie na drodze zapewne pojawią się kawalkady powracających żołnierzy i bawole zaprzęgi wiozące rannych.

Na pięćdziesięciomilowym odcinku biegnącym z północy na południe droga z Belverusu była jedynym traktem przecinającym granicę. Wiodła przez szereg górskich przełęczy, po obu stronach których leżały rozległe obszary dzikich, słabo zaludnionych gór. Barbarzyńca nadal kierował się na zachód, zamierzając przekroczyć granicę wśród wzgórz leżących na południe od przełęczy. To był krótszy szlak, trudniejszy, lecz bezpieczniejszy dla ściganego. Jeden człowiek na koniu mógł przedrzeć się przez miejsca nie do przebycia dla licznego oddziału.

Jednak o świcie jeszcze nie dotarł do gór; pozostawały długim, niskim, błękitnym murem ciągnącym się na horyzoncie. Tutaj nie było gospodarstw ani wiosek, ani białych dworków ‘

wznoszących się wśród drzew. Poranny wietrzyk poruszał wysokimi, sztywnymi trawami i nie było nic prócz sfalowanego morza brązowych pagórków, porośniętych zeschłą trawą, i posępnych murów twierdzy wznoszącej się na odległym, niskim wzgórzu. Zbyt wiele akwilońskich wypraw w nieodległych czasach przeszło przez te góry, aby tereny na wschodzie mogły być równie gęsto zaludnione jak te w głębi kraju.

Świt gnał po murawie jak pożar stepu, a z góry niósł się upiorny klangor dzikich gęsi, których nierówny klucz szybko leciał na południe. Conan zatrzymał się w trawiastej kotlinie, po czym rozsiadł konia. Wierzchowiec ciężko robił bokami, a sierść miał zlepioną od potu.

Barbarzyńca przez kilka ostatnich godzin gnał go bezlitośnie.

Koń tarzał się i pasł w sztywnej trawie, a Conan położył się na szczycie niskiego zbocza, spoglądając na wschód. Daleko na północy mógł dostrzec drogę, z której zjechał, wijącą się jak biała wstęga ku odległemu wzniesieniu. Nie poruszały się na niej żadne czarne punkciki.

Również na murach dalekiego zamku nie dostrzegł śladu ruchu, wskazującego na to, że mieszkańcy zauważyli samotnego wędrowca.

Godzinę później okolica wciąż świeciła pustkami. Jedyne na dalekich blankach błyskała stal, a na niebie kołował kruk, to opadający, to wznoszący się, jakby w poszukiwaniu czegoś.

Conan osiodłał konia i ruszył dalej w nieco wolniejszym tempie.

Właśnie dotarł do przeciwległego krańca zbocza, gdy usłyszał przeraźliwy wrzask i zwróciwszy głowę ku górze, ujrzał krążącego nad głową, nieustannie kraczącego kruka.

Popędził wierzchowca, ale ptaszysko ciągle podążało za nim, nie dając się przegonić i przerywając ciszę poranka odrażającym krzykiem.

Trwało to godzinami, aż Conan był u kresu cierpliwości, czując, że oddałby połowę królestwa, aby móc ukreślić tę czarną szyję.

— Piekło i szatani! — ryczał w bezsilnej wściekłości, wygrażając zakutą w stal pięścią natrętnemu ptakowi. — Czemu mnie prześladujesz swoim wrzaskiem? Sczeźnij, ty czarny, diabelski pomiole, i ruszaj dziobać ziarno na wieśniaczych polach!

Zjeżdżał z pierwszego łańcucha wzgórz, gdy zdało mu się, iż słyszy za plecami echo tych ptasich wrzasków. Obróciwszy się w siodle, dostrzegł w końcu inną czarną, plamkę na błękitnym niebie. A dalej ujrzał błysk popołudniowego słońca na stali. To mogło oznaczać tylko jedno: zbrojnych. I nie podążali oni bitym traktem, który zniknął mu już z oczu za horyzontem. Jechali jego tropem.

Ze sposępniałą twarzą, czując ciarki przebiegające po grzbiecie, spojrział na kołującego wysoko w górze kruka.

— A więc to coś więcej niż kaprys bezmózgiego stworzenia? — mruknął pod nosem. — Ci jeźdźcy nie mogą cię dostrzec, piekielny pomiole, lecz ten drugi ptak widzi cię, a oni jego.

Ty podążasz za mną, on za tobą, a oni za nim. Czyś jest tylko dobrze wytresowanym pierzastym stworzeniem, czy też demonem w ptasiej postaci? Czy to Xaltotun puścił cię moim tropem? A może ty Jesteś Xaltotunem?

Odpowiedział mu tylko przeraźliwy wrzask, chrapliwy okrzyk pełen złośliwej kpiny.

Conan nie marnował już oddechu na rozmowy z czarnym szpiegiem, lecz podjął długą przeprawę przez góry. Nie odważył się ostro popędzać konia; popas był zbyt krótki, aby rumak zdołał odzyskać siły. Nadal znacznie wyprzedzał prześladowców, lecz ci będą stopniowo zmniejszać dystans. Prawie na pewno ich konie były bardziej wypoczęte niż jego; niewątpliwie zmienili je w mijanym zamku.

Szlak stawał się coraz trudniejszy, teren bardziej kamienisty, a trawiaste zbocza pięły się stromo ku gęsto zalesionym stokom gór. Wiedział, że tu mógłby umknąć swoim

prześladowcom, gdyby nie ten piekielny ptak, bezustannie wrzeszczący w górze. Wprawdzie nie widział ich z powodu nierówności terenu, lecz miał pewność, iż nadal podążali za nim, prowadzeni nieomylnie przez swych skrzydlatych sprzymierzeńców. Ten czarny cień zdawał

mu się demoniczną zmorą, gnającą za nim przez bezdenne otchłanie piekieł. Kamienie, którymi ciskał, klnąc wściekle, chybiały celu lub odbijały się od ptaszyska, choć za młodu barbarzyńca potrafił strącić sokoła w locie.

Koń szybko opadał z sił. Conan zdał sobie sprawę z ponurej beznadziejności swojej sytuacji. Za tym wszystkim wyczuwał nieubłaganą rękę losu. Nie mógł uciec, uwięziony tak samo jak w lochach Belverusu. Jednak nie był synem Orientu, by biernie godzić się z tym, co zdawało się nieuniknione. Jeśli nie zdoła uciec, przynajmniej zabierze ze sobą kilku wrogów.

Skręcił w gęstwinę cisów porastających zbocze, szukając miejsca, gdzie stoczy ostatni bój.

Nagle gdzieś z przodu rozległ się dziwny, przenikliwy krzyk, ludzki, a jednak upiornie piskliwy. Po chwili barbarzyńca rozchylił gałęzie i ujrzał źródło tego przeraźliwego krzyku.

W dole, na małej polance czterej żołdacy w nemedyjskich kolczugach zakładali stryczek na szyję chudej staruszki w wieśniaczym przyodziewku. Leżąca w pobliżu wiązka chrustu związana sznurkiem mówiła o tym, czym zajmowała się kobieta, w chwili gdy zaskoczyli ją prześladowcy.

Spoglądając w milczeniu na łotrów wlokących ją ku drzewu, którego rozłożyste gałęzie miały niewątpliwie posłużyć za szubienicę, Conan poczuł wzbierającą w sercu wściekłość.

Godzinę wcześniej przekroczył granicę. Stał na swej własnej ziemi i patrzył, jak mordują jedną z jego poddanych. Staruszka opierała się z zadziwiającą siłą i energią, a w pewnej chwili uniosła głowę i ponownie wydała ten niesamowity, donośny okrzyk, jaki słyszał

przedtem. Przelatujący nad drzewami kruk zawtórował jej drwiącym echem. Żołnierze zaśmiali się chrapliwie, a jeden uderzył kobietę w twarz.

Conan zsiadł ze strudzonego wierzchowca, zeskoczył ze skały i ze szczękiem zbroi wylądował na murawie. Na ten odgłos żołnierze błyskawicznie odwrócili się i dobyli mieczy, ze zdumieniem spoglądając na zakutego w stal olbrzymia, który stanął przed nimi z bronią w ręku.

Conan zaśmiał się ponuro. Jego spojrzenie było zimne jak gład.

— Psy! — rzekł spokojnie i nieubłaganie. — Czy nemedyjskie szakale uznały się za katów, żeby

wieszać wedle swego widzimisię poddanych? Najpierw musicie ściąć głowę ich królowi. Oto jestem, na wasze usługi!

Żołnierze spoglądali niepewnie na podchodzącego.

— Kim jest ten szaleniec? — warknął brodaty łotr. — Nosi nemedyjską zbroję, lecz mówi z akwilońskim akcentem.

— Nieważne — rzekł drugi. — Załatwmy go, a potem powiesimy staruchę.

To mówiąc, rzucił się na Conana z uniesionym mieczem. Jednak nim zdołał uderzyć, wielkie królewskie ostrze opadło, rozcinając hełm i czerep. Napastnik padł, lecz z pozostałych były tęgie zabijaki. Zawyli jak stado wilków i skoczyli ku rosłej postaci w szarej zbroi; szczęk stali zagłuszył wrzaski krążącego kruka.

Conan nie krzyczał. Z oczami jak rozżarzone, błękitne węgle i z nieprzeniknionym uśmiechem na ustach ciął na prawo i lewo swym oburęcznym mieczem. Zwinny jak kot mimo olbrzymiej postury znajdował się w nieustannym ruchu, stanowiąc tak trudny cel, że razy i pchnięcia przeciwników przeważnie przecinały powietrze. Gdy jednak sam uderzał, stał

mocno na nogach, a jego ciosy miały potworną siłę. Trzej wrogowie konali już na murawie w kałużach własnej krwi, a czwarty, krwawiący z pół tuzina ran, cofał się chwiejnie, z trudem parując ciosy, gdy ostroga Conana zaplątała się w opończę jednego z pobitych wrogów.

Król potknął się i nim zdołał odzyskać równowagę, Nemedyjeczyk w przypiływie rozpaczycy rzucił się nań tak wściekle, że Conan potknął się o trupa i legł jak długi. Tamten wrzasnął

triumfalnie, skoczył naprzód i oburącz uniósł miecz nad głowę, rozstawiwszy szeroko nogi dla wzmocnienia pchnięcia. Nagle jakiś wielki, kudłaty kształt przeleciał jak błyskawica nad leżącym królem i uderzył w pierś żołnierza, zmieniając jego okrzyk triumfu we wrzask agonii.

Podniósłszy się na nogi, Conan ujrzał ostatniego przeciwnika z rozerwanym gardłem, a nad nim ogromnego, szarego wilka, który z pochylonym łbem obwąchiwał rosnącą na murawie kałużę krwi.

Na głos staruszki król odwrócił się. Stała przed nim, wysoka i szczupła; mimo obszarpanej odzieży jej wyraziste surowe rysy oraz przenikliwe, czarne oczy wskazywały, że nie ma do czynienia ze zwykłą wieśniaczką. Zawołała wilka, a ten przybiegł do niej jak wielki pies i zaczął ocierać się barkiem o jej kolano, patrząc na Conana ogromnymi, zielonymi ślepiami.

Ona odruchowo położyła dłoń na muskularnym karku zwierzęcia i stali tak oboje, spoglądając na króla Akwilonii. Ich spojrzenia były nieco niepokojące, chociaż nie znajdował w nich wrogości.

— Ludzie powiadają, iż król Conan zginął pod zwałami skał i ziemi, gdy runęły urwiska nad Valkią — powiedziała głębokim, silnym i dźwięcznym głosem.

— Tak mówią — mruknął. Nie miał ochoty na dysputy i myślał o zbrojnych jeźdźcach, przybliżających się z każdą chwilą. Kruk nad jego głową zaskrzeczał przeraźliwie i Cymeryjeczyk

mimowolnie zerknął w górę, zgrzytając zębami w przypląwie irytacji.

Biały koń stał na szczycie urwiska z opuszczoną głową. Kobieta spojrzała nań, potem na kruka i wydała ten sam niesamowity okrzyk, co poprzednio. Jakby rozumiejąc go, kruk nagle oniemiał, skręcił i śmignął na wschód. Jednak nim zdążył znaleźć się poza zasięgiem wzroku, padł nań cień ogromnych skrzydeł. Z gęstwiny drzew wzbił się w górę orzeł i wzleciawszy nad czarnego posłańca, runął nań i przygwoździł do ziemi. Zdradliwe krakanie ucichło na zawsze.

— Na Croma! — zawołał Conan, gapiąc się na staruszkę. — Czy ty też jesteś czarodziejką?

— Jestem Zelata — odparła. — Ludzie z dolin nazywają mnie wiedźmą. Czy to dziecię nocy prowadziło zbrojnych twoim śladem?

— Tak.

Nie wyglądało na to, by uznała tę odpowiedź za wymysł wyobraźni.

— Nie mogą być daleko — dodał.

— Weź konia i idź za mną, królu Conanie — powiedziała krótko.

Bez komentarzy wspiął się na skały i okrężną drogą sprowadził wierzchowca na polanę.

Wracając, ujrzał orła, który niespiesznie opadł z nieba, by przez moment spocząć na ramieniu Zelaty — ptak lekko poruszał skrzydłami, żeby nie przygnieść jej swym ciężarem.

W milczeniu poszła przodem, z wielkim szarym wilkiem u boku i orłem szybującym nad głową. Prowadziła go przez zwarte chaszczce, krętymi ścieżkami po skalnych półkach nad głębokimi parowami, aż wreszcie dotarli wąską dróżką nad skrajem przepaści do niezwyklej sadyby z kamienia — na poły chatki, na poły jaskini u stóp urwiska skrytego pośród wąwozów i turni. Orzeł pofrunął na szczyt tego urwiska i usiadł tam jak nieruchomy wartownik.

Nadal milcząc, Zelata wprowadziła konia do stajni urządzonej w pobliskiej jaskini, gdzie znalazł obfitość obroku w postaci sterty trawy i liści, a ponadto źródło bijące w cienistym zakątku.

W chacie usadowiła króla na topornej ławie okrytej skórą, sama zaś zasiadła na niskim stołku przed kominkiem, aby rozniecić ogień z polan tamaryszku i przygotować skromny posiłek. Wielki wilk drzemał obok, pyskiem zwrócony do ognia; od czasu do czasu lekko poruszał uszami we śnie.

— Nie boisz się przebywać w chacie wiedźmy? — zapytała, w końcu przerywając milczenie.

Jedyną odpowiedzią jej gościa było niecierpliwe wzruszenie odzianych w kolczugę ramion.

Podawała mu drewnianą miskę pełną suszonych, owoców, sera, jęczmiennego chleba oraz wielki dzban mocnego górskiego piwa, warzonego ze zboża uprawianego w wysokich dolinach.

— Odkryłam ponurą ciszę skalnych pustkowi przyjemniejszą od gwaru miejskich ulic —

powiedziała. — A dzieci głuszy są życzliwsze niżli dzieci człowieka.

Jej dłoń przelotnie pogłaskała kark śpiącego wilka.

— Moje dzieci były dziś daleko ode mnie, inaczej nie potrzebowałabym twego miecza, mój królu. Przybywały na moje wołanie.

— Czego chciały od ciebie te nemedyjskie psy? — spytał Conan.

— Maruderzy z armii najeźdźców rozpełzli się po całym kraju, od granicy po Tarantię —

odparła. — Głupi wieśniacy z wiosek w dolinie, żeby odwrócić ich uwagę od swoich chat, powiedzieli im, że mam gdzieś ukryte złoto. Żądali, abym im je oddała, a moje odpowiedzi rozzłościły ich. Jednak ani maruderzy, ani ludzie, którzy cię ścigają, ani żaden kruk nie znajdzie cię tutaj.

Potrząsnął głową, jedząc łapczywie.

— Jadę do Tarantii.

Teraz ona pokręciła głową.

— Zmierzasz w samą paszczę smoka. Lepiej poszukaj schronienia za granicą. Twojemu królestwu odebrano serce.

— Co masz na myśli? — zapytał. — I w przeszłości przegrywano bitwy, ale wygrywano wojny. Królestwa nie traci się w jednej bitwie.

— Zatem pojedziesz do Tarantii?

— Tak. Prospero obroni ją przed Amalrykiem.

— Jesteś pewien?

— Do wszystkich diabłów piekieł, kobieto! — zawołał gniewnie. — Jakżeby inaczej?

Potrząsnęła głową.

— Czuję, że jest inaczej. Zobaczmy. Niełatwo uchylić zasłony; a jednak rozedrę ją trochę i pokażę ci twoją stolicę.

Conan nie dostrzegł, co wrzuciła do ognia, lecz wilk zaskomlał we śnie, a kłęby zielonego dymu wypełniły chatę. Jej ściany i sufit zdały się rozchodzić, oddalać i znikać w niezmierzonej przestrzeni; spowił go zasłaniający wszystko dym. A w nim poruszały się i znikały jakieś kształty, by wreszcie utworzyć zdumiewająco wyraźny obraz.

Patrzył na znajome wieże i ulice Tarantii, gdzie kłębiła się rozwrzeszczana tłuszcza, a jednocześnie w niepojęty sposób widział nemedyjskie proporce nieubłaganie zmierzające na zachód przez dymy i zgliszcząca plądrowanej ziemi. Na wielkim rynku Tarantii rozszalał)’

motłoch krzyczał, że król nie żyje, że baronowie zamierzają podzielić ziemię między siebie i że władza króla nawet takiego jak Valerius jest lepsza od anarchii. Prospero w swej błyszczącej zbroi przejeżdżał wśród nich, próbując ich uspokoić, nakazując im posłuszeństwo hrabiemu Trocero oraz nalegając, aby poszli na mury i pomogli jego rycerzom obronić miasto. Zwrócili się przeciw niemu, wyjąc ze strachu i ślepej furii oraz rycząc, iż jest rzeźnikiem Trocera, gorszym nawet od samego Amalryka. Obrzucali jego rycerzy odpadkami i kamieniami.

Obraz zamglił się lekko, co mogło świadczyć o upływie czasu, i Conan ujrzał Prospera oraz jego rycerzy wyjeżdżających z miasta i podążających na południe. Za ich plecami miasto ogarniały zamieszki.

— Głupcy! — warknął ochryple Conan. — Głupcy! Czemu nie zaufali Prosperowi? Zelato, jeśli jakimiś sztuczkami stroisz sobie ze mnie żarty...

— To już minęło — odparła posępnie nieporuszona Zelata. — Działo się to wieczorem, w dniu gdy Prospero opuścił Tarantię, mając wojska Amalryka niemal w zasięgu wzroku.

Ludzie na murach widzieli łuny wzniecanych przez najeźdźców pożarów. Czytam to w dymie. O zachodzie słońca Nemedycyzy wkroczyli do stolicy, nie napotykając żadnego oporu. Spójrz! Nawet teraz, w królewskim pałacu...

Nagle Conan ujrzał wielką salę koronacyjną. Valerius stał na podium, odziany w gronostaje, zaś Amalryk w swej zakurzonej, splamionej krwią zbroi wkładał na jego złote kędziory przepysznie lśniący krąg — koronę Akwilonii! Zebrani wzniesli radosny okrzyk; długie szeregi zakutych w stal nemedyjskich wojowników przyglądały się ponuro uroczystości, a będący od dawna w niełasce na Conanowym dworze notable, teraz dumnie paradowali z herbem Valeriusa na rękawach.

— Na Krotna! — wyrwało się z ust Conana, który zerwał się z ławy, zaciskając wielkie jak bochny pięści, z wykrzywioną konwulsyjnie twarzą i pulsującymi na skroniach żyłami. —

Nemedyczyk koronujący tego renegata — w królewskim pałacu w Tarantii!

Jakby rozwiany jego gwałtownością dym zniknął i barbarzyńca ujrzał w półmroku czarne oczy Zelaty.

— Sam widziałeś — lud twej stolicy oddał wolność, którą zdobyłeś dla nich swoim potem i krwią; sami oddali się w łapy oprawców. Dowiedli, iż nie wierzą swemu przeznaczeniu. Czyi możesz na nich polegać, gdybyś myślał o odzyskaniu królestwa?

— Sądziłem, że nie żyję — mruknął, odzyskując panowanie’ nad sobą. — Nie mam syna.

Wspomnienia nie mogą rządzić ludem. I co z tego, że Nemedycyzy zdobyli Tarantię? Nadal pozostają prowincje, baronowie i lud całego kraju. Valerius zdobył tylko pustą sławę.

— Jesteś uparty, jak przystało na wojownika. Nie mogę, pokazać ci przyszłości ani całej przeszłości. Nie, ja nie pokazuję ci niczego. Ja tylko sprawiam, iż pod wpływem niepojętych, sił uchylają się przed tobą zasłony. Chcesz spojrzeć w przeszłość, aby znaleźć ślad teraźniejszości?

— Tak! — Usiadł gwałtownie.

Znów wzniosły się i zaczęły falować kłęby zielonego dymu. I Znowu ujrzał obrazy, tym razem nieznane i pozornie nie powiązane ze sobą. Zobaczył wysokie czarne mury, ukryte w ciemnościach postumenty z wizerunkami odrażających, na wpół zwierzęcych bogów. W

mroku poruszali się ludzie — j ciemnoskórzy, żyłaści mężczyźni w czerwonych, jedwabnych przepaskach. Szli wielkim, ciemnym korytarzem, niosąc sarkofag z zielonego jaspisu. Jednak zanim Conan zdołałby wiedzieć coś więcej o tym, co widzi, scena zmieniła się. Ujrzał j mroczną i cienistą jaskinię, która budziła niewytłumaczalny lęk. Na ołtarzu z czarnego kamienia stało osobliwe złote czynie w kształcie muszli. Do tej pieczary weszło kilku ciemnoskórych mężczyzn, którzy nieśli jaspisowy sarkofag. Pochwycili złote naczynie, a wtedy cienie zawirowały wokół j nich i Conan nie potrafił wyjaśnić, co się stało. Jednak dostrzegł w wirze ciemności jakiś błysk, niczym kulę żywego ognia. Potem dym stał się tylko dymem, unoszącym się z tamaryszkowych polan, rzędzącym i niknącym w powietrzu.

— Lecz cóż to oznacza? — dopytywał się oszołomiony Cymeryjczyk. — Mogę zrozumieć to, co widziałem w Tarantii, lecz cóż oznaczają zamorańscy złodzieje skradający się przez podziemia stygijskiej świątyni Seta? A ta jaskinia — w czasie wszystkich mych wędrówek nigdy nie słyszałem ani nie widziałem niczego podobnego. Jeśli zdołałaś mi tyle pokazać, wszystkie te strzępy nic nie znaczących obrazów, dlaczego nie możesz ukazać mi wszystkiego, co nastąpi? Zelata bez słowa podsyciła ogień.

— Tymi rzeczami rządzą nienaruszalne prawa — rzekła wreszcie — których nie potrafię ci wytłumaczyć; sama ich nie pojmuję, choć przez niezliczone lata szukałam mądrości wśród milczenia górskich szczytów. Nie mogę cię ocalić, choć zrobiłabym to, gdyby było to w mej mocy. W ostatecznym rozrachunku człowiek sam musi odnaleźć drogę zbawienia. Jednak może we śnie objawi mi się prawda i rankiem zdołam dać ci klucz do zagadki.

— Jakiej zagadki?

— Tajemnicy, którą napotykasz i przez którą straciłeś królestwo — odparła, po czym rozpostarła owczą skórę na podłodze obok paleniska. — Śpij — rzekła.

Conan bez słowa wyciągnął się na skórze i zapadł w głęboki, choć niespokojny sen pełen bezszelestnie przemykających zjaw i pełzających monstrualnych cieni. Raz na tle purpurowego, bezsłonecznego horyzontu ujrzał potężne mury i baszty wielkiego miasta, które nie wznosiło się nigdzie na ziemi, będącej jego światem. Jego olbrzymie pylony i szkarłatne minarety pięły się ku gwiazdom, a nad nimi unosiło się niczym gigantyczny miraż brodate oblicze mężczyzny zwanego Xaltotunem.

Conan obudził się chłodnym przedświtem, by zobaczyć Zelatę przycupniętą przy malutkim płomyku. W nocy nie przebudził się ani razu, chociaż powinien go poderwać — odgłos wchodzącego lub wychodzącego wilka. Wilk siedział przy palenisku ze zmierzwioną sierścią, mokrą od rosy i nie tylko j od niej. Wśród gęstych kudłów błyszczała krew, a na barku zwierzęcia widniała długa rana.

Zelata, nie oglądając się, kiwnęła głową, jakby czytała w myślach królewskiego gościa.

— Polował przed świtem i krwawe to były łowy. Sądzę, iż człowiek polujący na króla nigdy już nie będzie polował — ani na człowieka, ani na zwierzę.

Conan z dziwną fascynacją spoglądał na wielkie zwierzę, jedzące z ręki Zelaty.

— Nie zapomnę, gdy na powrót zasiądę na tronie — rzekł krótko. — Okazałaś mi

przyjaźń... Na Croma, nie pamiętam, kiedy ostatnio położyłem się i spałem zdany na łaskę jakiegoś mężczyzny czy kobiety, tak jak tej nocy. A co z zagadką, którą miałaś mi wyjaśnić dziś rano?

Nastąpiła długa chwila ciszy, w czasie której słyhać było jedynie trzask tamaryszkowych polan.

— Znajdź serce swego królestwa — rzekła w końcu. — W tym twoje zwycięstwo lub

kłeska. Nie walczysz ze zwykłym śmiertelnikiem. Nie zasiądziesz ponownie na tronie, dopóki nie odnajdziesz serca swego królestwa.

— Czy masz na myśli Tarantię? Pokręciła głową.

— Jestem tylko wyrocznią, której ustami przemawiają bogowie. Oni zamykają mi usta, abym nie wyjawiała za wiele. Musisz odnaleźć serce twego królestwa. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Bogowie otwierają i zamykają me usta.

Świt jeszcze bielił się na szczytach, gdy Conan ruszył na zachód. Obejrząwszy się, zobaczył

nieprzeniknioną jak zawsze Zelatę, jak stała w drzwiach chaty z wielkim wilkiem u boku.

Niebo było jak szara kopuła, a zawodzący wiatr niósł chłód zwiastujący zimę. Zeschłe liście powoli sfruwały z nagich gałęzi i opadały na ramiona Conana.

Cały dzień podążał przez góry, omijając drogi i wioski. Pod wieczór zaczął opuszczać się ze wzniesień i ujrzał przed sobą równiny Akwilonii. Wioski i zagrody położone tu były u samego podnóża gór, gdyż od pół wieku zbrojne najazdy nadciągały raczej z Akwilonii ku granicy. Jednak teraz tylko popioły i zgliszcza pozostały po stojących tu chatach i dworach.

W zapadających ciemnościach Conan wolno jechał dalej. Nie musiał obawiać się, że zostanie spostrzeżony, co byłoby jednakowo niebezpieczne zarówno w przypadku wrogów, jak i przyjaciół. Zdążając na zachód, Nemedycjycy nie zapomnieli dawnego urazu, a Valerius nie próbował powstrzymać swoich sprzymierzeńców. Nie zależało mu na zdobywaniu

sympatii prostego ludu. Rozległy pas zniszczeń brał początek u podnóża gór i ciągnął się na zachód, w głąb kraju. Conan klął, przejeżdżając przez poczerniałe od ognia połacie niegdyś żyznych pól i widząc sterczące na tle nieba szkielety spalonych domów. Niczym duch z zapomnianej bezpowrotnie przeszłości jechał przez spustoszoną i bezludną krainę.

Szybkość, z jaką przeszła tędy wroga armia, świadczyła o tym, jak niewielki napotkała opór. A przecież gdyby Akwilończykami dowodził Conan, najeźdźcy musieliby okupywać krwią każdą piędź zdobytej ziemi. Naszła go gorzka myśl; nie pochodził z żadnej dynastii, był

tylko samotnym awanturnikiem. Nawet kropla królewskiej krwi, jaką chełpił się Valerius, bardziej przemawiała do ludzkich umysłów niż wspomnienie Conana czy wolności i potęgi, jakie przyniósł państwu. Żaden pościg nie wyjechał za nim spośród wzgórz; Cymeryjczyk strzegł się włóczących się lub powracających nemedyjskich żołnierzy, lecz nie napotkał

żadnych. Maruderzy omijali go szerokim łukiem, sądząc po zbroi, iż jest jednym ze zwycięzców. Zachodnia strona gór obfitowała też w gaje i rzeki, więc nie brak tu było kryjówek.

I tak podążał przez spustoszony kraj, zatrzymując się tylko po to, by dać odpocząć koniowi i oszczędnie posilić się prowiantem otrzymanym na drodze od Zelaty, aż o świcie, leżąc na brzegu rzeki pod osłoną gęstwiny wierzb i dębów, dostrzegł w oddali za pofalowaną niziną, usianą plamkami bujnych sadów, błękit i złoto wieżyc Tarantii. Nie znajdował się już na pustkowiu, lecz w tętniącej życiem krainie. Od tej chwili poruszał się wolno i ostrożnie, leśnymi gęstwinami i nieuczęszczanymi duktami. O zmierzchu dotarł do plantacji Serviusa Galannusa.

VIII

GASNĄCE POCHODNIE

Tereny wokół Tarantii uniknęły okropnego spustoszenia, jakie stało się udziałem wschodnich prowincji. Ale i tu można było znaleźć ślady przemarszu zwycięskiej armii —

powywracane płoty, ogołoczone pola i złupione spichrze — jednak nie wszystko oddano tu na pastwę ognia i żelaza.

Conan dostrzegł tylko jedną plamę szpecącą krajobraz — poczerniałe usypisko popiołów i poczerniałych kamieni w miejscu, gdzie, jak wiedział, niegdyś wznosiła się okazała rezydencja: jednego z jego najzagorzalszych stronników.

Król nie odważył się otwarcie zbliżyć do oddalonego zaledwie o kilka mil od miasta gospodarstwa Galannusa. Po zmroku przejechał przez rozległy zagajnik, aż wśród drzew dostrzegł chatę dozorca. Rozsiodłał i spętał swego wierzchowca, po czym ruszył ku grubym, łukowatym drzewom, zamierzając wysłać dozorcę po Serviusa. Nie wiedział, czy we dworze nie kwaterują teraz wrogowie. Wprawdzie nigdzie nie dostrzegł nieprzyjacielskich oddziałów, lecz mogły one biwakować wszędzie, również w gospodarstwie Galannusa. Jednak

podchodząc bliżej, zobaczył, że drzwi chaty otwierają się i staje w nich krępa postać w jedwabnych pończochach i bogato szamerowanym kubraku, która rusza ścieżką wiodącą przez zagajnik.

— Serviusie!

Słyszając to, właściciel plantacji błyskawicznie odwrócił się ze zduszonym okrzykiem.

Plantator cofnął się na widok majaczącej w mroku, wysokiej postaci zakutej w stal, a jego ręka odruchowo śmignęła do zawieszzonego u pasa myśliwskiego korda.

— Kim jesteś? — zapytał. — Czego..? Na Mitrę!

Z sykiem zaczerpnął tchu, a jego rumiana twarz pobladła.

— Zgiń, przepadnij! — wykrzyknął. — Czemu wróciłeś z szarych krain śmierci, żeby mnie straszyć? Za twego życia zawsze byłem twoim wiernym lennikiem...

— Czego oczekuję po tobie i teraz — rzekł Conan. — Przestań się trząść, człowieku; jestem z krwi i kości.

Pocąc się z wrażenia, Servius podszedł i spojrzał w twarz odzianego w kolczugę olbrzyma, po czym przekonawszy się, iż to nie przywidzenie, ukląkł na kolano i zdjął ozdobiony piórami kołpak. — Wasza Wysokość! To cud przechodzący wszelkie pojęcie! Wielki dzwon w cytadeli obwieścił twój zgon wiele dni temu. Ludzie powiadali, żeś poległ pod Valkią, zmiażdżony milionami ton ziemi i strzaskanego granitu.

— To był kto inny w mojej zbroi — mruknął Conan. — Porozmawiamy później. Jeśli masz na stole coś podobnego do wołowego udźca...

— Wybacz mi, panie! — zawołał Servius, zrywając się na nogi. — Twoja kolczuga jest szara od pyłu, a ja każę ci tu stać bez odpoczynku czy strawy! Mitro! Teraz widzę, żeś żywy, lecz przysięgam, że kiedy odwróciłem się i ujrzałem w mroku twoją szarą, niewyraźną postać, cały szpik w moich gnatach zamienił się w wodę. Niezdrowo napotkać w lesie po zmroku człowieka, którego ma się za zmarłego.

— Powiedz dozorczy, żeby zajął się moim koniem, którego przywiązałem do tamtego dębu

— zażądał Conan, a Servius skinął głową i powiodł króla ścieżką.

— Poślę sługę ze dworu — rzekł. — Dozorca siedzi w chacie, lecz w dzisiejszych czasach nie mogą ufać nawet moim sługom. Lepiej, żebym tylko ja wiedział o twym powrocie.

Zbliżywszy się do wielkiego domu bielejącego wśród drzew, skręcili w rzadko uczęszczaną ścieżkę, biegnącą między ciasno skupionymi dębami o splecionych konarach, które tworzyły sklepienie odcinające ostatnie promyki gasnącego dnia. Servius, którego zachowanie zdradzało objawy paniki, bez słowa podążał przez ciemność, aż w końcu wprowadził Conana przez ciasne boczne drzwi do wąskiego, słabo oświetlonego korytarza. Przemknawszy nim pośpiesznie i w milczeniu, znaleźli się w obszernej komnacie o belkowanym, dębowym suficie i wyłożonych boazerią ścianach. Na wielkim kominku paliły się kłody, gdyż w powietrzu czuło się chłodny powiew zimy, a na szerokim, mahoniowym stole stał

kamionkowy półmisek, w którym parował ogromny pasztet. Servius zaryglował masywne drzwi i zgasił świece w srebrnym lichtarzu na stole, pozostawiając pomieszczenie oświetlone jedynie blaskiem padającym z kominka.

— Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość — przeprosił. — Czasy są niebezpieczne; wszędzie pełno szpiegów. Lepiej, żeby nikt nie mógł zajrzeć przez szparę w zasłonie i rozpoznać cię, panie. Ten pasztet jest prosto z pieca, bo zamierzałem wieczerzać po rozmowie z dozorcą.

Jeśli Wasza Wysokość raczy...

— Światła zupełnie mi wystarczy — mruknął Conan, bez ceregieli siadając za stołem i wyciągając sztylet.

Łapczywie zjadał wyśmienity pasztet, popijając go winem z winogron zebranych na Serviusowej plantacji. Wydawał się nie zważać na niebezpieczeństwo, lecz Servius wiercił się na swym stołku przy kominku, nerwowo bawiąc się ciężkim, złotym łańcuchem zawieszonym na szyi. Wciąż zerkał na połyskujące matowo w blasku ognia okna i nadstawiał ucha w stronę drzwi, jakby w każdej chwili spodziewał się usłyszeć za nimi ciche kroki pogoni.

Skończywszy posiłek, Conan wstał i przesiadł się na drugi zydeł koło kominka.

— Nie będę długo narażał cię na niebezpieczeństwo moją obecnością, Serviusie — rzekł

nagle. — — Świt zastanie mnie daleko od twojej plantacji.

— Mój panie... — Servius przeczącym gestem uniósł ramiona, lecz Conan uciał jego protesty machnięciem ręki.

— Znam twoją lojalność i twą odwagę. Obie są bez zarzutu. Jeśli jednak Valerius zagarnął mój tron, ryzykujesz śmiercią, gdyby wykryto, że dałeś mi schronienie.

— Nie jestem dość potężny, aby otwarcie stawić mu czoła — przyznał Servius. — Tych pięćdziesięciu zbrojnych, jakich mógłbym wystawić do walki, byłoby jak garstka słomy przeciw jego wojsku. Widziałeś ruiny plantacji Emiliusa Scavonusa?

Conan skinął głową, gniewnie marszcząc brwi.

— Jak wiesz, był najpotężniejszym patrycjuszem w tej prowincji. Odmówił złożenia hołdu Valeriusowi. Nemedycjczycy spalili go w ruinach jego własnej rezydencji. Wówczas pozostali z nas zrozumieli daremność oporu, szczególnie po tym, jak Tarantycjczycy odmówili walki.

Poddaliśmy się i Valerius darował nam życie, choć obłożył nas podatkiem, który wielu zrujnuje. Cóż jednak mogliśmy zrobić? Sądziliśmy, że nie żyjesz. Wielu baronów zginęło, inni zostali wzięci do niewoli. Armia była rozbita i rozproszona. Nie masz dziedzica, który odziedziczyłby tron. Nie było komu poprowadzić nas...

— A księżę Trocero z Poitain? — spytał szorstko Conan. Servius bezradnie rozłożył ręce.

— To prawda, że jego generał Prospero wyszedł w pole z niewielką armią. Cofając się przed Amalrykiem, namawiał ludzi, aby zaciągali się pod jego sztandary. Jednak gdy uznano cię za martwego, lud przypomniał sobie dawne wojny i waśnie, przypomniano też sobie, jak Trocero przeszedł kiedyś przez te prowincje ze swymi Poitainczykami, tak samo jak teraz Amalryk — z ogniem i żelazem. Baronowie zazdrościli Trocerowi. Jacyś ludzie — zapewne szpiegzy Valeriusa — pokrzykiwali, że księżę Poitain zamierza sam zagarnąć koronę.

Wybuchły zadawnione niesnaski między koteriami. Gdybyśmy mieli choć jednego człowieka z odrobiną królewskiej krwi w żyłach, ukoronowalibyśmy go i ruszylibyśmy z nim przeciw Nemedycjczynom. Jednak nie mieliśmy nikogo. Lojalni wobec ciebie baronowie nie

podporządkowaliby się jednemu spośród siebie, gdyż każdy uważa się za równie dobrego jak sąsiad i każdy obawia się ambicji pozostałych. Tyś był sznurem, który trzymał tę wiązkę razem. Gdy sznur przecięto, wiązka rozpadła się... Jeślibyś miał syna, baronowie lojalnie skupiliby się wokół niego. A tak nie było punktu, wokół którego mógłby się ześrodkować ich patriotyzm. Kupcy i ludzie niskiego stanu, obawiając się anarchii i powrotu czasów feudalnych, gdy każdy baron stanowił własne prawa, zawołali, że lepszy jakikolwiek król niż żaden, nawet jeśli będzie nim Valerius, który przynajmniej ma w żyłach I kroplę krwi starej dynastii. Nie było nikogo, kto stanąłby j przeciw niemu, gdy nadjechał na czele swych pancernych hufców pod powiewającym sztandarem ze

szkarłatnym smokiem Nemedii i uderzył kopią o bramy Tarantii. O tak, lud szeroko otworzył wrota i ukląkł przed nim w pyłe.

Odmówili Prosperowi pomocy w obronie miasta, tłumacząc, iż wolą rządu Valeriusa niż Trocera. Rzekli — zgodnie z prawdą — że baronowie nie pójdą za Trocerem, natomiast wielu zaakceptuje Valeriusa. Powiedzieli, że poddając się Valeriusowi, unikną spustoszenia wojny domowej i gniewu Nemedyczyków. Prospero odjechał na południe ze swymi dziesięcioma tysiącami zbrojnych, a konnica Nemedyczyków wkroczyła do miasta kilka godzin później.

Nie ścigali go. Zostali, aby oglądać koronację Valeriusa.

— Zatem dym czarownicy mówił prawdę — mruknął Conan, czując, jak zimny dreszcz przebiega mu po krzyżu. — Amalryk koronował Valeriusa?

— Tak, w sali koronacyjnej rękami jeszcze nie obeschłymi od krwi pomordowanych.

— I lud żyje szczęśliwie pod jego łaskawymi rządami? — spytał Conan z gniewną ironią.

— Valerius żyje jak cudzoziemski książę w sercu podbitej krainy — odparł z goryczą Servius. — Na jego dworze roi się od Nemedyczyków, nemedyjska jest gwardia przyboczna oraz spory garnizon stacjonujący w cytadeli. Zaiste, w końcu nadeszła godzina Smoka.

Nemedyczycy paradują jak lordowie po ulicach. Codziennie molestują kobiety i grabią kupców, zaś Valerius nie może lub nie chce ich okiełznać. Tak, to nemedyjska marionetka, zwyczajny figurant. Każdy, kto miał olej w głowie, wiedział, że tak będzie, i coraz więcej ludzi zaczyna się o tym przekonywać. Amalryk wyruszył z silną armią, by poskromić nadgraniczne prowincje, gdyż niektórzy baronowie nie uznali Valeriusa. Jednak nie ma wśród nich jedności. Ich wzajemna zawiść jest silniejsza od strachu przed Amalrykiem. Zgniecie ich jednego po drugim. Pojawszy to, wiele zamków i miast skapitulowało. Te, które stawiały opór, gorzko pożałowały. Nemedyczycy dają upust zadawnionej nienawiści. A ich szeregi zasilają Akwilończycy skuszeni złotem, zmuszeni strachem lub brakiem zajęcia. To naturalna kolej rzeczy.

Conan ponuro pokiwał głową, spoglądając na czerwone refleksy płomieni na bogato rzeźbionych kasetonach ścian.

— Tak więc Akwilonia ma króla, miast anarchii, jakiej się obawiała — rzekł w końcu Servius. — Valerius nie broni poddanych przed swymi sprzymierzeńcami. Setki tych, którzy nic mogli zapłacić nałożonego na nich okupu, sprzedano kothyjskim handlarzom

niewolników.

Conan gwałtownie poderwał głowę, a w jego błękitnych oczach pojawił się morderczy błysk. Zaklął wściekle, zaciskając potężne pięści jak stalowe młoty.

— Tak jest, biali ludzie sprzedają białych mężczyzn i kobiety, jak za feudalnych czasów. W

pałacach Shemu i Turanu będą wiedli żywot niewolników. Valerius jest królem, lecz zjednoczenie,

na które lud czekał — nawet narzucone przemocą — nie nastąpiło.

Gunderlandia na północy i Poitain na południu nadal nie zostały podbite, są również nie poskromione prowincje na zachodzie, gdzie nadgraniczni baronowie mają poparcie bossońskich łuczników. Jednak te odległe prowincje nie stanowią rzeczywistego zagrożenia dla Valeriusa. Muszą się bronić i będą miały szczęście, jeśli uda im się utrzymać swą niepodległość. Tutaj zaś niepodzielnie włada Valerius i jego cudzoziemscy rycerze.

— Niechaj więc cieszy się tym, póki może — wtrąci ponuro Conan. — Niewiele zostało mu czasu. Lud powstanie, gdy dowie się, że żyję. Zajmiemy Tarantię, zanim Amalryk zdołał powrócić ze swą armią. Wtedy przegonimy te psy z naszego królestwa.

Servius milczał. W ciszy głośno rozbrzmiewał trzask ognia.

— I cóż? — zawołał niecierpliwie Conan. — Czemu siedzisz ze zwieszoną głową, gapiąc się w płomienie? Czy wątpisz w moje słowa?

Servius unikał jego spojrzenia.

— Wasza Wysokość uczyni wszystko, co leży w mocy zwykłego śmiertelnika — odparł. — Jechałem za tobą w bitwie i wiem, że żaden człowiek nie oprze się ciosowi twego miecza.

— W czymże więc rzecz?

Servius ciaśniej owinął się lamowanym futrem kaftanem i mimo bliskości płomieni zadrzał.

— Ludzie powiadają, iż twoją klęskę spowodowały czary — rzekł w końcu.

— I co z tego?

— Jakiż śmiertelnik może walczyć z magią? Kim jest ten zamaskowany człowiek, który —

jak mówią — spotyka się o północy z Valeriusem oraz jego sprzymierzeńcami i który tak tajemniczo pojawia się i znika? Szepcze się, że to wielki mag, który zmarł przed tysiącami lat, lecz wrócił z szarej krainy śmierci, aby strącić z tronu króla Akwilonii i wskrzesić dynastię, której dziedzicem jest Valerius.

— I co z tego? — zawołał ze złością Conan. — Uciekłem z nawiedzanych przez demony lochów Behrerusu i przed diabelstwem, które ścigało mnie w górach. Jeśli lud powstanie...

Servius potrząsnął głową.

— Twój najzagorzalsi stronnicy we wschodnich i centralnych prowincjach zginęli, uciekli lub zostali uwięzieni. Gunderlandia leży daleko na północy, Poitain na południu.

Bossończycy wrócili na swe odległe, zachodnie pogranicze. Potrzeba tygodni, żeby zebrać i poprowadzić te siły, a nim się to uda, każda z nich może zostać zniszczona przez Amalryka.

— Ale powstanie w centralnych prowincjach przewżyłyoby szalę na naszą korzyść! —

zawołał Conan. — Moglibyśmy zdobyć Tarantię i obronić ją przed Amalrykiem, dopóki nie przybędą Gunderlandczycy i Poitainczycy.

Servius zawahał się, a jego głos zniżył się do szeptu.

— Powiadają, że zginąłeś przeklęty. Mówią, że zamaskowany nieznajomy rzucił na ciebie czar, który zabił cię i zniszczył twoją armię. Wielki dzwon obwieścił twój zgon. Lud wierzy, że zginąłeś. A centralne prowincje nie powstaną, nawet gdyby wiedziano, że żyjesz. Nie odważą się. Magia pokonała cię nad Valkią. Magia przyniosła wieści o twojej śmierci do Tarantii, bowiem jeszcze tej samej nocy ludzie krzyczeli o tym na ulicach. Nemedyjski kapłan ponownie użył czarnej magii na ulicach Tarantii, aby uśmiercić ludzi wiernych twojej pamięci.

Widziałem to na własne oczy. Wojownicy padali na bruk i marli jak muchy w niepojęty sposób. A ten chudy kapłan śmiał się i mówił: „Jam jest tylko Altaro, akolita Orastesy, który jest ledwie akolitą tego, który nosi zasłonę; nie moją jest moc — ona tylko przeze mnie przepływa”.

— Cóż — rzekł Conan — czyż nie lepiej zginąć z honorem niż żyć w niesławie? Czy śmierć gorsza jest od ucisku, niewoli, a wreszcie od zguby?

— Nie ma miejsca na rozum, gdy przemówią czary — odpowiedział Servius. — Centralne prowincje zbyt się boją, byś mógł tu wzniecić powstanie. Te dalej położone walczyłyby dla ciebie — lecz ta sama magia, która zniszczyła twą armię nad Valkią, znów by cię pokonała.

Nemedycy panują nad największą, najbogatszą i najgęściej zaludnioną częścią Akwilonii i nie zdołasz ich pokonać siłami, jakie zdołałbyś zebrać. Poświęciłbyś swych lojalnych poddanych na próżno. Mówię to z żalem, lecz to prawda: królu Conanie, jesteś władcą bez królestwa.

Conan w milczeniu spoglądał w ogień. Płonąca kłoda rozsypała się w proch, nie sypiąc snopu iskier. Zupełnie jak jego królestwo.

I znów Conan poczuł obecność ponurej rzeczywistości za zasłoną materialnej ułudy.

Ponownie poczuł nieubłaganą dłoń bezlitosnego losu. W jego duszy bliska paniki wściekłość schwytanego w potrzask zwierzęcia walczyła z szaloną żądzą krwi i zniszczenia.

— A gdzie moi dworzanie? — spytał w końcu.

— Pallantides, ciężko ranny nad Valkią, został wykupiony; przez rodzinę i teraz przebywa w swym zamku w Attalusie.; Będzie miał szczęście, jeśli jeszcze kiedyś zdoła dosiąść konia.

Kanclerz Publius w przebraniu umknął z królestwa, nikt nie wie dokąd. Radę rozwiązano.

Część jej członków stracono, część skazano na banicję. Wielu twych lojalnych poddanych skazano na śmierć. Dziś w nocy na przykład odda głowę katu księżniczka Albiona.

Conan drgnął i spojrział na Serviusa z takim gniewem w swych błękitnych oczach, że patrycjusz aż skurczył się na stołku.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chciała zostać kochanką Valeriusa. Jej dobra skonfiskowano, sługi sprzedano w niewolę, a dziś w nocy jej głowa spadnie w Żelaznej Wieży. Przyjmij moją radę, królu — bo dla mnie zawsze pozostaniesz mym królem — i uciekaj, zanim cię odnajdą. W

dzisiejszych czasach nikt nie jest bezpieczny. Szpiedzy i donosiciele kręcą się wszędzie, meldując o najdrobniejszym uczynku i o każdym objawie niezadowolenia jako o zdradzie i buncie. Jeśli objawisz się swoim poddanym, doprowadzisz jedynie do swego pojmania i śmierci. Moje konie i wszyscy ludzie, którym mogę ufać, są do twojej dyspozycji. Przed świtem będziesz daleko od Tarantii i blisko granicy. Skoro nie mogę ci pomóc w odzyskaniu tronu, przynajmniej mogę towarzyszyć ci na wygnaniu.

Conan pokręcił głową. Servius niespokojnie patrzył na króla, który siedział ze wzrokiem utkwionym w ogień i brodą wspartą na potężnej pięści. Płomienie odbijały się czerwonym blaskiem w jego stalowej kolczudze i jarzących się złym blaskiem oczach. I znów, jak wielokrotnie w przeszłości, lecz teraz silniej niż kiedykolwiek, Servius zdał sobie sprawę z obcości tego człowieka. Ogromne ciało pod szarą kolczugą było zbyt twarde i gibkie jak na cywilizowanego człowieka, a te płonące oczy jarzyły się pierwotnym ogniem. Barbarzyńskie pochodzenie króla dawało teraz silniej znać o sobie, jakby ostatnie wydarzenia odarły Cymeryjczyka z cienkiej otoczki cywilizacji i odsłoniły prymitywny rdzeń. Conan wracał do swego naturalnego stanu. Nie postępował tak, jak w tych okolicznościach postąpiłby cywilizowany człowiek, a jego myśli biegły innymi torami. Był nieobliczalny. Ledwie mały krok dzielił króla Akwilonii od odzianego w skóry zabójcy z cymeryjskich wzgórz.

— Udam się do Poitain, jeśli to będzie możliwe — rzekł w końcu Conan. — Pojadę sam.

Ale przedtem jako król Akwilonii muszę dopełnić jeszcze jednej powinności.

— Co masz na myśli, Wasza Wysokość? — spytał Servius, pełen najgorszych przeczuć.

— Dziś w nocy ruszam do Tarantii po Albionę — odparł król. — Wygląda na to, że zawiodłem wszystkich mych lojalnych poddanych... Jeśli więc wezmą jej głowę, mogą wziąć i moją.

— To szaleństwo! — zawołał Servius, wstając chwiejnie i chwytając się za gardło, jakby już czuł zaciskający się na nim stryczek.

— Wieża ma tajemnice znane tylko nielicznym — rzekł Conan. — A zresztą, byłbym psem, gdybym pozwolił Albionie umrzeć za to, że dochowała mi wierności. Mogę być królem bez królestwa, lecz nie będę człowiekiem bez honoru.

— To zgubi nas wszystkich! — szepnął Servius.

— Nikogo prócz mnie, jeśli mi się nie uda. Dość już ryzykowałeś. Dziś w nocy pojedę sam.

Zdobądź mi tylko opaskę na oko, kostur w garść i przyodziewek, jaki noszą wędrowcy.

„TO KRÓL LUB JEGO DUCH!”

Wielu ludzi przechodziło przez wielkie, łukowate bramy Tarantii między zachodem słońca a północą — spóźnieni podróżni, kupcy z dalekich stron prowadzący objuczone muły, wolni robotnicy z okolicznych gospodarstw i winnic. Teraz, gdy Valerius rządził niepodzielnie centralnymi prowincjami, nie kontrolowano zbyt dokładnie ludzkiego potoku przelewającego się przez szerokie wrota. Dyscyplina rozluźniła się. Stojący na straży nemedyjscy żołnierze byli podpici i za bardzo zajęci wypatrywaniem ładnych wiejskich dziewcząt lub bogatych kupców, z których można by coś zedrzeć, żeby zauważać robotników, zakurzonych

podróżnych, czy rosłego wędrowca, któremu, wytarta opończa ledwie skrywała muskularne ciało.

Człowiek ten poruszał się z wrodzoną, zaczepną gracją, zbyt naturalną dlań, by zdołał ją sobie uświadomić, a tym bardziej ukryć. Szeroka opaska zakrywała mu jedno oko, a nasunięta na czoło skórzana czapka ocieniała jego oblicze. Dzierżąc długą i grubą laskę w zbrązowiałej dłoni, przeszedł niedbałym krokiem pod łukowatym sklepieniem rozjaśnionym migotliwym blaskiem pochodni i — zignorowany przez podchmielonych strażników — wkroczył na szerokie ulice Tarantii.

Na tych dobrze oświetlonych alejach kręcił się gęsty tłum, a wciąż otwarte sklepy i kramy wystawiały swe towary. Nieustannie powtarzała się jedna scena: nemedyjscy żołnierze, pojedynczo lub w grupie, przeciskali się przez ciżbę, z wystudiowaną arogancją, rozpychając się łokciami. Kobiety pierzchały przed nimi, a mężczyźni usuwali się na bok, odwracając wzrok i zaciskając pięści. Akwilończycy byli dumnym narodem, a najeźdźcy byli ich odwiecznymi wrogami.

Rosły podróżny zacisnął dłoń na swoim kosturze, aż pobieleły mu knykcie, ale podobnie jak inni usunął się na bok, przepuszczając zbrojnych. Wśród różnobarwnego tłumu jego spło —

wiały, zakurzony strój nie zwracał niczyjej uwagi. Tylko raz, gdy mijał kram płatnerza i oświetlił go blask padający przez szeroko otwarte drzwi, wydało mu się, iż czuje na sobie czyjeś uważne spojrzenie. Odwróciwszy się szybko zobaczył, że przypatruje mu się człowiek w brązowym stroju wolnego robotnika. W następnej chwili mężczyzna ten odwrócił się w nienaturalnym pośpiechu i zniknął w przepływającym tłumie. Mimo to Conan natychmiast skrócił w boczną uliczkę i przyspieszył kroku. Mogła to być czyjaś zwykła ciekawość, ale wolał nie ryzykować.

Ponura Żelazna Wieża stała z dala od cytadeli, pośród labiryntu zaułków i stłoczonych domów, w miejscu gdzie obskurne kamieniczki, wciskając się w miejsca, których unikały wykwintniejsze budynki, zajęły zazwyczaj niedostępną dla siebie część miasta. Wieża była właściwie prastarym zamczyskiem, które imponowało stosem ciężkich głazów i czarnego żelaza, pełniącym w dawnych i okrutniejszych czasach rolę cytadeli.

Niedaleko niej, zagubiona w chaosie po części opuszczonych domów i składów, wznosiła się odwieczna wieża strażnicza, tak stara, że już od stu lat nie widniała na mapach miasta. Jej pierwotne przeznaczenie utonęło w morzu niepamięci i nikt z tych, którzy w ogóle ją dostrzegali, nie zwracał uwagi na to, że pozornie prastary zamek, dzięki któremu nie przekształciła się w noclegowisko

żebraków i złodziei, jest w istocie stosunkowo nowy i nadzwyczaj potężny, a tylko sprytnie nadano mu pozór zardzewiałej starożytności. Nie więcej niż pół tuzina mieszkańców królestwa znało sekret tej wieży.

W potężnym, zaśnieżonym zamku nie było dziurki od klucza, lecz przesuwające się po nim zręczne palce Conana nacisnęły kilka wypukłości niewidocznych dla przypadkowego obserwatora. Drzwi cicho otwały się do wewnątrz i król wszedł w gęsty mrok, zatraskując je za sobą. Gdyby miał światło, zobaczyłby puste, cylindryczne pomieszczenie zbudowane z

wielkich głazów.

Poruszając się ze swobodą zdradzającą doskonałą znajomość tego miejsca, barbarzyńca szybko namacał uchwyty w jednej z kamiennych płyt posadzki. Uniósł ją i bez wahania opuścił się w ziejący pod nią otwór. Pod stopami wyczuł kamienne stopnie wiodące w dół, do

— jak wiedział — wąskiego tunelu, który prowadził wprost do odległych o trzy ulice lochów Żelaznej Wieży.

Dzwon cytadeli, bijący jedynie o północy lub w godzinie śmierci króla, niespodziewanie zahuczał. W słabo oświetlonej komnacie Żelaznej Wieży otworzyły się drzwi i na korytarz wyszła jakaś postać. Wnętrze wieży robiło równie odpychające wrażenie jak jej wygląd zewnętrzny. Masywne kamienne ściany były chropawe i pozbawione ozdób. Płyty posadzki zostały głęboko wyżłobione przez wiele pokoleń niepewnie kroczących stóp, a sklepienie ginęło w cieniu rzucanym przez wątłe światło płonących w wykuszach pochodni.

Kroczący tym korytarzem człowiek pod każdym względem pasował swym wyglądem do otoczenia. Rosły, potężnie zbudowany mężczyzna, odziany w obcisły, czarny jedwab miał

głowę zakrytą sięgającym ramion kapturem z dwoma wycięciami na oczy. Niósł ciężki topór, którego kształt wskazywał, że nie była to ani broń, ani narzędzie.

Idąc korytarzem, napotkał zrzędliwego starca, zgarbionego pod ciężarem włóczni i latarni, które niósł w jednej ręce.

— Nie jesteś równie akuratny jak twój poprzednik, mości kacie — burknął. — Północ wybiła i zamaskowani mężowie poszli już do celi jaśnie pani. Czekają na ciebie.

— Dźwięk dzwonu wciąż niesie się echem między wieżami — odparł kat. — A jeśli nie jestem równie skory biec na każde wezwanie Akwilończyków jak ten pies, co sprawował ten urząd przede mną, to dowiodę, że rękę mam równie pewną. Pilnuj swego nosa, stary dozorczo, a mnie zostaw moje sprawy. Na Mitrę, myślę, że moje zajęcie przyjemniejsze jest od twego, bowiem gdy ty będziesz błądził po zimnych korytarzach i zerkał na zardzewiałe drzwi cel, ja zetnę najładniejszą główkę w Tarantii.

Strażnik pokuśtykał korytarzem, wciąż mamrocząc coś pod nosem, a kat podjął swą niespieszną wędrówkę. Po kilku krokach minął załom korytarza, mimochodem zauważając po lewej stronie lekko

uchylone drzwi. Gdyby choć chwilę pomyślał, zrozumiałby, że musiały zostać otwarte już po przejściu starego strażnika, ale myślenie nie było jego zawodem. Zanim pojął, że coś jest nie w porządku, było już za późno.

Ostrzegł go cichy szelest kroków i szmer opończy, lecz nim zdołał się odwrócić, muskularne ramię owinięło się wokół jego szyi, tłamsząc cisnący się na wargi okrzyk. W

krótkiej chwili, jaką mu jeszcze przeznaczono, w przyływie przerażenia zdał sobie sprawę z siły napastnika, z którą nie mogła się równać jego żyłasta krzepa. Raczej wyczuł, niż zobaczył

wymierzony sztylet.

— Nemedyski psie! — syknął mu do ucha głos nabrzmiały pasją. — Już nie zetniesz żadnej akwilońskiej głowy! To były ostatnie słowa, jakie usłyszał.

W wilgotnym lochu, oświetlonym jedynie okapującym kagankiem, trzech mężczyźni stali nad młodą kobietą, klęczącą na zasłanej słomą, kamiennej podłodze. Uwięziona była odziana jedynie w krótką koszulkę; złociste loki opadały lśniąco falą na jej białe ramiona, a ręce miała skrupowane na plecach. Nawet w tym niepewnym świetle, mimo swego oplakanego stanu i pobladłego ze strachu oblicza, dziewczyna wyglądała uderzająco pięknie. Klęczała na słomie, bez słowa patrząc na swoich prześladowców. Mężczyźni byli zamaskowani i owinięci w opończe, gdyż czyn, jaki mieli popełnić, nawet w podbitym kraju wymagał noszenia masek.

Mimo to znała ich wszystkich; co jednak żadnemu z nich nie miało zaszkodzić — gdy ta noc dobiegnie końca.

— Nasz miłościwy władca daje ci jeszcze jedną szansę, księżniczko — najwyższy z tej trójki rzekł bez śladu akcentu po akwilońsku. — Kazał mi powiedzieć, ‘że jeśli okiełznasz swą hardą, buntowniczą naturę, jeszcze otworzy przed tobą ramiona. Jeżeli nie...

Wskazał gestem pniak stojący na środku celi. Drewno było pokryte poczerniałymi plamami i głębokimi nacięciami, powstałymi gdy ostrze, przecinając coś miękkiego, głęboko wbijało się w pień.

Albiona zadrżała i zbladłszy jeszcze bardziej, szarpnęła się w tył. Każdy nerw jej młodego ciała dygotał żądzą życia. Valerius był młody i przystojny. Wiele kobiet go kocha, powtarzała sobie, walcząc sama ze sobą o życie. Jednak nie mogła wyrzec słowa, które ocaliłoby jej miękkie młode ciało od katowskiego pnia i topora. Nie była w stanie tego pojąć. Wiedziała tylko, że na myśl o Valeriusowych objęciach przechodził ją dreszcz obrzydzenia silniejszy od lęku przed śmiercią. Bezradnie potrząsnęła głową, wiedziona impulsem bardziej nieodpartym niż wola życia.

— Zatem nie ma już o czym mówić! — zawołał niecierpliwie jeden z pozostałych z wyraźnym nemedyskim akcentem. — Gdzie kat?

Jakby przyzwana tymi słowy, w otwartych drzwiach lochu pojawiła się wielka postać, niczym czarny cień przybyły z zaświatów.

Ujrzawszy tę posepną zjawę, Albiona wydała cichy, mimowolny okrzyk przerażenia, a i pozostali przez chwilę spoglądali w milczeniu, może również zdjęci zabobonnym lękiem na widok milczącego, zakapturzonego przybysza. W wycięciach kaptura jego oczy jarzyły się jak dwa błękitne węgle i trzech mężczyźni poczuli zimny dreszcz przebiegający po plecach, gdy to spojrzenie spoczęło na każdym z nich po kolei.

Potem wysoki Akwilończyk brutalnie złapał dziewczynę i powłókł do pniaka. Krzyczała przeraźliwie i desperacko wyrywała się z uścisku, oszalała ze strachu, ale bezlitośnie powalił

ją na kolana i przycisnął złotą główkę do skrwawionego pnia.

— Czemu zwlekasz, kacie? — wykrzyknął ze złością. — Czyń swą powinność!

Odpowiedział mu krótki, potężny ryk śmiechu, niosącego nieopisaną groźbę. Wszyscy w lochu zastygli na swoich miejscach: obaj zamaskowani mężczyźni, ten pochylony nad dziewczyną, a nawet sama klęcząca ofiara, wykręcająca głowę, żeby spojrzeć na kata.

— Cóż ma znaczyć ten niewczesny śmiech, psie? — spytał nieswoim głosem Akwilończyk.

Człowiek w czerni zerwał z głowy kaptur i cisnął go na ziemię; oparł się plecami o zamknięte drzwi i podniósł katowski topór.

— Poznajecie mnie, psy? — warknął. — Znacie mnie? Zapierającą dech w piersi ciszę przerwał krzyk Albiony:

— To król! — wrzasnęła. — Na Mitrę, to król!

Trzej mężczyźni stali jak posągi, aż wreszcie Akwilończyk drgnął i przemówił jak człowiek, który wątpi, czy jest przy zdrowych zmysłach.

— Conan! — wykrzyknął. — To król lub jego duch! Co to za szatańska sprawka?

— Szatańska sprawka, aby odpłacić szatanom! — zadrwił Conan, krzywiąc usta w

uśmiechu, lecz z oczami płonącymi piekielnym blaskiem. — Chodźcie i gińcie, zacni panowie. Wy macie miecze, a ja ten tasak. Jednak zdaje mi się, iż to rzeźnicze narzędzie w sam raz nada się do mojej roboty, dzielni rycerze!

— Na niego! — warknął Akwilończyk, dobywając miecza. — To Conan! Musimy go zabić albo on zabije nas!

Jak ludzie budzący się z transu, Nemedycjczycy chwycili za miecze i skoczyli na króla.

Katowski topór nie był przeznaczony do boju, lecz barbarzyńca wywijał ciężką,

nieporęczną bronią lekko jak siekierą, a dzięki zwinnym nogom i ciągłym zmianom pozycji nie pozwalał im na jednoczesny atak.

Wyłapał obuchem cios pierwszego napastnika i nim ten zdołał odskoczyć czy zastawić się, zmiażdżył mu pierś jednym morderczym uderzeniem. Drugi Nemedyczyk zamachnął się szeroko, lecz chybił, a zanim zdołał odzyskać równowagę, padł z rozplataną czaszką. W

następnej chwili zapędzony w kąt celi Akwilończyk rozpaczliwie usiłował powstrzymać grad sypiących się nań ciosów, nie mając czasu nawet na to, by zawołać o pomoc.

Nagle długa lewica Conana wystrzeliła w przód i zdarła maskę z głowy mężczyzny, odsłaniając pobladłe oblicze.

— Ty psie! — zgrzytnął zębami król. — Wydawało mi się, że cię poznaję. Zdrajco!

Przeklęty renegacie! Nawet ta podła stal jest zbyt szlachetna dla twego parszywego łba! Giń, jak giną złodzieje!

Topór opadł niszczycielskim łukiem i Akwilończyk z krzykiem runął na kolana, ściskając kikut prawego ramienia, z którego tryskała fontanna krwi.

Ręka została odrąbana w łokciu, a nie wstrzymane przez Conana ostrze rozcięło głęboko bok przeciwnika, wypruwając mu wnętrzności.

— Leż tu i wykrwaw się na śmierć — mruknął Conan, z obrzydzeniem odrzucając topór. —

Chodź, księżniczko!

Pochylił się, przeciął więzy na nadgarstkach Albiony i wzięwszy ją jak dziecko w ramiona, wyszedł z lochu. Dziewczyna łkała histerycznie, obejmując żyłasty kark Cymeryjczyka w kurczowym uścisku.

— Spokojnie — rzekł. — To jeszcze nie koniec. Jeśli uda nam się dotrzeć do lochu z ukrytymi drzwiami wiodącymi na schody, które prowadzą do tunelu... A niech to diabli, usłyszeli hałas, nawet przez te mury!

W głębi korytarza dał się słyszeć szczeł oręza, tupot nóg i krzyki odbijające się echem od sklepienia. Zza zakrętu wyłoniła się zgarbiona postać i światło latarni trzymanej w wysoko uniesionej dłoni padło na Conana i dziewczynę. Cymeryjczyk klnąc skoczył naprzód, lecz stary strażnik, porzucając latarnię i pikę umknął korytarzem, piskliwie wzywając pomocy.

Odpowiedziały mu liczne okrzyki.

Conan szybko zawrócił i pomknął w przeciwną stronę. Został odcięty od lochu z ukrytym przejściem oraz z sekretnymi drzwiami, przez które wszedł do Wieży i którymi zamierzał ją opuścić, ale przecież dobrze znał tę ponurą budowlę. Więziono go tutaj, zanim został królem.

Skręcił w boczne przejście i szybko znalazł się w innym, szerszym i opustoszałym teraz korytarzu, biegnącym równoległe do tego, którym tu przybył. Przeszedł nim tylko kilkanaście metrów i znów skręcił w kolejny boczny korytarz, który doprowadził go z powrotem do pierwszego tunelu, tym razem jednak w miejscu strategicznym. Kilka metrów dalej widniały ciężkie, zaryglowane drzwi,

przed którym, zwrócony tyłem do Conana, stał brodaty Nemedyczyk w półpancerzu i w hełmie. Spoglądając w stronę chaotycznie migoczących latarni i narastającego tumultu, „wartownik oddalił się trochę od wyznaczonego stanowiska.

Cymeryjczyk nie wahał się ani chwili. Opuściwszy dziewczynę na ziemię, szybko i cicho podbiegł do strażnika. Król już prawie go dopadł, gdy ten odwrócił się, wydał okrzyk przerażenia i uniósł pikę; lecz zanim zdołał zrobić użytek z tej nieporęcznej broni, Conan trzasnął go mieczem w hełm z siłą mogącą powalić wołu. Hełm oraz czerep pękły pospołu i strażnik jak długi runął na ziemię.

W okamgnieniu Cymeryjczyk odsunął potężny rygiel zamykający drzwi — zbyt ciężki, aby mógł tego dokonać zwykły człowiek — i ponaglił Albionę, która zataczając się, przybiegła na wołanie. Bezceremonialnie chwyciwszy ją jedną ręką, przeniósł ją przez próg w zalegający na zewnątrz mrok.

Znaleźli się w wąskim zaułku, ciemnym jak studnia, z jednej strony zamkniętym murem Wieży, a z drugiej kamiennymi ścianami stojących w zwartym szeregu domów. Conan, mknąc przez mrok najszybciej, jak potrafił, obmacywał tę ścianę, szukając okien lub drzwi, lecz nie znalazł żadnych.

Za nimi rozwarły się ze szczękiem wielkie wrota, wypuszczając żołnierzy, z których półpancerzy i obnażonych kling światło pochodni krzesало skry. Nemedyczyk rozglądali się wokół i nawoływali, nie mogąc przeniknąć wzrokiem ciemności, które ich łuczywa rozświetlały na zaledwie kilka kroków. Potem pognali uliczką w kierunku przeciwnym do wybranego przez Conana i Albionę.

— Szybko zrozumieją swój błąd — mruknął barbarzyńca, przyspieszając kroku. —

Gdybyśmy tylko znaleźli jakąś szczelinę w tym przeklętym murze... Do licha! To nocna straż!

W miejscu, gdzie otwierał się wylot bocznej uliczki, pojawiła się słaba poświata i niewyraźne sylwetki zakuty w stal postaci. Istotnie, była to nocna straż, sprawdzająca przyczynę hałasu niosącego się echem po ulicach.

— Kto idzie? — krzyknęli strażnicy; Conan zacisnął zęby, słysząc zniechęcony nemedycyjski akcent.

— Trzymaj się z tyłu — rozkazał dziewczynie. — Musimy wyrąbać sobie drogę, zanim więzienni strażnicy wrócą i wezmą nas w kleszcze.

I z mieczem w ręku runął na nadchodzących strażników. Miał przewagę zaskoczenia.

Widział ich na tle słabej poświaty, podczas gdy on — wyłaniając się z ciemnej alejki — był niewidoczny dla wrogów. Nie zorientowali się jeszcze, kiedy wpadł między nich, rozdając razy z milczącą furią ranionego lwa.

Jego jedyną szansą było przebić się przez nieprzyjaciół, zanim się opamiętają. Jednak miał

przeciw sobie pół tuzina strażników, zahartowanych w pogranicznych wojnach weteranów, u których instynkt walki mógł szybko przemóc początkowe zmieszanie. Trzech z nich padło, zanim zdali sobie sprawę z tego, że atakuje ich tylko jeden napastnik, ale i tak zareagowali błyskawicznie. W nocnej

ciszy rozległ się ogłuszający szcęk stali i trysnęły snopy iskier krzesanych przez miecz Conana z hełmów i pancerzy. W tym słabym świetle widział lepiej niż oni, a jego błyskawicznie poruszająca się sylwetka stanowiła niepewny cel. Opadające miecze przecinały powietrze lub odbijały się od jego broni, zaś gdy on sam uderzał, robił to z siłą i szybkością huraganu.

Jednak z tyłu słyhać już było krzyki strażników więziennych, wracających pędem do alejki, a z przodu błyszczący mur stali wciąż bronił przejścia. Za moment strażnicy spadną mu na kark... Zdesperowany barbarzyńca podwoił siłę i szybkość ciosów, waląc jak kowal w kowadło, gdy nagle uświadomił sobie, iż nadeszła odsiecz. Z mroku za plecami strażników wyłonił się tuzin czarnych postaci i rozległ się głuchy łoskot morderczych ciosów. W

ciemnościach błysnęła stal i rozległ się wrzask ludzi śmiertelnie rażonych w plecy. Za chwilę alejka była zasłana wijącymi się w agonii ciałami. Czarna, spowita opończą postać skoczyła ku Conanowi, który widząc błysk stali w prawej ręce postaci, uniósł swój miecz. Jednak druga wyciągnięta ku niemu dłoń była pusta, a nieznajomy ponaglił go syknięciem: — Tędy Wasza Wysokość! Szybko!

Zakławszy pod nosem ze zdumienia, Conan chwycił Albionę potężnym ramieniem i

podążył za nieznanym sprzymierzeńcem. Mając za plecami trzydziestu nadbiegających strażników więziennych, nie był skłonny do wahań.

Otoczony przez tajemnicze postacie gnał alejką, niosąc księżniczkę jakby była dzieckiem. O

swoich wybawcach nie mógł rzec nic więcej prócz tego, że byli odziani w czarne płaszcze i kaptury. Dręczyły go wątpliwości i podejrzenia, ale ci nieznajomi powalili jego wrogów, tak więc nie widział powodu, dla którego nie miałby pójść z nimi.

Jakby wyczuwając jego wątpliwości, ich przywódca lekko dotknął ramienia barbarzyńcy i rzekł:

— Nie obawiaj się, królu Conanie; jesteśmy twymi lojalnymi poddanymi.

Głos nie był znajomy; akcent świadczył o tym, że mówiący pochodzi z centralnych prowincji Akwilonii.

Za nimi niesły się wrzaski strażników; natknęli się oni na jatki w alejce i dysząc żądzą zemsty, pędzili za uciekającymi, których niewyraźne zarysy widzieli na tle świateł odległej ulicy. Jednak zakapturzeni nagle skręcili ku pozornie litej ścianie i Conan dostrzegł ziejący w niej otwór. Zaklął pod nosem. W przeszłości często przechodził tą alejką za dnia i nigdy nie zauważył tu żadnych drzwi. Przeszli przez próg i furta zatrzasnęła się za nimi ze szcękaniem zamka. Ten odgłos nie poprawiał samopoczucia, lecz przewodnicy poganiali Conana, trzymając go za oba łokcie, a poruszali się z szybkością zdradzającą dobrą znajomość terenu.

Przypominało to wędrówkę tunelem i Cymeryjczyk czuł, jak smukłe ciało Albiony drży w jego ramionach. Wreszcie dostrzegł w oddali ledwie widoczny otwór — jaśniejszą plamę w ciemności — przez który opuścili przejście.

Potem przemierzali w głuchym milczeniu przyprawiający o zawrót głowy labirynt

mrocznych dziedzińców, ciemnych uliczek i krętych korytarzy, aż w końcu znaleźli się w jasno oświetlonej komnacie, której położenia Conan nie odgadłby, gdyż kręta droga zmyliła nawet jego pierwotne poczucie kierunku.

MONETA Z ACHERONU

Nie wszyscy nieznajomi weszli do komnaty. Gdy zamknęły się drzwi, Conan zobaczył, że stoi przed nim tylko jeden człowiek — smukła, zakapturzona postać w czarnej opończy.

Mężczyzna zaraz odrzucił kaptur, ukazując blady owal twarzy o spokojnych, delikatnie rzeźbionych rysach.

Król postawił Albionę na podłodze, lecz dziewczyna wciąż się doń tuliła, z niepokojem spoglądając wokół. Skąpana w złocistym blasku mosiężnych lamp komnata była duża, o marmurowych ścianach częściowo zakrytych draperiami z czarnego aksamitu i z mozaikową posadzką wyścieloną grubymi dywanami. Conan instynktownie położył dłoń na rękojeści miecza. Miał na ręku krew oblepiającą wylot pochwy miecza, gdyż wetknął w nią nie otarte z posoki ostrze.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

Nieznajomy odpowiedział z niskim, pokornym pokłonem, w którym podejrzliwy król nie doszukał się śladu ironii.

— W świątyni Asury, Wasza Wysokość.

Albiona z cichym okrzykiem przywarła do Conana, lękliwie spoglądając na czarne, łukowate drzwi, jakby w oczekiwaniu wejścia jakiegoś okropnego potwora.

— Nie lękaj się, pani — rzekł przewodnik. — Wbrew gminnym przesądom nic ci tu nie grozi. Jeśli twój monarcha był wystarczająco przekonany o niewinności naszej religii, by bronić nas przed prześladowaniami ze strony ludzi nieświadomych, to z pewnością i jedna zjego poddanych nie powinna żywić uprzedzeń.

— Kim jesteś? — spytał król.

— Jestem Hadrathus, kapłan Asury. Jeden z moich wiernych rozpoznał cię, gdy przybyłeś do miasta, i doniósł mi o tym.

Conan zaklął pod nosem.

— Nie obawiaj się, że inni mogli odkryć twoją tożsamość — zapewnił go Hadrathus. —

Twoje przebranie zmyliłoby każdego prócz wyznawcy Asury, albowiem nasz kult uczy szukać prawdy pod powłoką ułudy. Śledzono cię aż do wieży strażniczej, a paru moich ludzi weszło do tunelu, aby pomóc ci, gdybyś tamtędy wracał. Inni, w tym i ja, otoczyli Żelazną Wieżę. Teraz, królu Conanie, rozkazuj. Tu, w świątyni Asury, nadal jesteś królem.

— Dlaczego mielibyście ryzykować dla mnie życiem?

— Byłeś naszym przyjacielem, kiedy zasiadałeś na tronie — odparł kapłan. — Broniłeś nas, gdy kapłani Mitry chcieli wygnać nas z kraju.

Conan z ciekawością rozejrzał się wokół. Nigdy jeszcze nic przebywał w świątyni Asury, a nawet nie był pewien, czy w Tarantii znajduje się takowa. Kapłani tej religii mieli zwyczaj ukrywać swe świątynie w podziwii godny sposób. Kult Mitry był dominującym wyznaniem wśród hyboryjskich narodów, lecz mimo oficjalnego zakazu i powszechnej niechęci gdzieś nadal oddawano cześć Asurze. Conan słyszał ponure historie o ukrytych miejscach kultu, gdzie gęsty dym unosił się nieustannie nad czarnymi ołtarzami, na których porwanych ludzi składano w ofierze wielkiej żmii, miarowo kołyszącej w mroku straszliwym łbem.

Prześladowania zmusiły wyznawców Asury do sprytnego ukrywania przybytków swej

wiary i otaczania mgłą tajemnicy swych rytuałów; ta tajemniczość rodziła jeszcze potworniejsze podejrzenia i straszliwsze opowieści.

Jednak w barbarzyńskiej naturze Conana leżała szeroko pojęta tolerancja; odmówił

prześladowania wyznawców Asury i nie pozwalał na nie innym, skoro jedynymi dowodami, jakie przeciw nim przedstawiano, były nie potwierdzone plotki i pomówienia. „Jeśli uprawiają czarną magię” — pytał — „to czy pozwolą, żebyście ich dręczyli? A jeśli nie uprawiają, to w niczym nie zawinili. Na Croma! Pozwólcie ludziom czcić takich bogów, na jakich mają ochotę!”

Po pełnym szacunku zaproszeniu Hadrathusa król zasiadł na fotelu z kości słoniowej i gestem wskazał Albionie drugi, lecz ona wolała usiąść na złotym stołeczku u jego stóp, przyciskając się do jego uda, jakby w tej bliskości szukała bezpieczeństwa. Jak większość ortodoksyjnych wyznawców Mitry czuła instynktowny lęk przed kultem i czcicielami Asury, zaszczerpiony jej w dzieciństwie opowieściami o ofiarach z ludzi i człekopodobnych bóstwach błakających się po mrocznych świątyniach.

Hadrathus stał przed nimi, pochylając obnażoną głowę.

— Czego sobie życzysz, Wasza Wysokość?

— Najpierw strawy — mruknął król i kapłan uderzył srebrną pałeczką w złoty gong.

Ledwie przebrzmiały echa łagodnych dźwięków, gdy z zasłoniętego kotarą przejścia wyłoniły się cztery zakapturzone postacie, które niosły wielką srebrną tacę na czterech nóżkach, zastawioną dymiącymi daniami i kryształowymi naczyniami. Kłaniając się nisko, postawili ją przed Conanem, który wytarł dłonie serwetą i cmoknął z nieskrywanym zadowoleniem.

— Uważaj, Wasza Wysokość! — szepnęła Albiona. — Oni jedzą ludzkie mięso!

— Założę się o całe królestwo, iż to nic innego jak porządna pieczeń wołowa — odparł

Cymeryjczyk. — No już, do dzieła, dziewczyno! Musiałaś wygłodnieć na więziennym wikcie.

Słyszając tę radę i idąc za przykładem tego, którego słowo było dla niej najwyższym prawem, księżniczka usłuchała i poczęła jeść, z zapalem, lecz wykwintnie, podczas gdy jej dobry pan rwał mięsiwo zębami i żłopał wino tak łapczywie, jakby tej nocy niczego nie miał w ustach.

— Wasi kapłani są sprytni, Hadrathusie — rzekł z ustami pełnymi mięsa i wołowym gnatem w dłoni.
— Chętnie skorzystam z waszych usług w kampanii zmierzającej do odzyskania mego królestwa.

Hadrathus powoli pokręcił głową i Conan w przypływie gniewu walnął udźcem o stół.

— Na Croma! Co się stało z ludem Akwilonii? Najpierw Servius... a teraz ty! Czy nie potraficie zrobić nic więcej jak tylko kręcić swymi durnymi łbami, gdy mówię o przepędzeniu tych psów?

Hadrathus westchnął i odparł niespiesznie:

— Panie, przykro mi to mówić i rad bym powiedzieć coś innego. Jednak wolność Akwilonii skończyła się. Ba, może nawet wolność całego świata dobiegła kresu! W dziejach świata epoka następuje po epoce i teraz wkroczyliśmy w wiek grozy i niewoli, jak w dawnych czasach.

— Co masz na myśli? — spytał zaniepokojony król. Hadrathus opadł na fotel i oparłszy łokcie na kolanach, wbił wzrok w podłogę.

— Sprzymierzyli się przeciw tobie nie tylko zbuntowani akwilońscy lordowie i

nemedyjskie wojska — odparł Hadrathus. — To czary, ohydna czarna magia z ponurego zarania dziejów. Z mroków przeszłości wyłoniła się okropna postać, której nikt nie zdoła się przeciwstawić.

— Co masz na myśli? — ponownie zapytał Conan.

— Mówię o Xaltotunie z Acheronu, który umarł trzy tysiące lat temu, a jednak dziś stąpa po tej ziemi.

Conan milczał, a pamięć podsunęła mu obraz brodatego oblicza tchnącego zimnym, nieludzkim pięknem. Ponownie doznał niemiłego wrażenia, że już gdzieś widział tę twarz.

Acheron — to słowo dziwnym echem odbijało się w jego duszy, wywołując niejasne wspomnienia.

— Acheron — powtórzył. — Xaltotun z Acheronu... Człowieku, czyś ty oszalał? Acheron pozostaje legendą od tylu wieków, od ilu mogę pamiętać. Często zastanawiałem się, czy w ogóle istniał.

— Był ponurą rzeczywistością — odparł Hadrathus. — Nurzające się w występku

imperium magów, o którym dawno zapomniano. W końcu zostało pokonane przez

hyboryjskie szczepy z zachodu. Czarnoksiężnicy Acheronu praktykowali plugawą

nekromancję, najgorszego rodzaju magię i przerażające czary, których uczyli się od samych demonów. A ze wszystkich czarowników tego przeklętego królestwa żaden nie dorównywał

Xaltotunowi z Pythonu.

— Zatem jak zdołano go pokonać? — pytał sceptycznie Conan.

— Wykorzystując pewne cechy źródła kosmicznej mocy, którego zazdrośnie strzegł, a które mu wykradziono. To źródło zwrócono mu i teraz jest niezwyciężony.

Albiona, otuliwszy się czarnym katowskim płaszczem, wodziła spojrzeniem od kapłana do króla, nie rozumiejąc ich rozmowy. Conan ze złością potrząsnął głową.

— Kpisz sobie ze mnie — warknął. — Skoro Xaltotun nie żyje od trzech tysięcy lat, jak może nim być ten człowiek? To jakiś łotr, co przybrał imię tamtego.

Hadrathus pochylił się nad stolikiem z kości słoniowej i otworzył stojące tam złote puzderko. Wyjął zeń coś, co lekko zabłysło w łagodnym świetle — dużą, złotą monetę, najwyraźniej antyczną.

— Widziałeś Xaltotuna bez maski? Zatem spójrz na to. Ta moneta została wybita w starożytnym Acheronie, pięćset lat przed jego upadkiem. To mroczne imperium było tak przesycone czarami, że nawet ta moneta ma magiczne właściwości.

Conan wziął pieniądz i spojrzał nań, marszcząc brwi. Nie ulegało wątpliwości, że denar jest bardzo stary. W czasach, gdy barbarzyńca zajmował się głównie plądrowaniem, miał w rękach wiele monet i zdobył o nich sporą wiedzę praktyczną. Krawędzie były wytarte, a napis niemal niewidoczny. Jednak wytłoczony na jednej stronie wizerunek był nadal ostry i wyrazisty. Conan z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. W komnacie nie było chłodno, a mimo to poczuł mrowienie pod czupryną i lodowaty dreszcz przebiegający po krzyżu. Wizerunek przedstawiał nieprzeniknione oblicze brodatego mężczyzny, tchnące zimnym, nieludzkim pięknem.

— Na Croma! To on! — mruknął Conan. Teraz rozumiał, dlaczego miał wrażenie, iż zna tę twarz. Dawno temu, w dalekim kraju widział taką monetę jak ta.

Wzruszył jednak ramionami i burknął:

— Przypadkowe podobieństwo... A może, skoro miał dość sprytu, by przybrać imię zapomnianego maga, mógł również upodobnić do niego swoją twarz.

Jednak mówił bez przekonania. Widok tej monety wstrząsnął fundamentami jego świata.

Cauł, że realność i trwałość walą się w otchłań iluzji i magii. Z istnieniem czarnoksiężników jeszcze mógł się pogodzić, lecz to przekraczało wszelkie ludzkie pojęcie.

— Nie ma wątpliwości, iż to naprawdę Xaltotun z Pythonu — rzekł Hadrathus. — To on wstrząsnął urwiskami nad Valkią, używając zaklęć, co niewolą żywioły ziemi — i to on przed świtem wysłał stwora ciemności do twego namiotu.

Conan zmarszczył brwi.

— Skąd o tym wiesz?

— Wyznawcy Asury mają swoje kanały, którymi przepływają wieści. To nie ma znaczenia.

Czy jednak zdajesz sobie sprawę z bezsensu poświęcania twych poddanych w daremnych próbach odzyskania tronu?

Conan podparł brodę pięściami i zapatrzył się w pustkę. Albiona spoglądała nań z niepokojem, z trudem usiłując rozeznaczyć się w gąszczu nurtujących go problemów.

— Czyż nie ma na świecie czarownika, który zdołałby rzucić czar zdolny przeciwstawić się magii Xaltotuna? — spytał w końcu.

Hadrathus potrząsnął głową.

— Gdyby był, my, kapłani Asury, wiedzielibyśmy o nim. Ludzie powiadają, iż nasza wiara jest reliktem pradawnego stygijskiego kultu węża. To kłamstwo. Nasi przodkowie przybyli z Vendhji, zza morza Vilayet i błękitnych Gór Himelijskich. Jesteśmy synami wschodu, nie południa, i znamy wszystkich magów z tamtych stron, którzy są więksi od czarnoksiężników żyjących na zachodzie. Lecz każdy z nich byłby jak słomka na wietrze wobec czarnej potęgi Xaltotuna.

— Jednak raz już go pokonano — upierał się Conan.

— A tak; obrócono przeciw niemu kosmiczną moc. Jednak teraz jej źródło znów znalazło się w jego rękach, a on zadba, żeby mu go nie skradli.

— A cóż to za przekłete źródło? — spytał zirytowany barbarzyńca.

— Nazywają je Sercem Arymana. Kiedy padł Acheron, szaman, który je ukradł i obrócił

przeciw Xaltotunowi, ukrył Serce w nawiedzanej przez duchy pieczarze i zbudował nad nią niewielką świątynię. Później trzykrotnie ją przebudowano, za każdym razem wznosząc większą i wspanialszą budowlę, ale zawsze w tym samym miejscu, choć zapomniano, z jakiego powodu. Pamięć o ukrytym symbolu zanikła w umysłach zwykłych ludzi i zachowała się jedynie w zapiskach kapłanów oraz w ezoterycznych dziełach. Nikt nie wie, skąd się wzięło. Jedni twierdzą, iż to prawdziwe serce boga, inni — że gwiazda, która przed wiekami spadła z nieba. Dopóki nie dokonano kradzieży, przez trzy tysiące lat nikt go nie oglądał. Gdy magia kapłanów Mitry zawiodła wobec magii Xaltotunowego pomocnika — Altaro, ci przypomnieli sobie prastarą legendę o Sercu i arcykapłan w towarzystwie jednego akolity zszedł do ciemnej, okropnej krypty pod świątynią, nie odwiedzonej od ponad trzech tysięcy lat. Starożytne, oprawne w żelazo księgi, mówiące tajemnymi symbolami o Sercu, wspominają o demonie ciemności postawionym na straży przez szamana. Głęboko pod ziemią, w kwadratowej komorze, z której łukowate przejścia wiodą w nieprzeniknione ciemności, arcykapłan i jego pomocnik znaleźli ołtarz z czarnego kamienia emanujący słabą, niewytłumaczalną poświatą. Na tym ołtarzu stało dziwne złote naczynie w kształcie dwudzielnej muszli, przyczepionej do kamienia niczym małż. Było jednak otwarte i puste.

Serce Arymana zniknęło. Gdy patrzyli na to zdjęci zgrozą, dopadł ich strażnik krypty i śmiertelnie

poranił arcykapłana. Jednak akolicie udało się odpędzić bestię — nierozumnego, bezdusznego włóczęgę z otchłani, sprowadzonego dawno temu, aby pilnował Serca — i umknął wąskimi, długimi schodami, unosząc konającego arcykapłana, który przed śmiercią wyszeptał swoim uczniom nowinę, nakazał im poddać się potędze, której nie zdołają pokonać, i odebrał przysięgę milczenia. Rzecz jednak rozniosła się wśród kapłanów Mitry i tak dowiedzieli się o tym wyznawcy Asury.

— I Xaltotun czerpie siłę z tego talizmanu? — spytał nadal sceptycznie nastawiony Conan.

— Nie. Jego siła płynie z ciemnych otchłani. Jednak Serce Arymana pochodzi z jakiegoś odległego wszechświata płomiennego blasku i jeśli znajdzie się w rękach wtajemniczonego, moce ciemności nie zdołają mu sprostać. Jest jak miecz, którym można go ugodzić, a którym on nie jest w stanie władać. Przywraca życie i może je unicestwić. On ukradł Serce nie po to, aby wykorzystać je przeciw wrogom, lecz by oni nie mogli posłużyć się talizmanem.

— Złote naczynie w kształcie muszli na czarnym ołtarzu w głębokiej jaskini — mamrotał

Conan i marszcząc brew, próbował uchwycić ulotne wspomnienie. — To przypomina mi o czymś, co widziałem albo słyszałem... Na Croma, jak wygląda to szacowne Serce?

— Ma postać wielkiego klejnotu; przypomina rubin, lecz pulsuje oślepiającym blaskiem, jakim nie świeci żaden szlachetny kamień. Jarzy się żywym ogniem...

Conan poderwał się z fotela i zaciśniętą pięścią uderzył w otwartą dłoń.

— Na Croma! — ryknął. — Ależ ze mnie głupiec! Serce Arymana! Serce mego królestwa!

Znajdź serce twego królestwa, powiedziała Zelata. Na Ymira, to ten kamień, który widziałem w zielonym dymie, to klejnot skradziony przez Tarascusa Xaltotunowi, gdy ten spał snem czarnego lotosu!

Hadranthus również zerwał się na nogi, a opanowanie spadło zeń jak płaszcz.

— Co mówisz? Skradziono Xaltotunowi Serce?

— Tak! — zagrział Cymeryjczyk. — Tarascus obawiał się Xaltotuna i chciał osłabić jego potęgę, która — jak sądził — drzemie w Sercu. Może nawet mniemał, że czarownik umrze, kiedy je straci. Na Croma... Aaa!

Z wściekłym grymasem rozczarowania opuścił zaciśniętą pięść.

— Zapomniałem. Tarascus dał je złodziejowi, każąc wrzucić do morza. W tej chwili łotr pewnie już dotarł do Kordawy. Zanim go dopadnę, wsiądzie na statek i powierzy Serce morskim głębinom.

— Morze go nie zatrzyma! — wykrzyknął Hadrathus, drżąc z emocji. — Xaltotun już dawno sam cisnąłby Serce w morze, gdyby nie wiedział, że pierwszy sztorm wyrzuci je na brzeg.

— No cóż — Conan powoli odzyskiwał wrodzoną wiarę w siebie. — Nie ma pewności, że złodziej

wykona rozkaz. O ile znam złodziei — a powinienem, bo za młodu, w Zamorze, sam byłem jednym z nich — wcale nie wyrzuci talizmanu. Sprzeda go jakiemuś bogatemu kupcowi. Na Croma!

W rosnącym podnieceniu przechadzał się tam i z powrotem po komnacie.

— Warto poszukać. Zelata nakazała mi szukać serca mego królestwa, a wszystko, co mi wyjawiała, okazało się prawdą. Czy może to być, że moc zdolna pokonać Xaltotuna kryje się w tej szkarłatnej błyskotce?

— Tak! Głowę daję! — zakrzyknął Hadrathus z twarzą pojaśniałą zapałem, z roziskrzonym wzrokiem i zaciśniętymi pięściami. — Posiadając je, moglibyśmy się zmierzyć z Xaltotunem.

Przysięgam! Jeżeli zdołamy je odzyskać, mamy szansę odzyskać twoją koronę i wygnać wrogów z naszych granic. Akwilonia nie obawia się nemedyjskich mieczów, lecz czarnej sztuki Xaltotuna.

Conan spoglądał na niego przez chwilę; zapal kapłana wywarł na nim wrażenie.

— To wyprawa jak z sennego koszmaru — rzekł w końcu. — Jednak twoje słowa powtarzają myśl Zelaty, a wszystko, co powiedziała, okazało się prawdą. Poszukam tego klejnotu.

— W nim kryje się przeznaczenie Akwilonii — powiedział z przekonaniem Hadrathus. —

Poślę z tobą ludzi...

— Nie! — zawołał niecierpliwie król, nie mając ochoty, by zawadzali mu w tym przedsięwzięciu jacyś kapłani, choćby nie wiedzieć jak biegli w ezoterycznych naukach. —

To zadanie dla wojownika. Pojadę sam. Najpierw do Poitain, gdzie zostawię Albionę z Trocerem. Potem do Kordawy i na morze — jeśli będzie trzeba. Może zdarzyć się i tak, że złodziej będzie miał zamiar wykonać polecenie Tarascusa, ale nie znajdzie statku wyruszającego o tej porze roku w daleki rejs.

— Jeśli zdobędziesz Serce — zawołał Hadrathus — przygotuję ci grunt do podboju. Zanim wrócisz do Akwilonii, prześlę sekretnymi kanałami wieść, że żyjesz i powracasz z mocą większą od Xaltotunowej. Przygotuję ludzi, by powstali przeciw ciemnościom. I powstaną, jeśli będą mieli pewność, że ochronimy ich przed czarną magią Xaltotuna. Pomogę ci w podróży.

Wstał i uderzył w gong.

— Tajemne przejście wiedzie z tej świątyni za mury miasta. Popłyniesz do Poitain łodzią pielgrzymów. Nikt nie ośmieli się stanąć ci na drodze.

— Jak uważasz.

Mając przed sobą wyraźnie wytyczony cel, Conan pałał niecierpliwością i energią.

— Byle szybko — rzekł.

Tymczasem w mieście wydarzenia toczyły się w szalonym tempie. Zdyszany posłaniec wpadł do pałacu, gdzie Valerius zabawiał się z tancerkami, i rzuciwszy się na kolana, wykrztusił nieskładną opowieść o krwawym napadzie na więzienie i ucieczce pięknej branki.

Przyniósł też wieść, że księżę Thespius, któremu powierzono nadzór nad egzekucją Albiony, jest umierający i przed śmiercią błaga o spotkanie z Valerusem.

Pospieszenie narzuciwszy płaszcz, Valerius podążył za posłańcem przez labirynt uliczek, aż znalazł się w komnacie, w której leżał Thespius. Nie ulegało wątpliwości, że księżę umiera: przy każdym konwulsyjnym oddechu krwawa piana występowała mu na wargi.

Zabandażowano mu kikut ramienia, aby powstrzymać upływ krwi, lecz i tak rana w boku była śmiertelna.

Zostawszy sam na sam z umierającym, Valerius zaklął pod nosem.

— Na Mitrę! Sądziłem, iż tylko jeden człowiek potrafił zadać taki cios!

— Valeriusie! — wydyszał konający. — On żyje! Conan żyje!

— Co ty opowiadasz!?! — wybuchnął uzurpator.

— Klnę się na Mitrę! — wykrztusił Thespius, dławiąc się krwią napływającą do ust. — To on uprowadził Albionę! Nie jest martwy... Nie jest zjawą, która przybyła z piekieł, aby nas gnębić. Jest z krwi i kości, straszniejszy niż kiedykolwiek. W zaułku koło wieży pełno trupów... Strzeż się, Valeriusie... on wrócił... aby zabić nas wszystkich...

Okropny dreszcz wstrząsnął okrwawionym ciałem i księżę Thespius znieruchomiał.

Valerius spojrział chmurnie na martwego, rozejrzał się po pustej komnacie, po czym szybko podszedł do drzwi i gwałtownie je otworzył. Posłaniec stał razem z grupką nemedyskich strażników w korytarzu kilka kroków dalej. Valerius mruknął pod nosem coś, co mogło być oznaką zadowolenia.

— Czy wszystkie bramy zamknięto? — zapytał.

— Tak, Wasza Wysokość.

— Potroić strażę przy każdej. Niechaj nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie z miasta bez drobiazgowego dochodzenia. Wyślijcie patrole, niech przeszukają ulice i domostwa. Bardzo ważny więzień uciekł z pomocą akwilońskiego buntownika. Czy ktoś z was rozpoznał tego człowieka?

— Nie, Wasza Wysokość. Stary dozorca widział go przez chwilę, lecz zauważył jedynie, że był to olbrzym w czarnym stroju kata, którego nagie ciało znaleźliśmy w pustej celi.

— To niebezpieczny człowiek — rzekł Valerius. — Nie macie szans w starciu z nim.

Wszyscy znacie księżniczkę Albionę. Szukajcie jej, a kiedy znajdziecie, natychmiast zabijcie ją i jej towarzysza. Nie próbujcie brać ich żywcem.

Wróciwszy do swej komnaty w pałacu, Valerius wezwał do siebie czterech mężczyzn o niezwykłym, cudzoziemskim wyglądzie. Wysocy, chudzi, o żółtawej skórze i nieruchomych twarzach wyglądali bardzo podobnie i byli podobnie odziani w długie, czarne togi, spod których wystawały jedynie obute w sandały stopy. Kaptury skrywały, ich twarze w cieniu.

Stali przed Valeriusiem z założonymi rękami i dłońmi schowanymi w rękawach szat. Valerius spoglądał na nich z lekkim obrzydzeniem. Podczas swych dalekich podróży napotkał wiele dziwnych ludów.

— Kiedy znalazłem was głodujących w dżungli Khitaju — rzekł nagle — wygnanych z waszej ojczyzny, przysięgliście mi służyć. I robiliście to dobrze, na swój paskudny sposób.

Żądam od was jeszcze jednej usługi, a potem zwolnię was z przysięgi. Conan Cymeryjczyk, król Akwilonii, nadal żyje, mimo magii Xaltotuna — a może dzięki niej. Nie wiem. Mroczny umysł tego wskrzeszonego szatana jest zbyt chytry i podstępny, aby mógł go zgłębić zwykły śmiertelnik. Jednak dopóki Conan żyje, ja nie jestem bezpieczny. Lud zaakceptował mnie jako mniejsze zło, kiedy sądził, iż król zginął. Jeśli znów się pojawi zanim zdołam ruszyć palcem, wybuchnie powstanie i wstrząśnie tronem. Może moi sprzymierzeńcy zamierzają osadzić go na moim miejscu, jeśli uznają, iż zrobiłem już swoje. Nie wiem. Natomiast wiem, że ta planeta jest zbyt mała dla dwóch królów Akwilonii. Znajdźcie Cymeryjczyka. Użyjcie swoich nadludzkich zdolności, aby wytropić go, gdziekolwiek się skryje i dokądkolwiek umknie. On ma wielu przyjaciół w Tarantii. Ktoś pomógł mu uwolnić Albionę. Jeden człowiek, nawet taki jak Conan, nie zdoła urządzić tak straszliwej rzezi jak ta w zaułku pod wieżą. Dość gadania. Weźcie swoje kostury i ruszajcie jego tropem. Nie wiem, dokąd was zaprowadzi. Tylko znajdźcie go! A kiedy go odnajdziecie — zabijcie! Czterej Khitajczycy bez słowa pokłonili się, odwrócili i bezszelestnie wyszli z komnaty.

MIECZE POŁUDNIA

Jutrzenka wstająca zza odległych wzgórz oświetliła żagle małej łodzi, która płynęła z prądem rzeki, mijającej w odległości mili mury Tarantii i skręcającej na południe jak wielki, lśniący wąż. Łódź różniła się od zwyczajnych czółen rybackich i kupieckich skut, wyładowanych różnorodnymi towarami, pływających po szerokim Khorotasio. Była długa i wąska, z wysokim, wygiętym dziobem, kadłubem czarnym jak heban i rzędem białych czaszek wymalowanych wzdłuż burt. Na śródokręciu stała mała nadbudówka ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Inne statki omijały tę złowrogo pomalowaną krypę szerokim łukiem; najwidoczniej była to jedna z „pielgrzymich łodzi”, które niosły martwych wyznawców Asury w ostatnią tajemniczą podróż na południe, gdzie, daleko za górami Poitain, rzeka w końcu wpada do błękitnego oceanu. W kabinie niewątpliwie spoczywają zwłoki takiego pielgrzyma. Wszyscy Akwilończycy przywykli do tego okropnego widoku i nawet

najzagorzalsi wyznawcy Mitry nie ośmieliliby się zbliżyć czy zakłócić żałobnej wędrówki.

Nikt nie wiedział, gdzie znajdował się cel ich podróży. Jedni mówili, że w Stygii; inni wskazywali jakąś bezimienną wyspę daleko za horyzontem; jeszcze inni twierdzili, iż ostatecznym miejscem spoczynku zmarłych jest fascynująca i tajemnicza Vendhja. Jednak nikt nie wiedział na pewno. Wiedziano tylko, że gdy umierał któryś z wyznawców Asury, jego zwłoki płynęły na południe wielką rzeką w czarnej łodzi, której sternikiem i wiosłarzem był ogromny niewolnik; i że ani łodzi, ani zwłok, ani niewolnika nikt już nigdy nie oglądał.

Chyba że prawdę mówiły te okropne historie, według których zawsze ten sam niewolnik sprowadzał łodzie w dół rzeki.

Mężczyzna kierujący łodzią był równie ogromny i brązowoskóry jak inni jej sternicy, chociaż gdyby ktoś przyjrzał mu się z bliska, odkryłby, iż ciemnej karnacji nabrał dzięki umiejętnie zastosowanemu barwnikowi. Miał na sobie skórzaną przepaskę; biodrową oraz sandały, a długim sterem i parą wiosł poruszał z niezwykłą siłą i zręcznością. Nikt nie zbliżał

się do ponurej barki, bowiem dobrze wiedziano, iż wyznawcy Asury są przeklęci, a ich pielgrzymie łodzie zaczarowane. Tak więc ludzie opływali ją z daleka, mamrocząc pod nosem modlitwy, dopóki nie zniknęła im z oczu, i nawet im się nie śniło, że właśnie byli świadkami ucieczki swego króla i księżniczki Albiony.

W tym niezwykłym rejsie smukłą czarną łodzią, dwieście mil po wielkiej rzece aż do miejsca, gdzie Khotaras skręca na południe, omijając Góry Poitaińskie, przed oczyma płynących przesuwwały się coraz to nowe widoki. Za dnia Albiona leżała cierpliwie w małej kabinie, nieruchomo jak trup, którego miejsce zajęła. Dopiero późną nocą, ale nim nadszedł

świt, wraz z którym łodzie rybackie wyruszają na połów — gdy z rzeki zniknęły spacerowe barki wiozące nobliwych pasażerów, wygodnie rozpartych na miękkich, jedwabnych poduszkach w blasku trzymany przez niewolników pochodni — ośmielała się ją opuścić.

Przejmowała wówczas długi ster, zręcznie umocowany linami, które ułatwiały jej zadanie, zaś Conan spał kilka godzin. Jednak król nie potrzebował wiele odpoczynku. Gnała go nieposkromiona niecierpliwość, a jego muskularne ciało było jakby stworzone do tak ciężkich prób. Bez postojów i przerw płynęli na południe.

I tak uciekali w dół rzeki: nocami, gdy wartki nurt odbijał miliony gwiazd, i w złościście rozświetlone dnie, zostawiając za sobą zimę, w miarę jak posuwali się na południe. Nocami mijali też miasta, nad którymi migotały łuny miriadów świateł, nadrzeczne rezydencje szlachty i bujne sady. W końcu wypiętrzyły się nad nimi, niczym fortyfikacje bogów, sine Góry Poitaińskie, a wielka rzeka, omijając poszarpane turnie, przewalała się z grzmiącym rykiem przez wąwozy, burząc się i pieniając na porohach.

Conan bacznie omiółł spojrzeniem brzeg, aż w końcu napał na długie wiosło i skierował

łódź w kierunku małego cypla, gdzie jodły dziwnie regularnym kręgiem otaczały szary, przedziwnego kształtu głąz.

— Nie mam pojęcia, jak te łódki pokonują wodospady, których grzmot słyszę przed nami

— burknął. — Hadrathus powiedział, że to robią — jednak my się zatrzymamy tutaj. Mówił

też, że jakiś człowiek będzie na nas czekać z końmi, ale nikogo nie widzę. Zresztą nie rozumiem, jak wieść o naszym przybyciu mogłaby nas wyprzedzić.

Podpłynął do brzegu i przycumował łódź do wystającego korzenia, a potem skoczył do wody i zmywszy z siebie brązową farbę, wynurzył się ociekający wodą, lecz ze swym naturalnym kolorem skóry. Z kabiny wyjął akwilońską kolczugę dostarczoną przez Hadrathusa i swój miecz. Założył zbroję, podczas gdy Albiona ubierała strój lepiej nadający się do wędrówki po górach. Conan uzbroił się, a gdy znów spojrzał na brzeg, nagle drgnął i chwycił za rękojeść miecza. Opodał pod drzewami stała postać w czarnym płaszczu, trzymająca wodze białego kłusaka i gniadego bojowego ogiera.

— Kim jesteś? — spytał król.

Tamten pokłonił się nisko.

— Wyznawcą Asury. Przyszedł rozkaz. Wykonałem.

— Jak to „przyszedł”? — dociekał Conan, lecz tamten tylko ponownie się skłonił.

— Przybyłem, żeby przeprowadzić was przez góry do pierwszej poitaińskiej warowni.

— Nie potrzebuję przewodnika — odparł Conan. — Znam te góry. Dzięki za konie, ale księżniczka i ja mniej zwrócimy uwagi sami, niż gdyby towarzyszył nam akolita Asury.

Mężczyzna pokłonił się uniżenie i oddawszy wodze Conanowi, wsiadł do łodzi. Odbił od brzegu, a wartki nurt zaczął go unosić ku niewidocznym wodospadom. Potrząsając ze zdumieniem głową,

Conan posadził księżniczkę w siodle białego wierzchowca, a potem dosiadł swojego rumaka i ruszył w kierunku niebotycznych szczytów.

Pofałdowana kraina u stóp wysokich gór zmieniła się teraz w ogarnięte zamieszkami pogranicze, gdzie baronowie wracali do starych feudalnych praktyk, a hordy opryszków bezkarnie grabiły ludność. Poitain nie ogłosiło formalnej secesji, jednak obecnie pod każdym względem było niezależnym od Akwilonii państwem, rządzonym przez dziedzicznego księcia Trocera. Południowe pogórze nominalnie należało do Valeriusa, który jednak nie próbował

forsować przełęczy strzeżonych przez warownie, nad którymi wyzywająco powiewały szkarłatne poitaińskie sztandary z lampartem.

Król ze swą piękną towarzyszką wjeżdżali w tę górską krainę w zapadającym powoli zmierzchu. Gdy znaleźli się wyżej, cała ziemia rozścieliła się przed nimi jak ogromny, purpurowy płaszcz, przetykany srebrem jezior i rzek, złotem rozległych pól i bielą odległych wieżyc. Przed sobą, wysoko w górze, dostrzegli pierwszą z poitaińskich twierdz — potężną fortecę, która strzegła wąskiej przełęczy z purpurową chorągwią powiewającą na tle błękitnego nieba.

Zanim tam jednak dotarli, spomiędzy drzew wyjechał oddział rycerzy w lśniących zbrojach, a ich przywódca stanowczo zatrzymał podróżnych. Poitaińczycy byli rośli, czarnoocy, z kruczoczarnymi lokami południowców.

— Stój, panie. Z czym i po co przybywasz do Poitain!

— Czy w Poitain wybuchł bunt — odparł Conan, badawczo przyglądając się mężczyźnie — że człowiek w akwilońskiej zbroi jest zatrzymywany i wypytywany jak cudzoziemiec?

— W dzisiejszych czasach wielu łotrów przybywa Z Akwilonii — odrzekł chłodno tamten.

— A co do buntu, to jeśli masz na myśli odrzucenie uzurpatora, Poitain rzeczywiście się zbuntowało. Wolimy raczej służyć pamięci martwego człowieka niż berłu żyjącego psa.

Conan zerwał hełm i odrzuciwszy na plecy czarną grzywę włosów, spojrzał w oczy mówiącego. Poitaińczyk zadrżał i zbladł jak ściana.

— Święci w niebiesiech! — wyszeptał. — To król! Żywy! Pozostali wytrzeszczyli oczy, a potem wydali przeraźliwy ryk zdumienia i radości. Stłoczyli się wokół Conana, wznosząc bojowe okrzyki i w najwyższym podnieceniu wywijając tnie czarni. Uciecha poitaińskich wojowników mogła przerazić człowieka słabszego duchem.

— Och, Trocero popłacze się z radości, kiedy cię ujrzy panie! — zawołał jeden z rycerzy.

— Tak, i Prospero też! — krzyczał inny. — Generał ostatnio popadł w melancholię: dzień i noc przeklina samego siebie za to, że nie dotarł nad Valkię na czas, by zgiąć u boku swego króla!

— Teraz odbijemy królestwo! — wrzeszczał inny, kręcąc nad głową młyńca swym

ogromnym mieczem. — Niech żyje Conan, król Poitain!

Brzęk stali i gromowe wiwaty spłoszyły ptactwo, które różnokolorową chmurą uniosło się z okolicznych drzew. Zawrzała gorąca południowa krew Poitainczyków, którzy pragnęli teraz tylko tego, by odnaleziony władca poprowadził ich do boju i po łupy.

— Co rozkażesz, panie? — wołali. — Jeden z nas popędzi naprzód i rozgłosi wieść o twym przybyciu! Sztandary załopoczą nad wszystkimi wieżami, róże jak dywan zaścielą drogę przed kopytami waszych koni, a wszystkie piękności i całe rycerstwo południa oddadzą należną ci cześć...

Conan potrząsnął głową.

— Któż mógłby wątpić w waszą lojalność? Jednak ponad tymi górami wieją wiatry ku krajom moich nieprzyjaciół a wołałbym, żeby ci nie wiedzieli o moim powrocie —

przynajmniej na razie. Prowadźcie mnie do Trocera i zachowajcie moją tożsamość w tajemnicy.

I tak przejazd, który rycerze chcieli zamienić w triumfalni pochód, bardziej przypominał

potajemną ucieczkę. Jechali zwawo, z nikim nie rozmawiając, szepcząc tylko parę słów kapitanom dowodzącym kolejnymi posterunkami na przełęczach; Conan jechał z opuszczoną przyłbicą.

Góry były bezludne — zamieszkiwali je tylko banici i żołnierze z garnizonów strzegących przełęczy. Rozmiłowani w uciechach Poitainczycy nie mieli potrzeby ani ochoty wyciskać skromnego kawałka chleba z tej jałowej ziemi. Na południe od łańcucha gór żyzne i piękne równiny Poitain rozpościerały się aż po rzekę Alimane, a za nią leżały ziemie Zingary.

Nawet teraz, gdy za górami zima ścinała liście, wysokie i bujne trawy falowały na pastwiskach, gdzie pasły się konie i bydło, z których słyneło Poitain. Palmy i drzewa pomarańczowe śmiały się do słońca, zaś cudne szkarłatno-złociste wieże zamków i miast odbijały jego złote promienie. Była to kraina ciepła i dostatku, pięknych kobiet i zawziętych wojowników. Nie tylko surowe ziemie rodzą twarde lud. Poitain otaczali zawistni sąsiedzi, a jego synów hartowały nieustanne wojny. Na północy kraju strzegły góry, lecz od południa tylko Alimane oddzielała równiny Poitain od równin Zingary i nie raz, lecz tysiąc razy jej wody spływały krwią. Na wschodzie leżało Argos, a za nim Ophir, królestwa dumne i chciwe.

Rycerze Poitain dzierżyli swe włóści siłą i ostrzami swych mieczy, niewiele zaznając spokoju czy bezczynności.

W końcu Conan dotarł do zamku księcia Trocera...

Conan siedział na jedwabnej sofie w bogato umeblowanej komnacie. Łagodny wietrzyk poruszał przezroczytymi zasłonami, a Trocero — nie wyglądający na swe lata, energiczny mężczyzna o zwinnych ruchach, niewieściej talii i barach rycerza — krążył po pokoju jak pantera w klatce.

— Pozwól ogłosić cię królem Poitain! — nalegał. — Niech te świny z północy noszą jarzmo, jakie pozwoliły sobie nałożyć. Południe nadal jest twoje. Mieszkaj tu i rządz nami wśród kwiatów i palm.

Lecz Conan potrząsnął głową.

— Nie ma na ziemi szlachetniejszej krainy niż Poitain. Jednak choć dzielnych ma ona synów, nie obroni się sama.

— Broniliśmy się samotnie od wielu pokoleń — odparł Trocero z typową dla swego narodu dumą.
— Nie zawsze byliśmy częścią Akwilonii.

— Wiem. Jednak teraz mamy inną sytuację niż wówczas, gdy wszystkie królestwa były podzielone na zwaśnione ze sobą dzielnice. Minęły dni księstw i wolnych miast; nadszedł czas imperiów. Władcy śnią o potędze i tylko w jednośi siła.

— Zatem przyłączmy Zingarę do Poitain — spierał się Trocero. — Pół tuzina książąt wzięło się tam za łby i kraj rozdziera wojna domowa. Podbijemy go, prowincja po prowincji, i dołączymy eto twoich dominiów. Potem z pomocą Zingarańczyków podbijemy Argos i Ophir. Stworzymy imperium...

Conan ponownie potrząsnął głową.

— Niechaj inni śnią o imperiach. Ja chciałbym tylko utrzymać to, co moje. Nie chcę rządzić państwem spojonym ogniem i żelazem. Co innego zdobyć tron z pomocą poddanych i władać nimi za ich zgodą, a co innego podbić obce państwo i rządzić strachem. Nie chcę być następnym Valerusem. Nie, Trocero, albo będę królem całej Akwilonii i tylko jej, albo wcale nie będę.

— Zatem poprowadź nas przez góry na Nemedyczyków.

W dzikich oczach Conana zapaliło się uznanie.

— Nie, Trocero. Byłaby to daremna ofiara. Powiedziałem ci, co muszę zrobić, żeby odzyskać królestwo. Muszę znaleźć Serce Arymana.

— Przecież to szaleństwo! — protestował Trocero. — Banialuki heretyckiego kapłana, brednie szalonej wiedźmy.

— Nie byłeś w moim namiocie nad Valkią — odparł ponuro Conan, mimowolnie zerkając na prawy nadgarstek, na którym nadal widniały sińce. — Nie widziałeś, jak runęły urwiska, miażdżąc kwiat mojej armii. Nie, Trocero, zostałem przekonany. Xaltotun nie jest zwykłym śmiertelnikiem i jedynie z pomocą Serca Arymana mogę mu stawić czoła. Dlatego pojedę do Kordawy sam.

— Ależ to niebezpieczne — sprzeciwiał się książę.

— Całe życie jest niebezpieczne — mruknął król. — Nie pojedę jako król Akwilonii ani nawet jako poitaiński rycerz, lecz jako wędrowny najemnik, jak za dawnych czasów. Och, na południe od Alimane mam dość wrogów, zarówno na lądzie, jak i na morzu. Wielu z tych, którzy nie znają mnie jako króla Akwilonii, pamięta mnie jako Conana, barachańskiego pirata, albo Amrę, wodza czarnych korsarzy. Jednak mam tam też przyjaciół i ludzi, którzy pomogą mi ze swoich, osobistych powodów.

Na myśl o tym na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Trocero bezradnie opuścił ręce i zerknął na Albionę, która siedziała na pobliskiej sofie.

— Rozumiem twoje wątpliwości, panie — rzekła. — Jednak ja również widziałam tę monetę w świątyni Asury i zważ, co powiem: Hadrathus mówił, iż wybito ją pięćset lat przed upadkiem Acheronu. Jeśli więc Xaltotun jest człowiekiem przedstawionym na awersie, jak zaklina się Jego Wysokość, to nie mógł być zwykłym czarnoksiężnikiem, nawet w swym poprzednim życiu, bowiem jego życie mierzono stuleciami, a nie latami, jak żywot normalnego człowieka.

Zanim Trocero zdołał odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i ktoś zawołał:

— Panie mój, pochwyciliśmy jakiegoś człowieka skradającego się do zamku. Powiada, że chce rozmawiać z twoim gościem. Czekam na rozkazy.

— Szpieg z Akwilonii! — syknął Trocero, chwytając za sztylet, ale Conan podniósł głos i zawołał: — Otwórzcie drzwi, niech go zobaczę!

Otwarto drzwi i stanął w nich szczupły mężczyzna przytrzymywany przez dwóch krzepkich zbrojnych. Był odziany w czarny płaszcz z kapturem.

— Jesteś wyznawcą Asury? — spytał Conan.

Tamten skinął głową i rośli strażnicy spojrzeli nań ze zdumieniem, po czym niepewnie zerknęli na Trocera.

— Nadeszła wieść z południa — rzekł mężczyzna. — Za Alimane nie możemy ci pomóc, gdyż wpływy naszej sekty nie sięgają na południe, lecz na wschód, wzdłuż Khorotasu. Jednak dowiedziałem się jednego: złodziej, który wziął Serce Arymana od Tarascusa, nigdy nie dotarł do Kordawy. W górach Poitain został zabity przez rabusiów. Klejnot wpadł w ręce ich herszta, który — nie znając jego właściwości i ścigany przez poitainskich rycerzy po rozbiciu jego szajki — sprzedał go kothijskiemu kupcowi Zorathusowi.

— Hal! — Conan zerwał się na równe nogi. — A ten Zorathus?

— Wraz z małą grupką uzbrojonych sług cztery dni temu przekroczył Alimane, kierując się ku Argos.

— Jest głupcem, skoro w taki czas włóczy się po Zingarze — rzekł Trocero.

— A tak, za rzeką jest niespokojnie. Jednak Zorathus to człowiek odważny, a nawet na swój sposób zuchwały. Bardzo się spieszy, by dotrzeć do Messantii, gdzie ma nadzieję znaleźć kupca na kamień. Może chce sprzedać go w Stygii. Może odgadł prawdziwy charakter klejnotu. W każdym razie zamiast podążać długim szlakiem wijącym się wzdłuż granicy z Poitain, aby w końcu dotrzeć do Argos w miejscu, skąd daleko do Messantii, ruszył prosto przez wschodnią Zingarę, krótszą i prostszą drogą.

Conan rąbnął pięścią w stół, aż wielki mebel zatrzeszczał.

— A więc fortuna w końcu uśmiechnęła się do mnie! Trocero, konia i ryszunek Wolnych
Towarzyszy! Zorathus znacznie mnie wyprzedza, jednak nie tak, abym go nie dogonił —
nawet gdybym miał za nim gnać na kraj świata!

XII

KIEŁ SMOKA

O świcie Conan przejechał konno bród na Alimane i dotarł do szerokiego kupieckiego traktu biegnącego na południowy wschód, zostawiając na drugim brzegu Trocera, który w milczeniu siedział na swym rumaku na czele zakutych w stal rycerzy pod szkarłatnym lampartem Poitain łopoczącym, na porannym wietrze. Ciemnowłosi wojownicy odziani w lśniącą stal stali w milczeniu, aż sylwetka ich króla zniknęła w błękitnej dali jaśniejącej brzaskiem.

Conan jechał na wielkim, czarnym ogierze, którego darował mu Trocero. Już nie nosił

akwilońskiej zbroi. Rynsztunek czynił go jednym z Wolnych Towarzyszy, którzy wywodzili się ze wszystkich możliwych nacji. Na głowie miał zwykły hełm bez przyłbicy, pogięty i porysowany. Skórzane troki i ogniwa jego kolczugi były wyswiechtane i wytarte jakby po wielu odbytych kampaniach, a niedbale zarzucony na ramiona purpurowy płaszcz był podarty i poplamiony. Wyglądał teraz jak najemny żołdak, który zaznał wszelkich kolei losu — łupy i bogactwa jednego dnia, pusta sakiewka i zaciskanie pasa drugiego.

Co więcej, nie tylko wyglądał, ale i czuł się tak; budzące się dawne wspomnienia, pamięć dzikich, szalonych, wspaniałych dni, zanim wstąpił na królewski tron, kiedy jako wędrowny najemnik włóczył się, pił, szukając bitki i wypitki, i nie marzył o niczym oprócz pianistego piwa, czerwonych warg i ostrego miecza, jakim mógłby machać na polach wszystkich bitew świata.

Nieświadomie wrócił do dawnych nawyków; inaczej się teraz nosił, inaczej siedział w siodle, na wpół zapomniane przekleństwa same napływały mu do ust, a jadąc nucił stare piosenki, które niegdyś ryczał w chórze z zuchwałymi kompanami w wielu tawernach i na wielu piaszczystych drogach lub bitewnych polach.

Jechał przez niespokojny kraj. Nigdzie nie było widać oddziałów jazdy, która zazwyczaj patrolowała brzeg rzeki, wypatrując poitaińskiego najazdu. Wewnętrzne właśnie zostawiły granicę bez straży. Długa, biała droga jak okiem sięgnąć była pusta. Nie ciągnęły nią obładowane karawany wielbłądów ani turkoczące wozy czy porykujące stada; tylko sporadycznie pojawiały się grupki jeźdźców odzianych w skórę i stal, mężczyzn o orlich rysach i twardych oczach, którzy trzymali się razem i jechali ostrożnie. Omiatali oni Conana badawczym spojrzeniem, ale nie zatrzymywali się, bowiem rynsztunek samotnego jeźdźca nie obiecywał łupu, lecz tylko tęgie razy.

Wioski zostały opuszczone lub legły w zgliszczach, pola i łąki leżały odłogiem. Tylko najodważniejsi śmieli zapuszczać się teraz w te strony, zaś miejscową ludność

zdziesiątkowały wojny domowe i najazdy zza rzeki. W spokojniejszych czasach ten trakt roił

się od kupców zdążających z Poitain do Messantii w Argos lub z powrotem. Obecnie jednak uważali oni za rozsądniejsze podróżować drogą wiodącą przez Poitain na wschód, a potem skręcającą na południe, przez Argos. Była dłuższa, lecz bezpieczniejsza. Tylko niezwykle zuchwały człowiek ryzykowałby życie i towary na drodze prowadzącej przez Zingarę.

Nocami na południowym horyzoncie wykwiwały łuny pożarów, a w dzień słupy dymów wzbijały się w niebo; w miastach i na równinach południa ginęli ludzie, chwiały się trony, a zamki stawały w płomieniach. Conan czuł pokusę dawnego zawodowego żołdaka, by

zawrócić konia, runąć w wir walki, płądrować i grabić jak za dawnych czasów. Dlaczego ma się trudzić, aby odzyskać władzę nad ludem, który już o nim zapomniał? Czemu gonić za uludą, szukać korony, która przepadła na zawsze? Dlaczego nie miałby poszukać

zapomnienia, zagubić się w czerwonych falach wojny i przemocy, które tak często pochłaniały go w przeszłości? Czyż istotnie nie mógłby wywalczyć sobie innego królestwa?

Świat wkraczał w epokę żelaza, wojny i imperialnych ambicji; silny człowiek mógłby bez trudu stanąć na gruzach państw jako ostateczny zwycięzca. Czemu nie miałby nim zostać właśnie on? Tak podszeptował mu stary znajomy — diabeł, a zjawy z czasów bezprawia i przelewu krwi otaczały go zwartym kręgiem. Jednak nie zawrócił; jechał dalej, dążąc do celu, stojącego się z każdą milą bardziej mglistym, aż chwilami zdawało się Conanowi, że ściga sen, którego nigdy nie miał.

Popędzał czarnego ogiera najmocniej, jak mógł, lecz biała droga przed nim wciąż była pusta

— aż po horyzont. Zorathus miał sporą przewagę, ale Cymeryjczyk jechał dalej, wiedząc, że podróżuje znacznie szybciej niż obciążony bagażem kupiec. I tak dotarł do zamku księcia Valbroso, przycupniętego jak sępie gniazdo na nagiej skale wznoszącej się nad drogą.

Valbroso zjechał na dół ze swymi zbrojnymi; chudy, śniadoliczy mężczyzna o błyszczących oczach i haczykowatym nosie, odziany w czarną zbroję. Otaczała go świta trzydziestu oszczepników: wąsatych sokołów pogranicznych wojen, równie chciwych i bezwzględnych jak on sam. Ostatnio z kupieckich karawan zbierano nader skromne myto i Valbroso przeklinał wojny domowe, które wstrzymały wszelki ruch na drogach, choć jednocześnie błogosławił je za swobodę, jaką dały mu w poczynaniach wobec sąsiadów.

Nie spodziewał się wiele po samotnym jeźdźcu, którego dostrzegł z wieży, ale liczył się każdy grosz. Wprawnym spojrzeniem oszacował wytartą zbroję oraz śniadą, poznaczoną bliznami twarz i doszedł do tego samego wniosku co ci, którzy mijali Conana na drodze —

pusta sakiewka i ostry miecz.

— Kim jesteś, łobuzie? — spytał.

— Najemnikiem w drodze do Argos — odparł Conan. — — Na cóż komu imiona?

— Jak na Wolnego Towarzysza wybrałeś zły kierunek — burknął Valbroso. — Na południu nie brak ni wojaczki, ni łupów. Przyłącz się do mnie. Nie zaznasz głodu. Wprawdzie na drodze nie ma bogatych kupców do oskubania, ale zamierzam wziąć moich zbójów i udać się na południe, żeby wynająć nasze miecze tej stronie, która wyda się najsilniejsza.

Conan nie odpowiedział od razu, wiedząc, że jeśli stanowczo odmówi, może zostać natychmiast zaatakowany przez zbrojnych Valbroso. Jednak zanim zdążył podjąć decyzję, Zingarańczyk ponownie

przemówił:

— Wy, szelmy, Wolni Towarzysze, zawsze znaliście różne sztuczki, zmuszające człowieka do gadania. Mam więźnia. To ostatni kupiec, jakiego złapałem i — na Mitrę! — jedyny, którego widziałem od tygodnia, ale drań jest uparty. Ma żelazną szkatułę, której sekretu nie zdołaliśmy zgłębić, a nie mogę go nakłonić, żeby ją otworzył. Na Isztar, sądziłem, że znam wszystkie możliwe sposoby perswazji, ale może ty, weteran Wolnych Towarzyszy, wiesz o takich, jakich nie poznałem. Tak czy siak, jedź ze mną i zobacz, co da się zrobić.

Słowa Valbroso sprawiły, że Conan zdecydował się. To miało wiele wspólnego z

Zorathusem. Barbarzyńca nie znał kupca, ale człowiek dostatecznie uparty, by teraz próbować przejechać zingarańskim szlakiem, prawdopodobnie był na tyle twardy, by nie ugiąć się podczas tortur.

Stanął u boku Valbroso, po czym ruszyli krętą drogą wiodącą na szczyt skały, na której stało zamczysko. Jako zwykły żołnierz powinien jechać za księciem, ale przyzwyczajenie uczyniło go nieostrożnym, a Valbroso nie zwrócił na to uwagi. Lata życia na pograniczu nauczyły księcia, że panują tu inne zwyczaje niż na królewskim dworze. Znał niezależność najemników, których miecze niejednemu królowi wyrębały drogę do tronu.

Zamek otaczała wyschnięta fosa, w kilku miejscach do połowy zasypana śmieciem. Z

łomotem kopyt przejechali przez zwodzony most i pod łukowym sklepieniem bramy. Za nimi z ponurym szczękiem opadła krata. Znaleźli się na pustym dziedzińcu porośniętym kępami trawy, ze studnią na środku.

Pod murami stały nędzne baraki żołnierzy, z których wyglądały niechlujne lub krzykliwie wystrojone kobiety. Pod arkadami wojacy w zardzewiałych zbrojach grali w kości na kamiennych płytach. Całość sprawiała bardziej wrażenie zbójeckiej siedziby niż zamku szlachcica.

Valbroso zsiadł z konia i gestem nakazał Conanowi iść za sobą. Przeszli przez drzwi, a potem niskim korytarzem, gdzie napotkali schodzącego po kamiennych stopniach odzianego w kolczugę mężczyznę o twarzy oznaczonej bliznami i srogim wejrzeniu — najwidoczniej kapitana straży. — I co, Beloso? — spytał księżę. — Powiedział coś?

— Jest uparty — mruknął Beloso, obrzucając Cymeryjczyka podejrzliwym spojrzeniem.

Valbroso wypluł przekleństwo i pognął wściekle po krętych schodach, a za nim Conan i kapitan straży. W miarę jak wchodzili wyżej, coraz wyraźniej słyszeli jęki śmiertelnie udręczonego człowieka. Sala tortur Valbroso mieściła się wysoko w wieży, a nie w lochu pod zamkiem. W tej komnacie, gdzie przykucnął wychudły, kudłaty ludzki potwór w skórzanych bryczesach, żarłocznie ogryzający wołową kość, znajdowały się narzędzia do zadawania tortur — koła, żelazne buty, haki i wszelkie inne urządzenia wymyślane przez ludzki umysł

do rwania ciała, łamania kości, naciągania i zrywania ścięgien oraz żył.

Na kole wisiał rozpięty nagi mężczyzna i jeden rzut oka wystarczył Conanowi, by stwierdzić, że nieznamy kona. Nienaturalne wydłużenie ciała i kończyn świadczyło o powyrywanych stawach i niezliczonych obrażeniach. Torturowany miał śniadą cerę, inteligentne, wyraziste rysy oraz żywe, czarne oczy, teraz zaszkłone i przekrwione z bólu. Pot wystąpił mu na czoło, a ściągnięte wargi ukazywały poczerwiałe dziąsła.

— Oto szkatułka — Valbroso ze złością kopnął małą, lecz ciężką żelazną skrzynkę, stojącą w pobliżu na podłodze. Była kunsztownie rzeźbiona w dziwnie splecione ze sobą czaszki i wijące się smoki, lecz Conan nigdzie nie dostrzegł zasuwki czy zatrzasku, który mógłby służyć do otwierania wieka. Plamy sadzy, szczyrby od topora i ślady dłuta pozostały na niej jako płytkie rysy.

— To skarbczyk tego psa — rzekł gniewnie Valbroso. — Wszyscy mieszkańcy południa znają Zorathusa i jego żelazną skrzynkę. Jeden Mitra wie, co w niej jest. Ten łotr nie chce wyjawiać sekretu.

Zorathus! A więc to prawda; człowiek, którego szukał, był tu przed nim. Serce łomotało Conanowi w piersi, gdy nachylił się nad udręczoną ofiarą, ale niczym nie zdradził

miotających nim uczuć.

— Poluzuj te sznury, łotrze! — rzekł krótko do kata.

Valbroso i jego kapitan popatrzyli ze zdumieniem. Zapomniawszy się na moment, Conan użył tak władczego tonu, że oprawca w — skórzanym stroju odruchowo usłuchał rzuconego ostrym tonem rozkazu. Stopniowo luzował liny, gdyż inaczej ich zwolnienie spowodowałoby ból równie silny, jak przedtem naciąganie.

Conan chwycił stojący w pobliżu dzban wina i przytknął go do warg nieszczęśnika.

Zorathus przełknął spazmatycznie, tak że trunek pociekł mu po ciężko unoszącej się piersi.

W nabiegłych krwią oczach pojawił się błysk rozpoznania i pokryte krwawą pianą wargi rozchyliły się. Wydobył się z nich ochryple szept w kothyjskiej mowie:

— A więc to śmierć? Czy to już koniec tej długiej męki? Albowiem oto widzę króla Conana, który zginął nad Valkią. A zatem jestem w krainie zmarłych.

— Nie jesteś martwy — rzekł Conan — ale umierasz. Już nie będziesz torturowany.

Dopilnuję tego. Ale nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Nim umrzesz, powiedz mi zatem, jak otworzyć twoją czarną szkatułę!

— Moja żelazna szkatułka — mamrotał Zorathus urywanymi zdaniami jak w malignie. —

Kufer wykuty w piekielnym ogniu płonących gór Koroshy z metalu, którego nie przetnie żadne dłuto. Ileż dźwigał skarbów jak świat długi i szeroki! Lecz nigdy takiego, jaki teraz w nim spoczywa.

— Powiedz, jak go otworzyć — nalegał Conan. — Tobie na nic już się nie przyda, a mnie może

pomóc.

— Tak, ty jesteś Conan — mamrotał Kothijczyk. — Widziałem cię siedzącego na tronie w wielkiej sali audiencyjnej w Tarantii, z koroną na głowie i berłem w ręce. Ale ty przecież nie żyjesz; zginąłeś nad Valkią. Stąd wiem, że mój koniec jest bliski.

— Co gada ten pies? — dopytywał się Valbroso, który nie znał kothijskiego. — Czy powie nam, jak otworzyć skrzynkę?

Jego głos jakby tchnął iskrę życia w pierś zmaltretowanego kupca, gdyż Zoranthus skierował przekrwione oczy na pytającego.

— Powiem tylko księciu Valbroso — wyszeptał po zingarańsku. — Śmierć nade mną.

Nachyl się bliżej, Valbroso!

Księżę usłuchał; na jego śniadej twarzy malowała się chciwość. Groźny dowódca straży Beloso również przysunął się bliżej.

— Naciśnij siedem czaszek na krawędzi, jedną po drugiej — dyszał Zorathus. — Potem naduś głowę smoka wijącego się na wieku. A później kulę, którą trzyma w szponach. W ten sposób otworzysz sekretny zamek.

— Szybko, dajcie skrzynkę! — zawołał Valbroso, klnąc plugawie.

Conan podniósł ją i postawił na podium, a Valbroso odepchnął go ramieniem na bok.

— Dajcie mi otworzyć! — krzyknął Beloso, postępując krok naprzód.

Valbroso powstrzymał go potokiem przekleństw; oczy płonęły mu chciwością.

— Nikt prócz mnie jej nie otworzy! — wrzasnął. Conan, którego dłoń odruchowo spoczęła na rękojeści miecza, zerknął na Zorathusa. Oczy kupca były szkliste i przekrwione, ale w napięciu wpatrywały się w Valbroso; i czyżby na twarzy umierającego pojawił się cień posępnego uśmiechu? Zorathus nie zdradził swego sekretu, dopóki nie przekonał się, że umiera. Conan obserwował Valbroso z uwagą dorównującą konającemu.

Wzdłuż krawędzi wieka skrzynki wyrzeźbiono siedem czaszek zaplątanych w gałęzie dziwnych drzew; na środku w gąszczu arabesk wił się inkrustowany smok. Valbroso w pośpiechu przyciskał czaszki i dotknął kciukiem rzeźbionego smoczego łba, po czym zaklął

cicho i poderwał dłoń w górę, potrząsając nią ze złością.

— Jakiś zadziór — warknął. — Ukłułem się w palec.

Nacisnął złotą kulę w pazurach smoka i wieko nagle odskoczyło. Żłocisty płomień oślepił

obecnych. Oszołomionym widzom zdało się, że rzeźbioną skrzynkę wypełniał ogień, który teraz przelał się przez jej brzegi i kapał na posadzkę drżącymi iskierkami. Beloso krzyknął, a Valbroso głośno wciągnął powietrze. Conan stał bez słowa, niezdolny zebrać myśli.

— O Mitro, cóż za klejnot! — ręka księcia zanurzyła się w szkatułce i wyłoniła z wielką, szkarłatnie pulsującą kulą, która napelniła izbę łagodną poświatą. W jej blasku Valbroso wyglądał jak trup. Konający na łożu tortur człowiek nagle wybuchnął donośnym śmiechem.

— Głupcze! — wrzasnął. — Kamień jest twój! Daję ci go wraz ze śmiercią! To skaleczenie na kciuku... Spójrz na głowę smoka, Valbroso.

Wszyscy trzej odwrócili się, wytrzeszczając oczy. Z rozdziawionego pyska smoka sterczało coś małego i błyszczącego.

— To kiel smoka! — wrzasnął Zorathus. — Umoczony w jadzie czarnego stygijskiego skorpiona! Głupiec, głupiec! Otwierać Zorathusowy skarbczyk gołymi rękami. Śmierć! Jesteś już martwy!

Krwawa piana wystąpiła mu na usta i skonał.

Valbroso zatoczył się z krzykiem.

— Mitrom płonę! — wrzasnął. — Mam ogień w żyłach! Moje stawy się rozrywają! Śmierć!

Śmierć!

Zachwiał się i runął jak długi. Przez chwilę wstrząsały nim straszliwe konwulsje, które ohydnie zdeformowały mu kończyny, po czym zastygł w tej nienaturalnej pozycji ze szklistymi oczyma postawionymi w słup i ściągniętymi wargami ukazującymi poczerniałe dziąsła.

— Trup! — mruknął Conan, schylając się po klejnot, który wypadł ze sztywniejącej dłoni Valbroso i potoczył się po podłodze. Kamień leżał tam jak drgająca kałuża słonecznego blasku.

— Trup! — mruknął Beloso z szaleństwem w oczach. A potem ruszył.

Conan dał się zaskoczyć, oślepiony blaskiem ogromnego klejnotu i oszołomiony jego bliskością. Nie zdawał sobie sprawy z zamiarów Beloso, dopóki coś nie rąbnęło z potworną siłą w jego hełm. Na czerwoną poświatę klejnotu prysnęły czerwiejsze krople i Cymeryjczyk osunął się na kolana.

Usłyszał tupot nóg i głuchy ryk bólu. Ogłuszony, lecz nie pozbawiony przytomności pojął, iż to Beloso złapał żelazną szkatułkę i rąbnął go nią w głowę. Tylko stalowy hełm ocalił jego czaszkę. Król zachwiał się, usiłując otrząsnąć się z zamroczenia. Komnata kołysała się w spowijającej oczy mgle. Jednak drzwi stały otworem, a ze schodów dobiegał odgłos szybko cichnących kroków. Na posadzce leżał kudłaty kat, z którego życie uchodziło ogromną raną w piersi. A Serce Arymana zniknęło.

Conan wytoczył się z izby z mieczem w dłoni i twarzą zalaną krwią, która spływała spod żelaznego hełmu. Chwiejnie zbiegł po schodach, słysząc na dziedzińcu szczęk stali, wrzaski, a wreszcie łomot

podków. Wypadłszy na podwórze, ujrzał bezładnie biegających zbrojnych i piszczące kobiety. Boczna brama była otwarta, a strzegący jej wartownik leżał na swej pice z rozłupaną głową. Wciąż osiodłane konie, a wśród nich czarny ogier Conana, biegały po dziedzińcu, rżąc przeraźliwie.

— On oszalał! — zawodziła jakaś kobieta, załamując ręce i biegając w kółko. — Wybiegł z zamku jak szalony, siekąc na prawo i lewo! Beloso oszalał! Gdzie księżę Valbroso!

— Którędy pojechał? — ryknął Conan.

Wszyscy obrócili się ku niemu, patrząc na okrwawiony i obnażony miecz nieznanego.

— Tą bramą! — wrzasnęła piskliwie kobieta, a inny głos zapytał:

— Co to za jeden?

— Beloso zabił księcia! — odkrzyknął Conan, jednym susem dopadając swego rumaka i łapiąc go za grzywę, podczas gdy żołnierze podchodzili doń niepewnie. Dziki zgiełk powitał

tę odpowiedź, lecz reakcja zbrojnych była dokładnie taka, jak przewidywał. Zamiast zamknąć bramę i go uwięzić albo ścigać umykającego zabójcę, żeby pomścić swego pana, wszczęli jeszcze większe zamieszanie. Jak wilki utrzymane w stadzie jedynie żelazną ręką Valbroso, nie byli wierni ani zamkowi, ani sobie nawzajem.

Na dziedzińcu rozległ się szczełk mieczów i kobiece piski. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył Conana, który przemknął przez otwartą bramę i pognał jak wicher w dół stoku.

Rozpościerała się przed nim rozległa dolina; za wzgórzem trakt rozwidlał się: jedno odgałęzienie bieгло na południe, drugie na wschód. I na tej wschodniej odnodze król dostrzegł

samotnego jeźdźca, nisko pochylonego i raz po raz bodącego konia ostrogami. Równina kołysała się Conanowi przed oczyma, a blask zachodzącego słońca zdawał się gęstą, czerwoną mgłą, gdy chwiejąc się w siodle, ścisnął rozwianą grzywę swego wierzchowca.

Krew spływała na jego kolczugę, lecz uparcie popędzał wierzchowca.

Z zamku na wzgórzu, gdzie ciało księcia leżało zapomniane obok zwłok jego więźnia, zaczął unosić się dym. Słońce chyliło się ku zachodowi, a dwie czarne sylwetki gnały na tle jaskrawoczerwonego nieba.

Ogier nie zdążył wypocząć, ale i koń Belosa nie był świeży. Jednak wielkie zwierzę Conana sprawowało się doskonale, sięgając do najgłębszych zasobów sił. Cymeryjczyk nie zaprzętał

sobie poturbowanej głowy pytaniem, dlaczego Zingarańczyk uciekał przed jednym

prześladowcą. Może Beloso wpadł w panikę, zrodzoną z szaleństwa drzemiącego w

błyszczącym klejnocie. Słońce zaszło; biała droga zmieniła się w bladą wstęgę niknącą w upiornym

półmroku, który roztopiał się w purpurowej poświacie.

Koń ciężko dyszał z wysiłku. W gęstniejącym mroku przeobrażał się krajobraz. Nagie równiny ustąpiły miejsca kępom dębów i olch. W oddali zarysowały się niskie pagórki. Na niebie zamrugały gwiazdy. Ogier zaczął prychać i potykać się. Opodal zaczynał się gęsty las, sięgający aż do wzgórz na horyzoncie, i na jego tle Conan dostrzegł sylwetkę uciekiniera.

Popędził wyczerpanego rumaka, dostrzegłszy, że metr po metrze dogania ofiarę. Z mroków nadleciał dziwny dźwięk, zagłuszając łomot końskich kopyt, lecz ani ścigający, ani ścigany nie zwrócili nań uwagi.

Wpadając pod nisko zwieszające się gałęzie, gnali niemal ramię w ramię. Conan z dzikim okrzykiem uniósł miecz do ciosu; dostrzegł zwrócony ku sobie blady owal twarzy i błysk ostrza w prawie niewidocznej ręce. Beloso odpowiedział okrzykiem — i nagle strudzony ogier potknął się w ciemności i z głuchym stęknieniem przewalił się przez łeb, wyrzucając oszołomionego jeźdźca z siodła. Obolała głowa barbarzyńcy uderzyła o kamień i

nieprzenikniony mrok zakrył wszystkie gwiazdy.

Conan nie miał pojęcia, jak długo leżał bez zmysłów. Gdy zaczął odzyskiwać świadomość, miał wrażenie, że coś ciągnie go za jedną rękę po nierównym, kamienistym gruncie przez gęste zarośla. Potem nagle zrzucano go z niewielkiej wysokości i być może ten wstrząs przywrócił mu przytomność.

Jego hełm zniknął, głowa potwornie go bolała, czuł silne mdłości, a czarne loki zlepiała zakrzepła krew. Jednak życie i świadomość wracały mu z szybkością właściwą mieszkańcom dziczy, tak że niebawem zaczął rozeznawać się w otoczeniu.

Ogromny, czerwony księżyc wзираł zza drzew, co świadczyło o tym, że jest już dobrze po północy. Musiał kilka godzin leżeć nieprzytomny, dochodząc do siebie po tym straszliwym ciosie, jaki zadał mu Beloso, oraz po upadku, który go ogłuszył. Teraz umysł miał jaśniejszy niż podczas szaleńczego pościgu za zbiegiem.

Gdy jego wzrok zaczął rejestrować szczegóły otoczenia, Conan z lekkim zdumieniem stwierdził, że nie leży przy białej drodze. Nigdzie nie dostrzegał tego traktu. Spoczywał na trawiastej polance otoczonej palisadą czarnych pni i splątanych gałęzi. Twarz i ręce miał

podrapane i pocięte, jakby wleczono go przez zarośla. Podniósł się nieco i rozejrzał wokół. I nagle gwałtownie drgnął — tuż obok coś siedziało...

W pierwszej chwili Conan zwątpił, czy jest przy zdrowych zmysłach, sądząc, iż to tylko urojenie. Przecież ta dziwna, nieruchoma, szara istota siedząca przy nim w kucki i patrząca nań szeroko otwartymi, obojętnymi oczami nie mogła być rzeczywista.

Leżał więc i spoglądał na nią, jakby oczekując, że stwór rozwieje się niczym senna mara, aż wreszcie zimny dreszcz zaczął pełznąć mu po krzyżu. Przypomnił sobie niemal zapomniane

opowieści o istotach zamieszkujących te bezludne puszcze u podnóża gór znaczących zingarańsko-argijską granicę. Ludzie nazywali je gulami, pożeraczami ludzkiego mięsa, pomiotem ciemności, dziećmi diabelskiego związku zaginionej i zapomnianej rasy z demonami podziemi. Gdzieś w tej pierwotnej puszczy są ruiny prastarego, przeklętego miasta

— szeptali ludzie — a tam, pośród grobowców skradają się szare, człekopodobne stwory...

Conan zadrżał.

Leżał i patrzył na majaczący nad nim bezkształtny łeb, ostrożnie sięgając dłonią po tkwiący u boku sztylet, gdy wtem; ze straszliwym wrzaskiem, mimowolnie powtórzonym przez: człowieka, potwór rzucił się do jego gardła. Conan zasłonił się prawą ręką, lecz psie szczęki zamknęły się na niej, wbijając ogniwa kolczugi w twarde mięśnie. Nieforemne, lecz podobne do ludzkich łapska wyciągnęły się ku jego szyi, jednak Cymeryjczyk wywinął im się potężnym szarpnięciem i przetoczywszy się po ziemi, lewą ręką wyrwał sztylet.

Kotłowali się tam i z powrotem po murawie, tłukąc się i szarpiąc. Mięśnie prężące się pod szarą sierścią stwora były sprężyste, twarde jak stalowe druty i znacznie mocniejsze od ludzkich. Jednak mięśnie Conana również były jak z żelaza, a stalowa kolczuga dostatecznie długo broniła go przed kłami i pazurami przeciwnika, by zdołał pchnąć sztyletem — raz, drugi, i trzeci... Straszliwa żywotność człekopodobnego potwora zdawała się niewyczerpana, a dotknięcie jego oślizgłego, zimnego ciała budziło dreszcze. Król zadawał kolejne pchnięcia, wkładając w nie całą swą nienawiść i nieopisaną odrazę, aż wreszcie, gdy ostrze sięgnęło serca, stwór zadygotał konwulsyjnie i zastygł.

Conan podniósł się, wstrząsany mdłościami. Ze sztyletem w dłoni stał niepewnie na środku polanki. Nie postradał swego instynktownego wyczucia stron świata, ale nie wiedział, w którym kierunku szukać drogi. Nie miał przecież pojęcia, gdzie zaciągnął go gul. Patrząc na ciche, ciemne, skąpane w blasku księżyca sylwetki otaczających go drzew, oblał się i zimnym potem. Nie miał ani konia, ani pojęcia, jak wydostać się z tej przeklętej puszczy, a nieforemna, wylupiastooka bestia u jego stóp była niemym świadectwem czyhających tu na niego okropności. Stał, niemal wstrzymując oddech i nadstawiając uszu, by złowić choćby trzask gałązki czy szelest traw.

W końcu coś usłyszał i drgnął gwałtownie. Nagle ciszę nocy rozdarło przeraźliwe rzenie przerażonego konia. Jego ogier! W puszczy czaiły się pantery — a może gule pożerały nie tylko ludzi, ale i zwierzęta.

Wściekle przedzierał się przez zarośla w kierunku, z którego dobiegał dźwięk, gwizdząc donośnie, w przypiływie furii zapomniawszy o strachu. Jeśli zagryzą mu konia, przepadnie ostatnia szansa dogonienia Belosa i odzyskania klejnotu. Koń ponownie zarżał z lękiem i wściekłością, tym razem bliżej. Słysząc było, jak wierzga i z głuchym łomotem trafia w coś kopytami.

Nieoczekiwanie Conan wydostał się na biały trakt i w świetle księżyca ujrzał ogiera, który wierzgał i stawał dęba, położywszy uszy po sobie, błyskając zębiskami i białkami oczu. Koń opędzał się przed szarym cieniem, który zręcznie unikał ciosów kopyt. Nagle wokół Conana poruszyły się inne cienie: szare, zwinne sylwetki zbliżające się ze wszystkich stron. Ohydna trupia woń skaziła nocne

powietrze.

Jakiś błysk wśród zeschniętych liści ściółki zwrócił uwagę Conana. Był to jego miecz, który leżał w miejscu, gdzie go upuścił, spadając z konia, i odbijający srebrzysty blask księżyca.

Klnąc król złapał oręż i zaczął siec na prawo i lewo. W świetle księżyca lśniły ociekające śliną kły, wyciągały się doń ogromne łapska, lecz Cymeryjczyk wyrąbał sobie drogę do konia, złapał wodze i jednym skokiem znalazł się w siodle. Miecz unosił się i opadał

lodowatym łukiem w bryzgach posoki z rozplątanych łbów i nieforemnych cielsk.

Wierzchowiec stawał dęba, gryząc i kopiąc. Przedarli się i pomknęli drogą. Przez chwilę szare, paskudne cienie ścigały ich, gnając po obu stronach traktu. Jednak wnet zostały w tyle, a Conan, który wyjechał na szczyt zalesionego pagórka, ujrzał przed sobą bezmiar nagich stoków, pnących się w górę i niknących w oddali.

XIII

DUCH Z PRZESZŁOŚCI

Tuż po wschodzie słońca Conan przekroczył argijską granicę. Nigdzie nie dostrzegł śladu Belosa. Albo kapitanowi udało się umknąć, gdy król leżał bez zmysłów, albo też padł ofiarą okropnych ludożerców z zingarańskiej puszczy. Jednak Conan nie znalazł śladów

potwierdzających tę drugą możliwość. Fakt, że tak długo leżał nie niepokojony przez potwory, wskazywał na to, iż były one w tym czasie zajęte bezowocnym pościgiem za kapitanem. Jeśli zaś zbieg nadal żył, to z pewnością jechał tą drogą przed Conanem. Nie ruszałby na wschód, gdyby nie zamierzał udać się do Argos.

Strażnicy graniczni nie nagabywali Cymeryjczyka. Samotnie wędrujący najemnik nie potrzebował glejtu ani listu żelaznego, szczególnie jeśli brak herbu na jego zbroi świadczył o tym, że nie pozostaje na niczyjej służbie. Tak więc jechał przez niskie, trawiaste pagórki, gdzie szemrały strumyki, a dębowe zagajniki rzucały na murawę plamy światła i cienia; długa droga wznosiła się na szczytach i opadała w doliny, niknąc w błękitnej dali. Stary, bardzo stary był ów trakt wiodący z Poitain ku morzu.

W Argos panował pokój; drogą turkotały wyładowane wozy, a ludzie o śniadych, nagich, żylastych ramionach trudzili się w sadach i na polach rozciągających się za przydrożnymi drzewami. Starcy przesiadujący na ławach przed karczmami, w cieniu dębów pozdrawiali wędrowca dobrym słowem.

Conan zasięgał języka o Belosie od ludzi pracujących na polach, od gadatliwych staruszków w gospodach, gdzie gasił pragnienie wielkimi bukłakami pianistego piwa, od bystrookich, odzianych w jedwab kupców napotykanym na drodze.

Wieści przeczyły sobie, ale dowiedział się przynajmniej tego, że chudy, żylasty Zingarańczyk o kosym spojrzeniu czarnych oczu i z wąsami, jakie noszą mieszkańcy Zachodu, znajdował się na szlaku gdzieś przed nim, najwidoczniej zmierzając do Messantii.

Wybór miejsca przeznaczenia wydawał się logiczny; w przeciwieństwie do prowincji leżących w głębi lądu wszystkie argijskie porty były kosmopolityczne, zaś Messantia była najbardziej wielonarodowym z nich. Do jej portu zawijały jednostki wszystkich morskich państw, tu też gromadzili się zbiegowie i wygnańcy ze wszystkich stron świata. Prawa tu panowały łagodne; Messantia żyła z morza, a jej obywatele wiedzieli, że w interesach z żeglarzami korzystnie jest przymknąć na nie oczy. W Messantii kwitł bowiem nie tylko legalny handel: również przemytnicy i bukanierzy mieli w nim swój udział. Conan dobrze o tym wiedział, bo czyż sam, w tych dawnych czasach, gdy należał do barachańskich piratów, nie zawijał nocami do portu w Messantii, aby wyładowywać cudze ładunki? Większość piratów z Wysp Barachańskich — małego archipelagu leżącego na południowy zachód od wybrzeży Zingary — wywodziła się spośród argijskich żeglarzy i dopóki skupiali oni swe zainteresowania na flotach innych państw, władze Argos nie kwapiły się do nazbyt ścisłego przestrzegania prawa morskiego.

Jednak Conan nie ograniczał się do okolic Wysp Barachańskich. Żeglował również z zingarańskimi

bukanierami, a nawet — co stawiało go poza nawiasem każdego prawa — z tymi dzikimi czarnymi korsarzami, którzy nadciągają z dalekiego południa, aby pustoszyć północne wybrzeże. Gdyby rozpoznano go w którymkolwiek porcie Argos, kosztowałoby go to głowę. Jednak bez wahania jechał do Messantii, zatrzymując się tylko po to, żeby dać koniowi odpocząć i zdrzemnąć się chwilę.

Wjechał do miasta nie molestowany przez nikogo i wtopił się w nieustannie przepływający ulicami tłum. Messantii nie otaczały mury. To morze i okręty strzegły tego wielkiego, handlowego miasta południa.

Zapadał wieczór, gdy Conan jechał niespiesznie ulicami schodzącymi do portu. Na ich końcu widział nabrzeże, maszty i żagle statków. Po raz pierwszy od lat znów poczuł zapach słonej wody, usłyszał jęk olinowania i skrzypienie masztów na wietrze, który za przyładkami piętrzył białe czapy fal. I znów zatęsknił za dalekimi wędrówkami.

Jednak nie skierował się ku nabrzeżu. Skręcił w bok i wjechał na stromą kondygnację szerokich, wydeptanych, kamiennych stopni, a z nich na szeroką ulicę, gdzie okazałe białe rezydencje spoglądały z góry na wybrzeże i port. Tu mieszkali ludzie wzbogaceni na skąpych darach morza — paru byłych kapitanów, którym gdzieś na krańcach świata udało się znaleźć jakieś skarby, oraz wielu kupców i handlarzy, którzy nigdy nie postawili nogi na pokładzie ani nie znaleźli się w ogniu morskiej bitwy.

Conan skierował konia ku jednej ze złożonych furt i wjechał na podwórze, gdzie szemrała fontanna, a gołębie przelatywały z marmurowych zwieńczeń murów na marmurowe płyty dziedzińca. Paż w obszytym frędzlami, jedwabnym kubraku i trykotowych pończochach wyszedł mu naprzeciw. Kupcy z Messantii handlowali z wieloma dziwnymi i nieokrzesanymi ludźmi, lecz większość z nich była ludźmi morza. Najemnik wjeżdżający tak swobodnie na dziedziniec handlowego potentata stanowił z pewnością niezwykle zjawisko.

— Czy tu mieszka kupiec Publio?

Nieznajomy raczej stwierdził, niż zapytał, a coś w tonie jego głosu kazało paziowi zdjąć beret z piórem, skłonić się i odpowiedzieć:

— Tak jest, mój kapitanie.

Conan zsiadł z konia, a paż zawołał stajennego, który zaraz przybiegł i przejął uzdę rumaka.

— Pan w domu? — Conan zdjął rękawice i otrzepał nimi płaszcz i kolczugę z kurzu drogi.

— Tak, mój kapitanie. Kogo mam zapowiedzieć?

— Sam się zapowiem — mruknął Conan. — Znam drogę. Zostań tu.

Paż usłuchał stanowczego rozkazu i stał bez ruchu; spoglądając w ślad za Conanem, wchodzącym na niskie, marmurowe schody, zastanawiał się, co może łączyć jego pana z tym olbrzymim wojownikiem, który wyglądał na barbarzyńcę z północy.

Słudzy porzucili swe prace i z rozdziawionymi ustami patrzyli, jak Conan przechodzi przez rozległy,

chłodny balkon przewieszony nad dziedzińcem, po czym wkracza do szerokiego korytarza omiatanego morską bryzą. W połowie drogi usłyszał skrzypienie pióra i skręcił do obszernego pokoju z rzędem dużych okien wychodzących na port.

Publio siedział za rzeźbionym biurkiem z tekowego drewna, kreśląc coś złotym piórem na grubym pergaminie. Był niskim człowieczkiem o wielkiej głowie i rozbieganych, czarnych oczach. Miał na sobie błękitną togę z najdelikatniejszego jedwabiu obszytego złotogłowie i ciężki złoty łańcuch na grubej, białej szyi.

Gdy Cymeryjczyk wszedł, kupiec podniósł wzrok i niecierpliwie machnął ręką. Zamarł w połowie gestu. Rozdziawił usta; ujrzał ducha z przeszłości. W szeroko otwartych oczach malowało się niedowierzanie i strach.

— No cóż — rzekł Conan. — Czy nie przywitasz się ze mną, Publio?

Kupiec zwilżył wargi.

— Conan! — wyszeptał z niedowierzaniem. — Na Mitrę! Conan! Amra!

— A któżby? — Cymeryjczyk rozpiął płaszcz i rzucił go razem z rękawicami na biurko. —

I co, człowieku? — rzekł z irytacją. — Nie zamierzasz przynajmniej zaproponować mi dzbana wina? W gardle mi zaschło od pyłu drogi.

— A tak, wina! — powtórzył automatycznie Publio. Odruchowo wyciągnął rękę do gongu, lecz zaraz cofnął ją jak od rozżarzonego węgla i zadrżał.

Z iskrą ponurego rozbawienia w oczach Conan patrzył, jak kupiec wstaje i pospiesznie zamyka drzwi, najpierw rozejrzawszy się po korytarzu, aby upewnić się, że nie kręci się tam żaden niewolnik. Później wziął złoty dzban wina ze stojącego opodal stolika i już miał

napełnić smukły puchar, gdy Conan niecierpliwie wyrwał mu naczynie z ręki, uniósł je oburącz i zaczął pić łąpczywie.

— Tak, to Conan, istotnie — wymamrotał Publio. — Człowieku, czyś ty oszalał?

— Na Croma, Publio — rzekł Conan, odrywając dzban od ust, lecz nie wypuszczając go z rąk — mieszkasz teraz inaczej niż za dawnych czasów. Trzeba argijskiego kupca, żeby dorobić się fortuny na kramiku cuchnącym zepsutą rybą i tanim winem.

— Dawne czasy minęły — mruknął Publio z mimowolnym drżeniem, ciaśniej owijając się togą. — Odrzuciłem przeszłość jak znoszony płaszcz.

— Hmm — odparł Conan. — Mnie nie możesz odrzucić jak znoszony płaszcz. Niewiele od ciebie chcę, ale jednak czegoś. I nie możesz mi odmówić. Zbyt wiele łączyło nas w przeszłości. Czy uważasz mnie za głupca, który nie wie, że ta piękna rezydencja powstała z mego potu i krwi? Ile ładunków z moich galer przeszło przez twój kram?

— Wszyscy kupcy messantyjscy robili kiedyś interesy z morskimi rozbójnikami —

wymamrotał nerwowo Publio.

— Ale nie z czarnymi korsarzami — odrzekł ponuro Conan.

— Na Mitrę, zamilcz! — zawołał Publio, któremu pot wystąpił na czoło. Palcami szarpał złoty rąbek szaty.

— No cóż, chciałem ci tylko przypomnieć — odparł barbarzyńca. — Nie bądź taki

strachliwy. Kiedyś wiele ryzykowałeś, walcząc o życie i bogactwo w tym nędznym kramiku na nadbrzeżu, idąc ręką w rękę z każdym bukanierem, przemytnikiem czy piratem stąd aż po Wyspy Barachańskie. Widać dostatek cię zmiękczył.

— Jestem szanowanym... — zaczął Publio.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś bogaty jak diabli — prychnął Conan. — A dlaczego?

Dlaczego dorobiłeś się majątku o wiele szybciej niż konkurenci? Czy nie dlatego, że robiłeś duże interesy na kości słoniowej i strusich piórach, na miedzi, skórach, perłach i złotych ozdobach oraz innych towarach z wybrzeża Kush? A gdzie je zdobywałeś tak tanio, podczas gdy inni kupowali je od Stygijczyków na wagę srebra? Powiem ci, jeśli zapomniałeś: kupowałeś je ode mnie, znacznie poniżej ich wartości, zaś ja zabierałem je plemionom Czarnego Wybrzeża lub ze stygijskich statków — ja, i moi czarni korsarze.

— W imię Mitry, przestań! — błagał Publio. — Nie zapomniałem. Ale co tu robisz? Ja jestem jedynym człowiekiem w Argos, który wiedział, że król Akwilonii był niegdyś, przed wieloma laty, Conanem bukanierem. Jednak dotarły tu wieści o upadku Akwilonii i śmierci jej króla.

— Wrogowie już ze sto razy uśmiercali mnie w plotkach — mruknął Conan. — A przecież siedzę tu i piję wino z Kyros.

I wprowadził te słowa w czyn.

Opuściwszy prawie już opróżniony dzban, rzekł:

— Proszę cię tylko o drobną przysługę, Publio. Wiem, że orientujesz się we wszystkim, co się dzieje w Messantii. Chcę się dowiedzieć, czy Zingarańczyk zwany Beloso — czy jakiegokolwiek przybrałby imię — przebywa w mieście. Jest wysoki, chudy i śniady jak wszyscy z jego ludu i prawdopodobnie będzie chciał sprzedać bardzo rzadki klejnot.

Publio pokręcił głową.

— Nie słyszałem o takim człowieku. Tysiące przybywają do Messantii i opuszczają ją. Jeśli jest tutaj, moi agenci go wytropią.

— Dobrze. Wyślij ich na poszukiwanie. A tymczasem każ komuś zająć się moim koniem i przynieść mi coś do jedzenia.

Publio chętnie na to przystał, a Conan opróżnił dzban, niedbale cisnął puste naczynie w kąt i podszedł do najbliższego okna, pełną piersią wdychając słone powietrze. Patrzył w dół na labirynt portowych uliczek. Fachowym spojrzeniem obrzucił stojące na redzie statki, a potem podniósł głowę i skierował wzrok za zatokę, ku niebieskawej mgiełce, w miejscu gdzie niebo stykało się z morzem. Pamięcią pobiegł poza ten horyzont, ku złotym morzom południa, pod palące słońca, gdzie nie ma żadnych praw, a życie jest pełne przygód. Jakiś zabłąkany aromat przyprawy lub kokosa obudził wyraźne wspomnienia obcych brzegów, gdzie rosły

mangrowce i dudniły bębny; szepionych w boju statków i spływających krwią pokładów; dymu, płomieni i wrzasków zarzynanych... Zatopiony w myślach, ledwie zwrócił uwagę na to, że Publio wymknął się z izby.

Podkasawszy toge, kupiec spieszył korytarzami, aż dotarł do pewnej komnaty, w której wysoki, chudy mężczyzna ze szramą na skroni nieustannie skrobał coś na pergaminie. Coś w wyglądzie tego człowieka sprawiało, że zajęcie skryby zupełnie do niego nie pasowało.

Publio rzucił mu od progu:

— Wrócił Conan!

— Conan? — Chudzielec drgnął, a pióro wypadło mu z ręki. — Ten korsarz?

— Tak!

Chudy zbladł jak papier.

— Oszalał? Jeśli go tu znajdą, będziemy zrujnowani! Każdego, kto ukrywa korsarza lub z nim handluje, powieszają równie szybko jak samego korsarza! Co będzie, jeśli gubernator dowie się o naszych dawnych powiązaniach?

— Nie dowie się — odparł ponuro Publio. — Wyślij swoich ludzi na bazyry i do

nadbrzeżnych spelunek, niech dowiedzą się, czy niejaki Beloso, Zingarańczyk, przebywa w Messantii. Conan mówi, że tamten ma drogocenny kamień, którego zapewne zechce się pozbyć. Jeśli ktoś będzie o tym wiedział, to z pewnością jubilerzy. I mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie: zbierz tuzin lub więcej gotowych na wszystko łotrów, którym można zaufać, że pozbędą się kogoś i nie pisną o tym słowa. Rozumiesz?

— Rozumiem — chudzielec posępnie skinął głową.

— Nie po to kradłem, oszukiwałem i kłamałem, nim zdołałem wyrwać się z rynsztoka, żeby zniszczył mnie cień przeszłości — mamrotał Publio, a złowrogi grymas na jego twarzy zdziwiłby bogatych panów i damy, którzy kupowali jedwabie i perły w jego licznych kramach. Jednak gdy w chwilę później wrócił do Conana, własnoręcznie dźwigając tacę z owocami i mięsiwem, ukazał

nieproszonemu gościowi pogodne oblicze.

Conan wciąż stał przy oknie, patrząc na port, na purpurowe, pąsowe, cynobrowe i szkarłatne żagle galeonów, karak, galer i kutrów.

— O ile mnie wzrok nie myli, tam stoi stygijska galera — napomknął, wskazując długi, niski i smukły czarny statek, stojący na kotwicy z dala od innych, przy szerokiej, piaszczystej plaży, która biegła łukiem ku dalekiemu przylądkowi. — A zatem między Stygią a Argos panuje pokój?

— Taki sam jak zawsze — odparł Publio, z westchnieniem ulgi stawiając tacę na stole, gdyż była naprawdę ciężka; znał swego gościa nie od dziś. — Stygijskie porty są czasowo otwarte dla naszych statków, a nasze dla ich. Jednak lepiej, żeby żaden mój okręt nie napotkał

jednej z ich przeklętych galer na otwartym morzu! Ta wślizgnęła się do portu zeszłej nocy.

Nie wiem, czego chcą jej właściciele. Na razie niczego nie kupują ani nie sprzedają. Nie ufam tym ciemnoskórym diabłom. Ich mroczna kraina jest ojczyzną zdrady.

— Dałem im do wiwatu — rzucił niedbale król, odwracając się od okna. — Na okręcie z załogą czarnych korsarzy podpływałem nocami do samych bastionów omywanych przez fale czarnych zamków Khemi i paliłem stojące tam galeony. A skoro o zdradzie mowa, mój gospodarzu, może skosztowałbyś tych specjałów i upiłbyś łyk wina, ot, żeby okazać swoją dobrą wolę?

Publio tak chętnie zaspokoił to życzenie, że uspił podejrzenia Conana, który bez dalszych wahań zasiadł do stołu i zjadł: za trzech.

A kiedy jadł, po bazarach i po nabrzeżu kręcili się ludzie, rozglądając się za Zingarańczykiem chcącym sprzedać klejnot lub szukającym statku, który zabrałby go do dalekiego portu. Zaś wysoki, chudy mężczyzna z blizną na skroni siedział podparty łokciami o zalany winem stół podłej tawerny, oświetlonej jedną lampą zawieszoną u poczerniałej belki stropu, i rozmawiał z dziesięcioma gotowymi na wszystko zbójami, których paskudne fizjonomie i łachmany zdradzały profesję ich właścicieli.

Gdy zabłyśły pierwsze gwiazdy, ich blask padł na dziwną grupkę, pędzącą konno białym traktem wiodącym do Messantii od zachodu. Czterej wysocy, chudzi mężczyźni w czarnych płaszczach z kapturami jechali, nie odzywając się słowem. Bezlitośnie poganiali swe rumaki, równie wychudłe jak oni i spienione jak po długiej i dalekiej podróży.

CZARNA DŁOŃ SETA

Conan obudził się z głębokiego snu gwałtownie i szybko jak kot. Jak kot zerwał się na równe nogi z mieczem w dłoni, nim człowiek, który go dotknął, zdążył się choćby odsunąć.

— Jakie wieści, Publio? — zapytał, poznając gospodarza; Złota lampa rzucała nikły blask na grube kotary i bogate narzuty tapczanu, na którym spoczywał król.

Publio, doszedłszy do siebie po szoku, w jaki wprawiło go nieoczekiwane zachowanie gościa, odparł:

— Znalaziono Zingarańczyka. Przybył wczoraj o świcie. Zaledwie kilka godzin temu usiłował sprzedać ogromny, dziwny kamień shemickiemu kupcowi, ale ten nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Powiadają, że na widok klejnotu zbladł jak ściana pod swą czarną brodą i zamknąwszy kram, uciekł jak przed zarazą.

— To musi być Beloso — mruknął Conan, czując, jak skronie pulsują mu z niecierpliwości.

— Gdzie jest teraz?

— Śpi w domu Servia.

— Znam tę norę z dawnych czasów — mruknął Conan. — Lepiej pospieszę się, zanim ci portowi złodzieje poderzną mu gardło i ukradną kamień.

Wziął płaszcz i zarzucił go na ramiona, a potem założył hełm otrzymany od Publia.

— Każ osiodłać mego konia i trzymać go w gotowości na dziedzińcu — rzekł. — Mogę wracać w pośpiechu. Nie zapomnę ci, Publio, tego co dla mnie zrobiłeś tej nocy.

Kilka chwil później Publio, stojąc w bocznych drzwiach rezydencji, odprowadzał wzrokiem wysoką sylwetkę krój niknącą w mroku uliczki.

— Żegnaj, korsarzu — mruknął do siebie kupiec. — Musi to być godny uwagi klejnot, skoro szuka go człowiek, który właśnie utracił królestwo. Szkoda, że nie kazałem moim łotrom zagarnąć go, zanim wezmą się do roboty. Jednak wtedy coś mogłoby pójść nie tak.

Niechaj Argos zapomni o Amrze, a moje interesy z nim niech pokryje pył niepamięci. W

zaułku za domem Servia... tam Conan przestanie być dla mnie zagrożeniem.

Dom Servia — podrzędna, ciesząca się złą sławą spelunka — stał blisko nabrzeży, frontem do morza. Był to nędzny budynek z kamienia i grubych okrętowych belek, przy długiej, wąskiej i krętej uliczce. Idąc nią, Conan miał nieprzyjemne wrażenie, że ktoś go śledzi.

Bacznie wpatrywał się w cienie rzucane przez nędzne kamieniczki, lecz nikogo nie dojrzał; tylko raz usłyszał szmer odzieży ocierającej o ciało. Jednak nie było w tym nic niezwykłego.

Złodzieje i żebracy przez całą noc grasowali w tych zaułkach, lecz wątpił, aby chcieli go napaść, widząc jego posturę i zbroję.

Nagle gdzieś przed nim otwały się drzwi w murze i król skrył się w mroku podcienia. Z

otwartych drzwi wyłoniła się jakaś postać i ruszyła uliczką, nie nazbyt spieszenie, ale bezszelestnie jak dzikie zwierzę. Światło gwiazd sączące się na zaułek było wystarczająco jasne, by ukryty w przejściu Conan zdołał dojrzeć profil nieznanego. Nieznajomy był

Stygijczykiem. Nawet w półmroku orle rysy twarzy, ogolona głowa i zarzucony na szerokie ramiona płaszcz nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Szedł alejką w kierunku plaży i przez moment wydawało się królowi, że tamten ma ukrytą pod płaszczem latarnię, bowiem dostrzegł łagodny błysk światła.

Jednak Cymeryczyk natychmiast zapomniał o nieznanym, widząc, że drzwi, z których wyszedł obcy, nadal są otwarte. Conan zamierzał wejść głównym wejściem i zmusić Servia, aby pokazał mu izbę, w której śpi Beloso. Jednakże byłoby znacznie lepiej, gdyby zdołał

dostać się do środka, nie zwracając niczyjej uwagi.

Kilkoma długimi susami doskoczył do drzwi, lecz gdy położył dłoń na klamce, z trudem powstrzymał okrzyk zdziwienia. Doświadczonymi palcami, wyszkolonymi niegdyś wśród zamorańskich złodziei, wyczuł, iż zamek został wyłamany od zewnątrz, najwidoczniej przy użyciu potężnej siły, która wygięła i złamała żelazne rygle, a nawet wyrwała okucia z ościeżnicy. Nie miał pojęcia, jak można było dokonać takiego dzieła zniszczenia, nie budząc wszystkich w sąsiedztwie, lecz na pewno stało się to tej nocy. Servio kazałby natychmiast naprawić wyłamany zamek ze względu na licznych w tej okolicy złodziei i rzezimieszków.

Conan skradał się ze sztyletem w rękę, rozmyślając, jak ma znaleźć komnatę

Zingarańczyka. Stąpając po omacku, nagle stanął jak wryty. W sposób, w jaki wyczuwa to dzikie zwierzę, poczuł unoszący się wokół zapach śmierci — nie zagrożenie, lecz woń świeżo zabitego stworzenia. W ciemności natrafił nogą na coś ciężkiego i podatnego. Z raptownym przeczuciem, macał wzdłuż ściany, aż znalazł półkę z mosiężną lampą, a przy niej stal, krzesiwo i hubkę. Po kilku sekundach strzelił migoczący, wąty płomyk i król rozejrzał się wokół, mrużąc oczy.

Prycza umocowana do gołej, kamiennej ściany, pusty stół i ława stanowiły całe

umeblowanie kwadratowej izby. Wewnętrzne drzwi były zamknięte i zaryglowane. Na glinianej polepie leżał Beloso. Spoczywał na wznak, z głową wciągniętą w ramiona, tak iż zdawał się wpatrywać szeroko otwartymi, szklistymi oczyma w okopcone i zasnute pajęczynami belki sufitu. Ściągnięte w grymasie agonii wargi odsłaniały wyszczerzone zęby.

Opodal ciała leżał miecz, nawet nie wyjęty z pochwy. Rozerwana koszula odsłaniała brązową,

muskularną pierś, na której widniał czarny odcisk dłoni, z wyraźnie widocznym śladem palców i kciuka.

Conan spoglądał na to w milczeniu, czując, jak włosy na głowie stają mu dęba.

— Na Croma! — mruknął. — Czarna dłoń Seta!

Widywał już taki ślad, znak śmierci złowrogich kapłanów Seta, ponurego bóstwa władającego mroczną Stygią. I nagle przypomniał sobie dziwny błysk emanujący spod oponczy tajemniczego Stygijczyka, który wyszedł z komnaty.

— Serce, na Croma! — wymamrotał. — Miał je pod płaszczem. Ukradł je. Wyważył drzwi swoimi czarami i zabił Belosa. To kapłan Seta.

Szybko obszukawszy trupa, upewnił się o prawdziwości przynajmniej części tych podejrzeń. Zingarańczyk nie miał przy sobie klejnotu. W Conanie narastało niemiłe przeświadczenie, że nie zdarzyło się to przypadkiem; przekonanie, że ta tajemnicza stygijska galera przybyła do Messantii z jasno określoną misją. Skąd kapłani Seta wiedzieli, że Serce pojawi się na południu? Jednak ta myśl nie była bardziej fantastyczna niż czarna magia, pozwalająca zabić uzbrojonego człowieka jednym dotknięciem pustej, otwartej dłoni.

Słyszając ukradkowe kroki na zewnątrz, obrócił się błyskawicznie jak kot. Jednym płynnym ruchem zgasił lampę i wydobyl miecz. Słuch mówił mu, że tam, w ciemności jacyś ludzie podchodzą do drzwi. Gdy jego oczy oswoiły się już z mrokiem, dostrzegł rząd postaci stojących półkolem przed wyjściem. Nie miał pojęcia, co to za jedni, lecz jak zwykle przejął

inicjatywę — zamiast oczekiwać na atak, wyskoczył na zewnątrz.

Ten nieoczekiwany manewr zaskoczył przeciwników. Czuł i słyszał podbiegających, a w świetle gwiazd dojrzał niewyraźną zamaskowaną postać; potem jego miecz z chrupnięciem sięgnął celu i król już umykał alejką, zanim wolniej myślący i działający napastnicy zdolali go zatrzymać.

Biegając, usłyszał gdzieś przed sobą cichy skrzyp dulek i zapomniał o ścigających go zbirach. Jakaś łódź wypływała na zatokę! Zacisnąwszy zęby, przyspieszył kroku, lecz zanim dotarł do plaży, usłyszał skrzypienie cum i zgrzyt wielkiego steru.

Gęste chmury, nadciągające znad morza, zasłoniły gwiazdy. W nieprzeniknionych

ciemnościach Conan wyszedł na piach, wyteżając wzrok, by dostrzec coś nad czarną, niespokojną tonią. Coś poruszało się — długi, niski, ciemny kształt, niknący w mroku i z każdą chwilą nabierający szybkości. Do jego uszu dobiegł rytmiczny plusk wioseł.

Cymeryjczyk zgrzytnął zębami z bezsilnej wściekłości. Oto stygijska galera wypływała w morze, unosząc na pokładzie klejnot, który znaczył dlań tyle, co tron Akwilonii.

Klnąc straszliwie, zrobił krok ku bijącym o piasek falom, chwytając rzemień pancerza z zamiarem zerwania go i popłynięcia za znikającym statkiem. Odwrócił się, słysząc chrzęst piasku pod stopą napastnika. Zapomniał o pogoni.

Ciemne postacie zbliżały się szybko po twardym piachu. Pierwszy padł pod straszliwym ciosem Cymeryjczyka, ale pozostałych tomie powstrzymało. Ostrza spadały ze świstem i zgrzytały o jego pancerz. Krew i wnętrzności trysnęły mu na rękę; ktoś wrzasnął przeraźliwie, gdy barbarzyńca zadał straszliwe pchnięcie. Zduszony głos, który zdawał mu się dziwnie znajomy, zachęcał tamtych do ataku. Conan przedarł się przez pierścień siekających i kłujących postaci w kierunku głosu. Promyk światła, który na chwilę błysnął zza gnanych wiatrem chmur, ukazał mu chudego, wysokiego mężczyznę ze szramą na skroni. Miecz Conana rozplątał mu czaszkę niczym dojrzały melon.

W tejże chwili cios topora, zadany na oślep w ciemnościach, z trzaskiem trafił w hełm barbarzyńcy, krzesząc mu w oczach snopy iskier. Conan runął naprzód, czując, jak jego miecz wbija się głęboko w ciało i słysząc wrzask agonii. Nagle potknął się o trupa, a czyjaś maczuga strąciła mu z głowy pocięty hełm; w następnej chwili potężne uderzenie pałki trafiło go w nie osłoniętą głowę.

Król Akwilonii osunął się na piach. Nad nim stały resztki zbójckiego stada, z trudem łapiąc oddech.

— Utnijmy mu głowę — mruknął jeden.

— Nie żyje — sapnął drugi. — Ma rozwaloną czaszkę. Pomóż mi opatrzyć rany, zanim wykrwawię się na śmierć. Przytyw zabierze jego ciało.

— Pomóż mi go rozebrać — nalegał inny. — Jego zbroja jest warta garść srebra. I spieszcie się. Tiberio nie żyje i słyszę śpiew nadchodzących żeglarzy. Znikajmy stąd.

Przez chwilę słyhać było odgłosy gorączkowej krzątanimy, a potem cichnący tupot stóp.

Pijacki śpiew marynarzy rozbrzmiewał coraz głośniejsz.

Publio, nerwowo przechadzający się tam i z powrotem w swej komnacie pod oknem

wychodzącym na ciemną zatokę, nagle obrócił się na pięcie, czując serce w gardle. O ile było mu wiadomo, drzwi zostały zaryglowane od środka; a tymczasem stały otworem i do komnaty weszli czterej mężczyźni. Na ich widok dreszcz przeleciał mu po plecach. Wiele dziwnych rzeczy widział w swoim życiu, ale nigdy czegoś takiego. Przybysze byli wysocy i chudzi, odziani w czarne płaszcze, a ich ocienione kapturami twarze wyglądały jak niewyraźne, żółte owale. Nie mógł dostrzec ich rysów, lecz z niewiadomych powodów był z tego rad. Każdy z nich trzymał w ręku długą, osobliwie cętkowaną laskę.

— Kim jesteście? — spytał dziwnie piskliwym, załamującym się głosem. — Czego tu chcecie?

— Gdzie jest Conan, niegdyś król Akwilonii? — zapytał najwyższy z nich beznamiętnym tonem, który przypomniał Publiowi o drzenie. Ten głos przypominał głuchy dźwięk dzwonu khitajskiej świątyni.

— Nie wiem, o co wam chodzi — wyjąkał kupiec, tracąc na widok niesamowitych gości zwykłą

pewność siebie. — Nie znam nikogo takiego.

— Był tutaj — rzekł tamten tym samym tonem. — Jego koń stoi na dziedzińcu. Powiedz nam, gdzie on jest, zanim zrobimy ci krzywdę.

— Gebalu! — wrzasnął Publio, cofając się i przyciskając plecami do ściany.

— Gebalu!

Czterej Khitajczycy spoglądali na niego z niezmiennym wyrazem twarzy.

— Jeśli zawołasz swojego niewolnika, umrze — rzekł jeden z nich, wprawiając kupca w jeszcze większe przerażenie.

— Gebalu! — wrzasnął. — Gdzie jesteś, przeklęty? Złodzieje mordują twego pana!

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki i do komnaty wpadł Gebal — potężnie zbudowany, średniego wzrostu Shemita ze zjeżoną, kruczoczną brodą i z jataganem w garści.

Spojrzał z osłupieniem na czterech intruzów, nie pojmując, jak się tu dostali; niejasno pamiętał, że chyba zasnął na schodach, których miał pilnować i którymi musieli tu wejść.

Jeszcze nigdy nie zasnął na straży. Jego pan histerycznie wrzeszczał, więc Shemita runął na nieznanym jak byk, cofając potężnie umięśnione ramię do straszliwego pchnięcia. Jednak nie zdążył zadać ciosu.

Ramię w czarnym rękawie wystrzeliło naprzód, wyciągając długi kostur. Koniec laski lekko dotknął brązowej piersi Shemity i natychmiast cofnął się. Ten ruch przypominał atak przyczajonego węża.

Gebal stanął jak wryty, jakby w połowie szarży napotkał niewidzialną barierę. Głowa opadła mu na piersi, oręż wypadł z ręki, po czym niewolnik powoli spłynął na posadzkę.

Wyglądało to tak, jakby nagle rozpuściły mu się wszystkie kości. Publio zwymiotował.

— Nie krzycz już więcej — poradził najwyższy Khitajczyk. — Twój słudzy śpią głębokim snem, lecz jeśli ich obudzisz — umrą, a ty razem z nimi. Gdzie Conan?

— Udał się do domu Servia, na nabrzeżu, szukać Zingarańczyka Belosa — z trudem chwytając powietrze, odparł kupiec, pozbawiony wszelkiej chęci oporu. Nie brakowało mu odwagi, lecz ci niesamowici goście budzili w nim paniczny lęk. Drgnął, słysząc nagły tupot nóg na schodach, rozchodzący się echem w głębokiej ciszy.

— Twój sługa? — spytał Khitajczyk.

Publio bez słowa pokręcił głową; język przysechł mu do podniebienia. Odebrało mu głos.

Jeden z Khitajczyków zerwał jedwabną narzutę z sofy i zarzucił ją na trupa. Potem wszyscy skryli się

za kotarą, lecz najwyższy z nich wcześniej ostrzegł:

— Porozmawiaj z człowiekiem, który przyjdzie, i szybko odeślij go. Jeśli nas zdradzisz, ani on, ani ty nie dopadniecie żywi do drzwi. Nie zdradź żadnym gestem, że nie jesteś tu sam.

I znacząco pogroziwszy mu laską, żółtoskóry zniknął za zasłoną.

Publio zadrzał, opanowując mdłości. Może powodowało to słabe oświetlenie, ale chwilami wydawało mu się, że kostury poruszają się same, jakby obdarzone były samodzielnym życiem.

Z najwyższym trudem wziął się w garść, udając spokój przed obszarpanym łotrzykiem, który wpadł do komnaty.

— Zrobiliśmy, jak kazałeś, panie! — zawołał przybyły. — — Barbarzyńca leży martwy na piachu na brzegu morza.

Publio wyczuł jakieś poruszenie za arrasem i o mało nie zemdlął ze strachu. Nieświadomy niczego łotr mówił dalej:

— Twój sekretarz, Tiberio, nie żyje. Barbarzyńca zabił jego i czterech moich kompanów.

Przynieśliśmy ich ciała. Nie miał przy sobie nic cennego oprócz kilku srebrnych monet. Czy masz jakieś rozkazy?

— Żadnych! — wykrztusił Publio zbielełymi wargami. — Idź!

Obwieś skłonił się i pospiesznie opuścił komnatę, w przekonaniu, że Publio jest człowiekiem zwięzłej mowy i słabego żołądka.

Czterej Khitajczycy wyszli zza arrasu.

— O kim mówił ten mężczyzna? — spytał najwyższy.

— O pewnym wędrowcu, który wyrządził mi krzywdę — wykrztusił Publio.

— Kłamiesz — rzekł spokojnie Khitajczyk. — Mówił o królu Akwilonii. Czytam to z twojej twarzy. Siadaj na sofie i nie ruszaj się ani nie mów. Pozostanę tu z tobą, a moi trzej —

towarzysze pójda szukać ciała.

I tak Publio siedział, trzęsąc się ze strachu przed milczącą, nieprzeniknioną postacią, która pilnowała go, aż tamci trzej powrócili z wieścią, że Conanowego ciała nie ma na plaży.

Publio nie wiedział, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy smucić.

— Znaleźliśmy miejsce, gdzie stoczono walkę — rzekli. — Widzieliśmy krew na piasku.

Jednak króla tam nie było.

Czwarty Khitajczyk nakreślił na dywanie kilka niewidocznych symboli swą cętkowaną laską, lśniąca jak gadzia łuska.

— Czy nie wyczytaliście niczego z piasku? — spytał.

— Tak jest — odpowiedzieli. — Król żyje i popłynął statkiem na południe.

Wysoki podniósł wzrok i popatrzył na Publia, który pod tym spojrzeniem oblał się zimnym potem.

— Czego ode mnie chcecie? — wykrztusił.

— Statku — odparł Khitańczyk. — Statku dobrze wyposażonego na długą podróż.

— Jak długą? — spytał Publio, ani myśląc o odmowie.

— Może na koniec świata — odparł tamten — lub do ognistych oceanów Piekieł, leżących dalej, niż zachodzi słońce.

POWRÓT KORSARZA

Pierwszym wrażeniem, jakie zarejestrowała powracająca świadomość Conana, było uczucie ruchu; nie spoczywał na czymś stałym, lecz nieustannie wznosił się i opadał. Potem do jego uszu dobiegł świst wiatru w olinowaniu i zanim jeszcze odzyskał zdolność widzenia, pojął, że znajduje się na statku. Usłyszał zmieszane głosy, a potem ktoś chlusnął nań strumień wody, gwałtownie przywracając mu przytomność. Podniósł się z siarczystym przekleństwem, stanął

na rozstawionych nogach i potoczył wokół chmurnym spojrzeniem, mając w uszach chrapliwe rechoty, a w nozdrzach odór niemytych ciał.

Stał na pokładzie rufowym długiej galery, płynącej z północnym wiatrem, który wydymał

pasiasty żagiel. Słońce właśnie wschodziło w oślepiającej złocisto — błękitno — zielonej aureoli. Z lewej burty majaczył ciemnopurpurowy cień brzegu. Z prawej rozpościerał się bezmiar oceanu. Wszystko to, włącznie z samym statkiem, Conan ogarnął jednym

spojrzeniem.

Statek był długi i smukły, typowa kupiecka jednostka południowych wybrzeży, o wysokim dziobie i rufie oraz z kabinami na obu końcach. Conan spojrział na otwarte śródkręcie, skąd unosił się ten mdlący, okropny odór. Znał go z dawnych czasów. Tak śmierdzeli wiosłarze, przykuci do swych wiosł. Wszyscy byli czarnoskórzy; siedzieli po czterdziestu wzdłuż obu burt, każdy owinięty w pasie łańcuchem, i którego koniec przytwierdzono do grubego pierścienia, osadzonego głęboko w masywnej belce biegnącej środkiem statku od dziobu do rufy. Życie galernika na pokładzie argijskiego statku było nieopisanym piekłem. Większość tych ludzi pochodziła z Kush, ale około trzydziestu z czarnych, którzy teraz beczynnym wspierali się na wiosłach i z tępą ciekawością patrzyli na obcego, wywodziło się z odległych południowych wysp, ojczyzny korsarzy. Conan poznał ich po bardziej wyrazistych rysach i jaśniejszych włosach oraz foremniejszej budowie ciała. Dostrzegł też wśród nich kilku takich, którzy pływali pod jego komendą w dawnych czasach.

Wszystko to zauważył w jednym szybkim rzucie oka, wstając, jeszcze nim zwrócił uwagę na otaczające go postacie. Chwiejąc się na szeroko rozstawionych nogach i wściekle zaciskając pięści, spojrział spode łba na nieznanomych. Marynarz, który oblał go wodą, wciąż stał z pustym wiadrem i śmiał się szyderczo; Conan sklął go od ostatnich, instynktownie sięgając po sztylet. Wtedy odkrył, że jest bez broni, odziany jedynie w krótkie, skórzane pludry.

— Co to za nędzna balia? — ryknął. — Jak znalazłem się na pokładzie?

Żeglarze, jak jeden mąż krępi, brodaci Argijczycy, zaśmiali się szyderczo, a jeden — sądząc po bogatszej szacie i wyniosłej postawie, ich kapitan — splótnął ramiona i odezwał się władczo:

— Znaleźliśmy cię leżącego na piasku. Ktoś stuknął cię w głowę i zabrał twoje ubranie.

Potrzebowaliśmy jednego człowieka, więc wzięliśmy cię na pokład.

— Co to za statek? — spytał Conan.

— „Śmiałek” z Messantii, z ładunkiem lusterek, purpurowych jedwabnych płaszczy, tarcz, połączonych hełmów i mieczów, które wymienimy z Shemitami na miedź i złoty kruszec. Ja jestem Demetrio, kapitan tego statku i od tej chwili twój dowódca.

— No to mimo wszystko podążam w tym kierunku, w którym chciałem — mruknął

Cymeryjczyk, nie zważając na tę ostatnią wzmiankę. Pędzili na południowy wschód, wzdłuż długiego łuku argijskiego wybrzeża. Kupieckie statki nigdy się od niego nie oddalały.

Wiedział, że gdzieś przed nimi czarna stygijska galera mknęła na południe.

— Czy widzieliście stygijska galerę... — zaczął, lecz broda porastająca krzepkiego, o brutalnej fizjonomii kapitana zjeżyła się wściekle. Nie interesowały go jakiegokolwiek pytania jeńca i uznał, że najwyższy czas pokazać temu beczelnemu darmożadowi, gdzie jego miejsce.

— Do roboty! — ryknął. — Dość już zmarnowałem przez: ciebie czasu! Uczyniłem ci zaszczyt, każąc ożywić cię na mostku i odpowiadając na twoje idiotyczne pytania. Złaż z mostka! Zapracujesz na siebie na pokładzie...

— Kupię twój statek... — zaczął Conan, zanim przypomniał sobie, że jest włóczęgą bez grosza.

Ryk śmiechu powitał jego słowa, a kapitan pokraśniał ze złości, myśląc, że z niego drwią.

— Ty buntowniczy wieprzu! — ryknął, groźnie postępując naprzód i zaciskając dłoń na rękojeści tkwiącego za pasem noża. — Do roboty, bo każę cię wychłostać! Trzymaj język za zębami, albo — na Mitrę! — każę cię przykuć z czarnymi, żebyś] robił wiosłem!

Wybuchowy temperament Conana, którego nigdy nie potrafił długo trzymać na wodzy, dał

znać o sobie. Jeszcze nigdy nawet nim został królem, żaden człowiek nie odezwał się do niego tak nieuprzejmie — i przeżył.

— Nie podnoś na mnie głosu, ty zasmolony psie! — zagrzemiał jak morski wicher, ku zaskoczeniu żeglarzy. — Wyciągnij tę zabawkę, a nakarmię tobą ryby!

— Za kogo ty się uważasz? — wykrztusił kapitan.

— Zaraz ci pokażę! — zagrzemiał rozwścieczony Cymeryjczyk, obrócił się na pięcie i skoczył do relingu, do którego przytwierdzone były stojaki z orężem.

Kapitan wyjął nóż i z wrzaskiem rzucił się na króla, lecz nim zdołał zadać cios, Conan złapał go za nadgarstek i jednym szarpnięciem wyrwał ramię ze stawu. Kapitan ryknął jak zarzynany wół i potoczył się po pokładzie, wzgardliwie rzucony przez napastnika. Conan porwał ciężki topór i z

kocią zwinnością skoczył na spotkanie nadbiegających żeglarzy.

Pędzili wyjąc jak stado ogarów, niezdarni i powolni w porównaniu z tygrysem zwinnym Cymeryjczykiem. Zanim zdolali sięgnąć go swymi nożami, skoczył między nich, szybko jak błyskawica zadając razy na prawo i lewo; w mgnieniu oka na pokład runęły dwa tryskające krwią i mózgiem trupy.

Noże przecięły powietrze, lecz Conan przedarł się przez zdyszana cizbę i skoczył na wąski pomost nad śródokręciem, tuż poza zasięgiem siedzących w dole galerników. Kilku przerażonych losem kompanów żeglarzy niepewnie spoglądało na Cymeryjczyka, a reszta załogi — około trzydziestu ludzi — wpadła na mostek i gnała z bronią w rękach rozprawić się z zuchwalcem.

Conan skoczył na pomost i stanął nad czarnymi, potrząsając toporem. Wiatr rozwiewał czarną grzywę barbarzyńcy.

— Kim jestem? — wrzasnął. — Patrzcie, psy! Spójrz, Ajongo, Yasungo, Larango! Kim jestem?

Na śródokręciu podniósł się krzyk, który wnet zmienił się w chóralny ryk.

— Amra! To Amra! Lew powrócił!

Żeglarze, którzy dosłyszeli i pojęli straszliwy sens tego wrzasku, pobledli i cofnęli się, w nagłym przypływie lęku spoglądając na olbrzymią postać na pomoście. Czy naprawdę był to ten krwiożerczy ogar południowych mórz, który tak tajemniczo zniknął przed laty, lecz wciąż żył w krwawych legendach? Czarni zupełnie oszaleli, potrząsając i szarpiąc łańcuchy, i wykrzykując imię Amry jak zakłęcie. Kuszyci, którzy nigdy nie widzieli Conana, podjęli ten okrzyk. Niewolnicy w ładowni pod rufówką zaczęli walić w ściany, wyjąc jak potępieńcy.

Demetrio, pełznąc po pokładzie na kolanach i podpierając się jedną ręką blady jak ściana z bólu, wrzasnął:

— Naprzód! Zabijcie go, psy, zanim niewolnicy zerwą łańcuchy!

Słyszac te słowa — najbardziej przerażające dla załogi każdej galery — ogarnięci rozpaczą żeglarze zaatakowali pomost z obu stron, lecz Conan jednym tygrysim skokiem zeskoczył

między czarnych.

— Śmierć nadzorcom! — zagrzmiął, a jego topór uniósł się i opadł z trzaskiem na okowy, przecinając je jak szczapkę. W jednej chwili galernik był wolny i łamał swoje wiosło na maczugę. Żeglarze biegali jak szaleni po pomoście, a na pokładzie „Śmiałka” rozpętało się piekło. Conanowy topór bez przerwy wznosił się i opadał, a każdy cios uwalniał toczącego pianę czarnego olbrzyma, oszalałego z nienawiści i żądzy zemsty, upojonego wolnością.

Żeglarze zeskakiwali na dół, aby pochwycić lub usieć białego giganta, który jak opętany rąbał okowy, lecz obalali ich n« uwolnieni jeszcze galernicy, podczas gdy inni, z kawałkami zerwanych

łańcuchów, wylali się ze śródokręcia jak wzburzony czarny potok, wyjąc jak stado bestii, tłukąc ułomkami wiosł i kawałkami żelaza, zębami i pazurami próbując dostać wrogów. W powstałym zamieszaniu niewolnicy z ładowni rozbili ściany i wypadli na pokład.

Uwolniwszy pięćdziesięciu czarnych, Conan zaniechał rozbijania oków i skoczył na mostek, wspomóc sprzymierzeńców swym wyszczerbionym toporem.

Zaczęła się rzeź. Argijczycy byli silni, twardzi i nieustraszeni jak cały ten lud, zahartowany w brutalnej szkole morza. Jednak nie mogli sprostać oszalałym olbrzymom wiedzionym przez straszliwego barbarzyńcę. Razy, obelgi i piekielne męki zostały pomszczone w jednym potężnym wybuchu furii, która jak tajfun przewalił się od dziobu po rufę galery, a kiedy ucichł, na pokładzie „Śmiałka” pozostał przy życiu tylko jeden biały człowiek. Był nim zboczony krwią gigant, wokół niego stłoczyli się podśpiewujący czarni, którzy padali plackiem na okrwawiony pokład i w przyływie uwielbienia tłukli głowami o deski.

Conan, z muskularną piersią unoszącą się w ciężkim oddechu i błyszczącą od potu, ścisnął

w zboczonej krwią dłoni okrwawiony topór, wodząc wokół spojrzeniem niczym wódz pierwotnego plemienia u zarania dziejów i potrząsając czarną grzywą. W tej chwili nie był

królem Akwilonii; przeistoczył się we władcę czarnych korsarzy, który swoje władanie zdobył ogniem i żelazem.

— Amra! Amra! — intonowali ci czarni, którzy jeszcze byli w stanie śpiewać. — Lew wrócił! Teraz Stygijczycy i Kuszyci zawyją jak psy o północy! Teraz staną w płomieniach wioski i pójdą na dno okręty! Hej, będą lamentować kobiety i grzmieć włócznie!

— Dość tego wycia, psy! — ryknął Conan, zagłuszając łopot żagla. — Dziesięciu pójdzie na dół i uwolni wiosłarzy, którzy jeszcze są skuci. Reszta do steru, wiosł i fałów. Na Croma, nie widzicie, że w czasie walki zniosło nas do brzegu? Chcecie wpaść na mieliznę i znów dostać się w łapy Argijczyków? Wyrzucicie te ścierwa za burtę. No już, łotry, bo wygarbuję wam skórę!

Z wrzaskiem, śmiechem i nieskładnym śpiewem skoczyli wykonać rozkazy. Ciała, czarne i białe, rzucono za burtę, gdzie trójkątnie płetwy już cięły wodę.

Conan stał na mostku i marszcząc brwi, spoglądał na czarnych, którzy patrzyli nań wyczekująco. Potężne ramiona splótł na piersi, a jego czarne włosy, które znacznie urosły w trakcie długiej wędrówki, powiewały na wietrze. Nigdy dziksza i bardziej barbarzyńska postać nie stała na mostku i niewielu Akwilońskich dworzan rozpoznałoby w tym groźnym korsarzu swego króla.

— W ładowni jest żywność! — ryknął. — I broni pod dostatkiem, bo ten statek wiózł oręż i ekwipunek dla Shemitów zamieszkujących wybrzeże. Jest nas dość, żeby obsadzić statek i dość, aby walczyć! Wiosłowaliście w kajdanach dla argijskich psów — czy jako wolni ludzie będziecie wiosłować dla Amry?

— Tak jest! — ryknęli. — Myśmy twymi dziećmi! Prowadź nas, gdzie chcesz!

— Zatem do roboty i oczyścić śródokręcie — rozkazał. — Wolni ludzie nie pracują w takim gnoju. Trzech pójdzie ze mną do rufówki po żywność. Na Croma, napcham wam brzuchy, nim skończy się ten rejs!

Odpowiedział mu kolejny wrzask aprobaty i na pół zagłodzeni czarni skoczyli wykonać rozkaz. Żagiel wydał się, gdy wiatr z nową siłą przeleciał nad falami, prosząc do tańca białe grzywacze. Conan mocno wparł się nogami w pokład, głęboko odetchnął i rozprostował

potężne ramiona. Może nie był już władcą Akwilonii, lecz nadal pozostawał królem błękitnego oceanu.

CZARNE MURY KHEMI

„Śmiałek”, którego wiosła wprawiali teraz w ruch chętni, cieszący się wolnością wiosłarze, sunął na południe jak żywa istota. Ze spokojnego kupieckiego statku zmieniono go w wojenną galerę — na tyle, na ile taka przemiana była możliwa. Wiosłarze siedzący na ławach mieli teraz miecze u boku i połączane hełmy na kędzierzawych głowach. Na relingach wisiały tarcze, a wiązki włóczni, łuków i strzał zdobiły maszt. Nawet siły przyrody zdawały się służyć teraz Conanowi; dzień po dniu bryza wypełniała szeroki, pasiasty żagiel i okręt płynął

niemal bez pomocy wioseł.

Jednak choć dzień i noc ktoś siedział na bocianim gnieździe, nigdzie nie dostrzeżono długiej, niskiej, czarnej galery umykającej przed nimi na południe. Dzień za dniem rozpościerał się przed nimi tylko pusty bezmiar wód, czasami rozcinanych dziobem rybackiego kutra, który uciekał przed „Śmiałkiem” jak spłoszony ptak, dostrzegając relingi obwieszane tarczami. Tegoroczny sezon handlowy właściwie się skończył i nie widzieli innych statków.

Obserwator dojrzał wreszcie jakiś żagiel, jednak nie na południu, lecz na północy. Daleko na horyzoncie pojawiła się chyża galera, sunąca pod pełnymi żaglami. Czarni namawiali Conana, by zawrócił i zdobył ją, ale on potrząsnął głową. Gdzieś na południu smukła czarna galera płynęła do Stygii. Tego wieczora, nim zapadły ciemności, obserwator widział jeszcze chyżą galerę na horyzoncie, dostrzegł ją także rano — trzymającą się w oddali i zdążającą śladem „Śmiałka”. Conan zastanawiał się, czy ten statek przypadkiem ich nie ściga, lecz nie był w stanie logicznie tego wytłumaczyć. Jednak nie zwracał na to uwagi. Każdy dzień przybliżający go do Stygii potęgował jego szaloną niecierpliwość. Nie miał żadnych wątpliwości. W to, że Serce Arymana skradł kapłan Seta, wierzył równie mocno, jak we wschody i zachody słońca. A dokąd kapłan Seta mógłby zabrać talizman, jak nie do Stygii?

Czarni wyczuwali niecierpliwość kapitana i choć nie znali jego zamiarów, starali się bardziej niż pod groźbą bata. Oczekiwali krwawych ucieków płądrowania i grabieży i byli zadowoleni.

Ludzie z południowych wysp nie znali innego zajęcia, zaś należących do załogi Kuszytów, z typowym dla tej rasy brakiem skrupułów, radowała perspektywa grabienia własnych ziomeków. Więzy krwi niewiele tu znaczyły; zwycięski wódz lub osobista korzyść — były wszystkim.

Wkrótce zmienił się charakter brzegu. Nie żeglowali już wzdłuż stromych urwisk, za którymi wznosiły się łańcuchy sinych wzgórz. Teraz wybrzeże ciągnęło się skrajem rozległych łąk, które ledwie wznosiły się nad taflę wody i ginęły w mglistej dali. Niewiele tu było zatok, portów jeszcze mniej, zielona równina była upstrzona shemickimi miastami; zielone morze, sięgające krańca zieleńszych odeń równin i zikkuraty miast połyskujące bielą w ostrym słońcu.

Na stepach pały się stada i przemykały grupki krępych jeźdźców w stożkowatych hełmach, z kędzierzawymi, kruczoczarnymi brodami i z łukami w dłoniach. Było to wybrzeże Shemu, gdzie

każde miasto — państwo stanowiło własne prawa. Conan wiedział, że daleko stąd, na wschodzie, nie ma żadnych miast, a pastwiska stopniowo zmieniają się w pustynię zamieszkaną jedynie przez koczownicze plemiona.

Mimo to, w miarę jak posuwali się na południe, monotonna dotąd panorama upstrzonej miastami równiny zaczęła się w końcu przeobrażać. Pokazały się kępy tamaryszków, a palmowe gaje stały się gęściejsze. Linia brzegowa rozwinęła się, tworząc wysoki szaniec drzew i krzewów, za którymi wznosiły się nagie, piaszczyste pagórki. Do morza wpadały strumienie, których wilgotne brzegi porastała gęsta i różnorodna roślinność.

Wreszcie przepłynęli koło ujścia wielkiej rzeki, która wlewała swe wody do oceanu, i ujrzeli czarne mury oraz wieże Khemi wznoszące się na południowym krańcu horyzontu.

Tą rzeką był Styx, prawdziwa granica Stygii. Khemi było największym portem tego kraju, a obecnie i najważniejszym miastem. Wprawdzie król zamieszkiwał w znacznie starszym Luxurze, lecz w Khemi władali kapłani, choć powiadano, iż centrum ich mrocznej religii leży w głębi lądu, w tajemniczym, opuszczonym mieście na brzegu Styxu. Ta rzeka ze źródeł

gdzieś w niezbadanych ziemiach południowej Stygii płynęła tysiąc mil na północ, nim skręcała na zachód, aby po kilkuset milach wpaść w końcu do oceanu.

„Śmiałek” z wygaszonymi światłami przemknął się nocą wokół cypla i nim odkrył go świt, zakotwiczył w zatoczce kilka mil na południe od miasta. Małą zatokę otaczały bagna —

zielona płatanina mangrowców, palm i lian — rojące się od krokodyli i węży. Dostrzeżenie statku było prawie niemożliwe. Conan znał to miejsce; kilkakrotnie ukrywał się tutaj za; swych korsarskich czasów.

Gdy przekradali się obok miasta, którego wysokie bastiony wznosiły się na zamykających port cyplach, widzieli jasnej płomienie pochodni i słyszeli głucho dudnienie bębnow. W

porcie nie stało tak wiele statków jak w portach Argos. Stygijczycy nie opierali swej potęgi i chwały na flocie. Istotnie, posiadali statki kupieckie i wojenne galery, jednali w ilości nieproporcjonalnej do sił lądowych. Wiele ich statków pływało wyłącznie po wielkiej rzece, nie wzdłuż morskiego wybrzeża.

Stygijczycy byli prastarym ludem — mrocznym, zagadkowym, potężnym i bezlitosnym.

Dawno temu ich władza sięgała daleko na północ od Styxu — za stepy Shemu, aż po żyzne wyżyny zamieszkałe teraz przez ludy Koth, Ophiru i Argos. Ich ziemie graniczyły z dawnym Acheronem. Ten jednak padł i barbarzyńscy przodkowie Hyboryjczyków, w wilczych skórach i rogatych hełmach, runęli na południe, wypierając dawnych władców tej ziemi.

Stygijczycy nie zapomnieli o tym.

Przez cały dzień „Śmiałek” stał na kotwicy w małej zatoce osłoniętej zielonymi ścianami splecionych gałęzi i winorośli, wśród których uwijały się różnobarwne, przeraźliwie wrzeszczące ptaki i pełzały

jaskrawołoskie, milczące gady. Przed zachodem słońca mała szalupa popłynęła wzdłuż brzegu, szukając i znajdując to, czego potrzebował Conan —

stygijskiego rybaka w płaskodennej krypie.

Zabrano go na pokład „Śmiałka” — wysokiego, śniadolice — go, chuderlawego mężczyznę o twarzy popielatej ze strachu, bowiem tych, którzy go porwali, Stygijczycy uważali za wilkołaków wybrzeża. Nie miał na sobie nic prócz jedwabnych pludrów, gdyż w Stygii, podobnie jak w Hyrkanii, nawet pospólstwo i niewolnicy noszą jedwabie; a w jego łodzi znaleziono obszerną opończę, taką jakimi rybacy bronią się przed chłodem nocy.

Padł na kolana przed Conanem, spodziewając się tortur i śmierci.

— Wstawaj, człowieku, i przestań się trząść — rzucił niecierpliwie Cymeryjczyk, który z najwyższym trudem pojmował tak paniczny strach. — Nikt nie wyrządzi ci krzywdy.

Powiedz mi jedno: czy w ostatnich dniach zawinęła do Khemi galera, czarna i smukła, czyż galera wracająca z Argos?

— Tak, panie — odparł rybak. — Nie dalej jak wczoraj rano kapłan Thutothmes wrócił z dalekiej wyprawy na północ. Powiadają, że był w Messantii.

— Co stamtąd przywiózł?

— Niestety, panie, nie mam pojęcia.

— A po co pozełgował do Messantii?

— Nie wiem, panie, jestem tylko zwykłym rybakim. Kimże jestem, aby znać zamiary kapłanów Seta? Mogę tylko powiedzieć o tym, co widziałem i o czym szeptali ludzie na nabrzeżu. Mówią, że nadeszły bardzo ważne wiadomości z północy, jednak nikt nie wie, czego dotyczyły; wszyscy wiedzą, że lord Thutothmes odpływał swoją galera w wielkim pośpiechu. Teraz wrócił, lecz co robił w Argos i jaki ładunek stamtąd przywiózł, nikt nie a pojęcia, nawet załoga jego galery. Powiadają, iż Thutothmes sprzeciwił się mieszkającemu w Luxurze Toth–Amonowi, przełożonemu wszystkich kapłań w Stygii, i że poszukuje ukrytej potęgi, aby obalić Najwyższego. Lecz kimże jestem, aby to wiedzieć? Kiedy kapłan

walczą ze sobą, zwyczajny człowiek może tylko leżeć plackiem i mieć nadzieję, że nikt go nie nadeptnie.

Conan prychnął wzgardliwie, zirytowany tą serwilistyczną filozofią, i zwrócił się do swoich ludzi:

— Pójdę sam do Khemi odszukać tego złodzieja Thutothmesa. Pilnujcie tego człowieka, ale nie czyńcie mu krzywdy! Na Croma, przestańcie wrzeszczeć! Myślicie, że wpłyniemy do portu i zdobędziemy miasto szturmem? Muszę iść sam.

Uciszywszy chór protestów, Conan zdjął swój strój i założył jedwabne bryczesy, sandały oraz opaskę

zdetę z głowy więźnia; wżardziwszy krótkim nożem rybaka. Pospólstwu w Stygi nie wolno nosić broni, a płaszcz rybaka nie był wystarczająco długi, by ukryć długi miecz Cymeryjczyka, ale barbarzyńca przypasał ghanatański nóż — broń używaną przez dzikie pustynne plemię zamieszkujące na południu Stygi — o szerokim, ciężkim, lekko zakrzywionym ostrzu ze świetnej stali, tnącym niczym brzytwa, dostatecznie długim, by wypatroszyć człowieka.

Potem, zostawiając rybaka pod strażą korsarzy, wskoczył do jego łódki.

— Czekajcie na mnie do świtu — rzekł. — Jeśli nie wrócę do tej pory — nie wrócę wcale.

Wtedy pospieszcie na południe, do waszych domów.

Gdy schodził po drabince, podnieśli taki lament, że musiał jeszcze wystawić głowę nad reling i przeklinając nakazać im ciszę. Potem, wsiałszy do łódki, wziął się do wiosł i pognął

łódeczkę po falach szybciej, niż kiedykolwiek czynił to jej właściciel.

XVII

„ZABIŁ ŚWIĘTEGO SYNA SETA!”

Zatoka Khemi leżała między dwoma wchodzącymi w morze cyplami. Conan okrążył

południowy przylądek, gdzie czarne zamczyska wznosiły się jak usypane ludzkimi rękami góry, i wpłynął do portu o zmierzchu, gdy było wystarczająco jasno, aby obserwatorzy mogli rozpoznać łódkę i płaszcz rybaka, jednak nie dość, aby zdołali dostrzec jakieś zdradzające go szczegóły. Nie niepokojony przepłynął między wielkimi, czarnymi galeriami wojennymi, które zaciemnione i ciche stały na kotwiczowisku, aż dotarł do podnóża szerokich, kamiennych schodów, wychodzących z wody. Tam przycumował łódkę do żelaznego pierścienia

osadzonego w kamieniu, jak przycumowanych było wiele innych łodzi. Kto widziałby coś podejrzanego w tym, że jakiś rybak chce tu zostawić swoją krypę. Taka łódź mogłaby się przydać tylko innemu rybakowi, a ci nie okradali się nawzajem.

Obdarzony zaledwie kilkoma obojętnymi spojrzeniami szedł po długich schodach,

nieznacznie omijając kręgi blasku rzucanego przez pochodnie płonące co parę kroków nad chlupoczącą wodą. Wyglądał jak zwyczajny rybak, który wracał z pustymi rękami po całodziennym połowie. Gdyby ktoś przyjrzał mu się dokładnie, mógłby zauważyć zbyt sprężysty i pewny krok lub nazbyt prostą i dumną postawę. Jednak szedł szybko, trzymając się w cieniu, a przeciętny Stygijczyk nie bardziej od innych, mniej egzotycznych nacji lubi zaprzętać sobie głowę cudzymi sprawami.

Budową ciała nie różnił się znacznie od przedstawicieli kasty stygijskich wojowników, którzy są wysocy i muskularni. Ze skórą przybrązowaną od słońca był niemal równie smagły jak oni. Czarne włosy, prosto przycięte i podtrzymane miedzianą opaską, powiększały to podobieństwo. Od Stygijczyków różnił go chód, rysy twarzy i niebieskie oczy.

Długi płaszcz był jednak dobrym przebraniem, a Conan starał się trzymać w cieniu, odwracając głowę, gdy jakiś tubylec mijał go zbyt blisko.

Jednakże prowadził ryzykowną grę i wiedział, że nie zdoła długo ukrywać swej tożsamości.

W Khemi, w przeciwieństwie do innych hyboryjskich portów, nie roiło się od wszelkich możliwych ras. Tu jedynymi cudzoziemcami byli kuszyccy lub shemiccy niewolnicy, zaś do tych Conan nie był podobny nawet w takim stopniu, w jakim przypominał Stygijczyka.

Cudzoziemcy nie byli mile widziani w miastach Stygii; tolerowano ich tylko wtedy, gdy przybywali jako ambasadorowie lub licencjonowani kupcy. Jednak tym ostatnim nie pozwalano przebywać na lądzie po zmroku. A w tej chwili w porcie nie stał ani jeden hyboryjski statek. Miasto ogarnął dziwny niepokój, budziły się dawne ambicje, słychać było szepty zrozumiałe tylko dla szepczących. Conan raczej przeczuwał to, niż rozumiał, dzięki swym wyostrzonym zmysłom barbarzyńcy.

Gdyby został zdemaskowany, czekał go okropny koniec. Jako cudzoziemiec zostałby po prostu

uśmiercony, lecz gdyby rozpoznano w nim Amrę, wodza korsarzy, który grasował u ich wybrzeży z ogniem i żelazem. . . Mimowolny dreszcz wstrząsnął szerokimi ramionami Conana. Nie obawiał się żadnego ludzkiego wroga ani śmierci od ostrza czy płomienia.

Jednak znalazł się w kraju czarnej magii i demonów. Powiadano, iż Stary Wąż — Set, dawno temu przegnany przez hyboryjskie narody, wciąż czai się tu w mroku tajemniczych świątyń, w których odprawiane są straszliwe i niepojęte rytuały.

Cymeryjczyk oddalił się już od nadbrzeżnych ulic i schodzących aż do wody szerokich stopni, wkraczając na długie, cieniste ulice centrum miasta. Nie znalazł tu scen typowych dla każdego hyboryjskiego grodu — świateł lamp i kaganków, w blasku których barwnie ubrani ludzie śmieją się, spacerując po trotuarach, ani otwartych sklepów i kramów wystawiających swe towary.

Tu kramy zamykano o zmierzchu. Ulice oświetlały jedynie dymiące pochodnie, zatknięte w dużych odstępach. Spotykał stosunkowo niewielu przechodniów; szli spiesznie i w milczeniu, coraz mniej liczni w miarę upływu czasu. Sceneria wydawała się Conanowi ponura i niesamowita; milczenie tych ludzi, ich ukradkowy pośpiech, wielkie mury z czarnych gładów wznoszące się po obu stronach ulic. Ponura masywność stygijskiej architektury przygnębiała i przytłaczała.

Nieliczne światła paliły się niemal wyłącznie w górnych częściach budynków. Cymeryjczyk wiedział, że większość mieszkańców wyleguje się teraz na dachach domów, pod gwiazdami, pośród palm sztucznych ogrodów. Skądś dobiegał pomruk upiornej muzyki. Od czasu do czasu po kamiennych płytach zadudnił rydwan z brązu i mignęła twarz orlonosego szlachcica, owiniętego jedwabną opończą, o czarnych włosach spiętych złotą opaską z emblematem prężącego się węża; przez moment można było dostrzec czarnoskórego, nagiego woźnicę, który zapierając się muskularnymi nogami, powoził zaprzęgiem dzikich, stygijskich rumaków.

Pieszko po ulicach wędrowali ludzie z gminu, niewolnicy, handlarze, ulicznice lub robotnicy, ale i tych Conan spotykał coraz rzadziej. Szedł w kierunku świątyni Seta, gdzie miał nadzieję odnaleźć kapłana, którego ścigał. Sądził, że zdoła rozpoznać Thutothmesa, choć widział go zaledwie przez chwilę w półmroku messantiańskiego zaułka. Miał pewność, iż człowiekiem, którego wtedy zauważył, był kapłan. Tylko okultyści należący do najwyższych kręgów ohydneho Czarnego Kręgu posiadali moc zabijania dotknięciem ręki i tylko jeden z nich ośmieliłby się przeciwstawić Toth–Amonowi, który dla zachodniego świata był przerażającą postacią z legend.

Ulica poszerzała się i Conan pojął, że wkracza do tej części miasta, gdzie znajdowały się świątynie. Ogromne budowle, nieopisane groźne w nikłym świetle pochodni, wznosiły swe czarne kontury ku gwiazdom. Nagle usłyszał krzyk po drugiej stronie ulicy, nieco z przodu.

Krzyczała kobieta — naga kurtyzana, która nosiła na głowie zdradzający jej profesję stroik z piór. Przyciskała się do ściany, patrząc na coś, czego Cymeryjczyk nie mógł jeszcze dostrzec.

Słyszac jej krzyk, nieliczni przechodnie stanęli jak wryci. W tej samej chwili Conan uświadomił sobie, że coś przed nim pełźnie. Nagle zza rogu ciemnego budynku, do którego się zbliżał, wychynął ohydny, trójkątny łeb, a za nim, zwój za zwojem, falujące i matowo błyszczące cielsko.

Barbarzyńca wzdrygnął się na wspomnienie zasłyszanych opowieści — o węzach

poświęconych bogu Stygii, Setowi, który podobno sam był gadem. Takie potwory jak ten trzymano w świątyniach Seta, a gdy zgłodniały, pozwalano im pełzać po ulicach w poszukiwaniu żeru. Ich upiorne uczty traktowano jako ofiary składane łuskowatemu bogu.

Stygijczycy znajdujący się w zasięgu wzroku Conana, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, padli na kolana, biernie oczekując swego losu. Wielki wąż wybierze jednego, owinie go swymi splotami, zmiażdży na krwawą miazgę i połknie, jak grzechotnik połyka mysz.

Pozostali przeżyją. Taka jest wola bogów.

Lecz nie Conana. Pyton pełznął ku niemu, zapewne dlatego, że Cymeryjczyk jako jedyny człowiek na ulicy nie klęczał, lecz stał. Barbarzyńca chwycił za rękę ukrytego pod płaszczem sztyletu z nadzieją, że oślizgły gad ominie go. Jednak wąż zatrzymał się przed nim i wyprężył straszliwie w migoczącym świetle, wysuwając i chowając rozwidlony język, a jego zimne oczy błyszczały odwiecznym okrucieństwem gadziego rodu. Wygiął kark, lecz nim zdążył rzucić się na Conana, ten wyrwał sztylet spod płaszcza i zadał błyskawiczny cios.

Szerokie ostrze rozcięło klinowaty łeb i wbiło się głęboko w gruby kark.

Conan wyrwał ciężki nóż i odskoczył, a olbrzymie cielsko zwijało się, prężyło i gięło w skurczach agonii. Stał, przez moment spoglądając na to z chorobliwą ciekawością, i słysząc jedynie świst i głuchy odgłos walącego o kamienie gadziego ogona.

Nagle pośród grupki porażonych wyznawców Seta rozległ się krzyk:

— Błuznierca! Zabił świętego syna Seta! Śmierć mu! Śmierć! Śmierć!

Wokół niego świsnęły kamienie i rozwścieczeni Stygijczycy z histerycznym wrzaskiem rzucili się na Conana, zaś z okolicznych domów wybiegali mieszkańcy, podejmując okrzyk.

Klnąc, Conan zawrócił i śmignął w czarny wylot zaułka. Biegł niemal na oślep, słysząc za sobą tupot bosych stóp na kamiennych płytach i mściwe wrzaski goniących, odbijające się echem od wysokich murów. Nagle lewą ręką natrafił na otwór w ścianie; ostro skręcił w następną, węższą uliczkę. Po obu jej stronach piętrzyły się pionowe, czarne, kamienne ściany.

Wysoko w górze dojrzał bladą wstęgę gwiazd. Wiedział, że te gigantyczne mury są ścianami świątyni. Za plecami usłyszał tumult pogoni mijającej wylot uliczki. Krzyki ucichły w oddali.

W ciemnościach przegapili wąski zaułek i pognali dalej. On również ruszył wprost przed siebie, choć na myśl o spotkaniu z następnym „synem Seta” włos zjeżył mu się na głowie.

Nagle gdzieś przed sobą dostrzegł przesuwający się blask, jak ognik świetlika.

Cymeryjczyk stanął, przyciskając się do ściany i chwytając za nóż. Wiedział, co to takiego: nadchodził człowiek z pochodnią. Po chwili był już tak blisko, że barbarzyńca mógł dojrzeć zarys

ciemnej dłoni dzierzącej żagiew i niewyraźny owal twarzy. Jeszcze kilka kroków i tamten go zauważy. Król sprężył się do skoku... Lecz nadchodzący przystanął. Blask pochodni ukazał zarys drzwi, przy których manipulował nieznajomy. Otworzył je, wszedł — i zaułek znów pograżył się w ciemnościach. Ta skradająca się postać, wchodząca po ciemku bocznymi drzwiami, śmiała w sobie coś złowrogiego; może to kapłan wracał z jakiejś tajemnej misji?

Conan po omacku ruszył do drzwi. Jeśli jeden człowiek nadszedł uliczką, w każdej chwili mogą pojawić się tu inni. Gdyby wrócił tą samą drogą, którą tu przybył, natknąłby się na ścigający go tłum. Tłuszcza lada chwila mogła wrócić, odnaleźć boczną uliczkę i wpaść w nią z wyciem. Cymeryjczyk czuł się osaczony przez te strome, niedostępne mury i marzył o ucieczce, choćby musiał przy tym wdrzeć się do jakiegoś nieznanego budynku.

Ciężkie drzwi z brązu nie były zaryglowane. Ustąpiły pod naciskiem dłoni i Conan zerknął przez szparę. Zaglądał do wielkiej kwadratowej sali z ogromnych czarnych głazów. W

wykuszu płonęła pochodnia. Komnata była pusta. Prześlizgnął się przez próg i zamknął za sobą drzwi.

Jego obute w sandały stopy nie czyniły najłżejszego hałasu, gdy przechodził po marmurowej posadzce. Następne drzwi, z tekowego drewna, były lekko uchylone, i przemknąwszy przez nie z nożem w ręku wkroczył do wielkiego, mrocznego pomieszczenia, którego ginąca gdzieś w górze kopuła była jedynie ciemniejszą plamą u kresu czarnych ścian.

Łukowate przejścia wiodły ze wszystkich stron do wielkiej, cichej sali. Oświetlały ją dziwne lampy z brązu, rzucające łagodną, niesamowitą poświatę. Po drugiej stronie tego ogromnego pomieszczenia widać było szerokie, pozbawione balustrady stopnie z czarnego marmuru, wiodące wysoko w ciemność, zaś wokół, jak mroczne skalne półki, biegły cieniste galerie.

Conan zadrżał; znalazł się w świątyni jakiegoś stygijskiego bóstwa — jeśli nie samego Seta, to niewiele mniej odeń okropnego. I nie brakowało tu gospodarza. W środku ogromnej nawy stał czarny, kamienny ołtarz, masywny i pozbawiony ozdób czy płaskorzeźb, a na nim spoczywał jeden ze świętych gadów, połyskując w blasku lamp różnobarwnymi łuskami. Wąż nie ruszał się i Conan przypomniał sobie opowieści, że kapłani często trzymają te stworzenia w uspieniu. Zrobił kilka niepewnych kroków naprzód, lecz nagle cofnął się, nie do komnaty, którą przed chwilą opuścił, lecz do zasłoniętej aksamitną kotarą niszy. Gdzieś w pobliżu usłyszał ciche stąpanie.

Z jednego z mrocznych podcieni wyłoniła się wysoka, mocno zbudowana postać w

sandałach, jedwabnej przepasce biodrowej i narzuconym na ramiona płaszczu. Głowę i twarz nadchodzącego kryła szkaradna maska, o pół człowieczych, pół zwierzęcych rysach, ze szczytu której sphywał pióropusz ze strusich piór.

Podczas niektórych ceremonii stygijscy kapłani występowali w maskach. Conan miał

nadzieję, że nie zostanie odkryty, lecz jakiś szósty zmysł ostrzegł Stygijczyka. W połowie drogi do

schodów,” ku którym najwidoczniej zmierzał, niespodziewanie zawrócił i ruszył w kierunku niszy. Gdy odsunął szarpnięciem aksamitną zasłonę, z głębi wystrzeliła dłoń, zdusiła rodzący się w gardle okrzyk i wciągnęła do alkowy, gdzie przebił go sztylet.

Kolejny krok Conana stanowił logiczne następstwo poprzednich. Ściągnął zabitemu szczerzącą kły maskę i założył na swoją głowę. Opończą rybaka nakrył zwłoki kapłana, które ukrył za kotarą, a na ramiona zarzucił sobie płaszcz zabitego. Los zesłał mu przebranie. Całe Khemi mogło już szukać świętokradcy, który śmiał bronić się przed świętym wężem; lecz któż szukałby go pod maską kapłana?

Śmiało wyszedł z alkowy i skierował się ku pierwszemu lepszymu przejściu; jednak nie zdążył zrobić pół tuzina kroków, gdy znów obrócił się na pięcie, wyostrzonymi zmysłami szukając źródła zagrożenia.

W dół schodów kroczyła grupka postaci — ubranych tak samo jak on. Conan zawahał się, zaskoczony na otwartej przestrzeni, lecz stał bez ruchu, ufając swemu przebraniu, choć zimny pot wystąpił mu na czoło i dłonie. Nie padło ani jedno słowo. Zamaskowani zeszli niczym widma do wielkiej sali i przeszli obok barbarzyńcy, kierując się do czarnych drzwi.

Ich przywódca niósł hebanową laskę z zatkniętą na niej wyszczerzoną czaszką; Conan zrozumiał, iż jest to jedna z tych rytualnych procesji, niepojętych dla cudzoziemca, lecz odgrywających ważną — a czasem złowrogą — rolę w stygijskiej religii. Ostatnia z postaci lekko — odwróciła głowę do nieruchomego Cymeryjczyka, jakby oczekując, że ten pójdzie za nimi. Nie robiąc tego, niechybnie obudziłby podejrzania. Conan ruszył za ostatnim z grupy i dostosował swój krok do miarowego tempa ich marszu.

Przeszli długim, ciemnym, łukowato sklepionym korytarzem, w którym — co barbarzyńca zauważył z niemiłym dreszczem — czaszka roztaczała fosforyczny blask. Ogarnęła go nierozumna, zwierzęca panika, w przyływie której miał ochotę chwycić za nóż i rznąć na oślep te niesamowite postacie albo uciekać ile sił w nogach z tej ponurej, mrocznej świątyni.

Jednak trzymał nerwy na wodzy, walcząc z potwornymi przeczuciami, które rodziły się w głębi podświadomości i zaludniały mrok hordami koszmarnych widm; aż w końcu z trudem powstrzymał westchnienie ulgi, gdy przeszli przez dwuskrzydłowe wrota wysokości trzech mężczyzn i wyszli na otwartą przestrzeń.

Conan zastanawiał się, czy nie zniknąć w jakimś ciemnym zaułku, lecz wahał się, niepewny, i tak kroczyli cicho długą, ciemną ulicą, a nieliczni napotykanii przechodnie odwracali głowy i umykali. Procesja szła środkiem ulicy, z daleka od murów; gdyby odwrócił

się i skoczył w boczną uliczkę, natychmiast zwróciłby na siebie uwagę. Gdy pieklił się i kłął

w duchu, dotarli do niskiej bramy w południowym murze i wyszli z miasta. Przed nimi i wokół nich rozciągały się skupiska niskich lepianek o płaskich dachach i palmowe gaje, nierzeczywiste w świetle gwiazd. Teraz albo nigdy, pomyślał Conan, czas rozstać się z tym milczącym towarzystwem.

Jednak gdy tylko znaleźli się za bramą, kapłani przerwali milczenie i zaczęli z ożywieniem poszeptywać między sobą.

Porzucili miarowy, rytualny krok, ich przywódca bezceremonialnie wetknął pod pachę laskę z czaszką i beładną kupą szybko ruszyli naprzód. A Conan pospieszył z nimi, gdyż z ich poszeptywań wyłowił jedno słowo, które go zelektryzowało. Brzmiało ono: Thutothmes!

XVIII

„JESTEM KOBIETĄ, KTÓRA NIGDY NIE UMARŁA”

Płonący z ciekawości Conan spoglądał na swych zamaskowanych kompanów. Jednym z nich musiał być Thutoth — mes albo też wyprawa miała na celu spotkanie z poszukiwanym przez barbarzyńcę kapłanem. Cymeryjczyk pojął, dokąd zmierzają, gdy za palmami dostrzegł

trójkątny masyw rysujący się na tle nocnego nieba.

Minęli już pas chat i gajów, a jeśli nawet ktokolwiek ich zauważył, to starał się samemu nie pokazywać. Chaty były ciemne. Za nimi czarne wieże Khemi wznosiły się posępnie ku gwiazdom, które odbijały się w wodach portu; z przodu rozpościerała się pogrążona w mroku pustynia; gdzieś wrzaskliwie zaszczekał szakał. Sandały szybko kroczących kapłanów bezgłośnie deptały piach. Niczym duchy sunęli ku wielkiej piramidzie wyrastającej na pustyni. Najlżejszy dźwięk nie przerywał panującej wokół ciszy.

Serce Conana uderzyło mocniej na widok ogromnego czarnego trójkąta, a niecierpliwość, z jaką wyczekiwał spotkania z Thutothmesem, bez względu na ewentualny rezultat, nie była całkowicie wolna od lęku przed nieznanym. Żaden człowiek nie zbliżyłby się bez obawy do jednej z tych ponurych budowli. Sama ich nazwa była wśród ludów północy symbolem potworności, a legendy napomykały, iż nie zbudowali ich Stygijczycy i że stały tu już w tych niepamiętnych czasach, gdy ten ciemnoskóry lud przybył do krainy nad wielką rzeką.

Gdy zbliżyli się do piramidy, Conan dostrzegł u jej podstawy nikłą poświatę, która niebawem okazała się wejściem strzeżonym przez stojące po obu stronach, zadumane lwy o głowach kobiet — tajemnicze, nieprzeniknione koszmary ucieleśnione w kamieniu.

Przywódca grupy skierował się wprost do drzwi, w głębi których Conan dostrzegł niewyraźną postać.

Kapłan przystanął na moment przed czekającym, a potem j zniknął w ciemnym wnętrzu, zaś pozostali podążyli za nim.

Każdy z zamaskowanych kapłanów przechodzących przez mroczny portal zatrzymywał się przed tajemniczym strażnikiem, przy czym następowała między nimi wymiana jakichś słów lub gestów; jakich, Conan nie zdołał stwierdzić. Widząc to, Cymeryjczyk celowo zwlekał; schylał się i udawał, że poprawia rzemień u sandała. Dopiero gdy ostatnia z zamaskowanych postaci zniknęła w środku, wyprostował się i podszedł do portalu.

Przypomniawszy sobie zasłyszane opowieści, z niepokojem zastanawiał się, czy strażnik świątyni jest człowiekiem. Jednak te wątpliwości szybko się rozwiały. Mały kaganek z brązu pałący się tuż przy wejściu oświetlał wylot długiego, wąskiego korytarza, który wiódł w ciemność, oraz stojącego tam mężczyznę spowitego w obszerną, czarną oponcę. W pobliżu nie było widać nikogo innego. Najwidoczniej kapłani poszli korytarzem.

Znad fałd płaszcza spowijającego dolną część twarzy Stygijczyk przeszył króla

świdrującym spojrzeniem. Lewą ręką wykonał dziwny gest. Conan spróbował odpowiedzieć tym samym. Jednak najwidoczniej oczekiwano innego odzewu; prawica Stygijczyka

wyskoczyła spod płaszcza, błysnęła stal i mordercze pchnięcie przeszłoby serce zwykłemu śmiertelnikowi.

Jednak tym razem kapłan miał do czynienia z człowiekiem, którego mięśnie miały sprężystość dzikiego kota. W tej samej chwili, gdy sztylet błysnął w półmroku, barbarzyńca lewą ręką złapał śniady przegub napastnika, a prawą, zaciśniętą w pięść, rąbnął Stygijczyka w szczękę. Głowa tamtego uderzyła o mur z głuchym trzaskiem rozbitej czaszki.

Conan przez moment stał nad zabitym, wyęzając słuch. Kaganek tlił się, rzucając wokół

niewyraźne cienie. Nic nie poruszyło się w ciemnościach, tylko gdzieś daleko w dole usłyszał

słaby, zduszony dźwięk gongu.

Cymeryjczyk pochylił się, zaciągnął ciało za ciężkie, otwarte do wewnątrz drzwi z brązu, a potem ostrożnie, lecz szybko ruszył ku przeznaczeniu, jakiego nawet nie próbował

odgadywać.

Nie uszedł daleko, gdy stanął, zbity z tropu. Korytarz rozwidłał się, a on nie miał pojęcia, którym odgałęzieniem poszli kapłani. Na chybił trafił wybrał lewe. Podłoga lekko opadała w dół i była wyslizgana, jakby przez wiele stóp. Tu i ówdzie mały kaganek rzucał nikły blask.

Conan z niepokojem zastanawiał się, w jakim celu i w jakiej zapomnianej epoce wzniesiono te kolosalne budowle. Ta kraina była stara, bardzo stara. Nikt nie wiedział, od ilu wieków te czarne świątynie Stygii spoglądają w gwiazdy.

Po prawej i lewej stronie od czasu do czasu otwierały się jakieś przejścia, lecz Conan trzymał się głównego korytarza, choć narastało w nim przekonanie, że wybrał zły kierunek.

Powinien był już dogonić kapłanów, nawet jeśli znacznie go wyprzedzali. Zaczynał się denerwować. Wokół panowała niemal namacalna cisza, a mimo to miał wrażenie, że nie jest tu sam.

Niejednokrotnie, mijając mroczne przejście, zdawało mu się, że spoglądają nań niewidzialne oczy. Przystanął, niemal zdecydowany wrócić do pierwszego rozwidlenia. Nagle błyskawicznie obrócił się na pięcie, z nożem uniesionym do ciosu i nerwami napiętymi jak postronki.

U wylotu bocznego tunelu stała jakaś dziewczyna, bacznie przypatrując się barbarzyńcy. Jej skóra o barwie kości słoniowej świadczyła o tym, że dziewczyna pochodzi z jakiegoś starego, szlacheckiego rodu; jak wszystkie przedstawicielki stygijskiej arystokracji była wysoka, gibka, cudownie zbudowana, o włosach jak wzburzona czarna fala, pośród której lśnił wpięty rubin. Oprócz aksamitnych sandałów i szerokiej, nabijanej klejnotami przepaski biodrowej dziewczyna nie miała nic na sobie.

— Co tu robisz? — spytała.

Odpowiedź zdradziłaby go jako cudzoziemca. Stał bez ruchu — posepna, czarna postać w ohydnej masce z chwiejącym się pióropuszem. Czujnym spojrzeniem obrzucił mroczny korytarz za plecami dziewczyny, stwierdzając, że jest pusty. Jednak w zasięgu jej głosu mogły czaić się całe hordy wojowników.

Podeszła do niego — wprawdzie bez obawy, lecz patrząc podejrzliwie.

— Nie jesteś kapłanem — powiedziała. — Jesteś wojownikiem. To oczywiste, choć nosisz maskę. Między tobą a kapłanem jest taka różnica jak między mężczyzną a kobietą. Na Seta!

— zawołała nagle, przystając i szeroko otwierając oczy. — Sądzę, że nie jesteś nawet Stygijczykiem!

Ruchem zbyt szybkim, aby można było uchwycić go wzrokiem, jego ręka delikatnie zacisnęła się na jej kształtnej szyi.

— Ani mru-mru! — szepnął.

Gładkie, białe ciało było zimne jak marmur, choć w czarnych, wielkich, patrzących na niego oczach nie dostrzegł cienia strachu.

— Nie obawiaj się — odparła. — Nie zdradzę cię. Czyś jednak szalony, cudzoziemcze, że wchodzisz do zakazanej świątyni Seta?

— Szukam kapłana Thutothmesa — odrzekł. — Czy on jest w świątyni?

— Czemu go szukasz? — odpowiedziała pytaniem.

— Ma coś, co mi skradziono.

— Zaprowadzę cię do niego — zaproponowała tak ochoczo, że natychmiast obudziły się w nim podejrzenia.

— Nie igraj ze mną, dziewczyno — warknął.

— Nie igram z tobą. Nie darzę Thutothmesa miłością. Zawahał się, po czym podjął decyzję; w końcu tak miał dziewczynę w swej mocy, jak ona jego.

— Idź obok mnie — rozkazał, puszczając jej gardło i łapiąc za ramię. — Tylko uważaj!

Jeśli zrobisz jakiś podejrzaný ruch...

Poprowadziła go schodzącym w dół korytarzem, niżej i niżej, aż skończyły się kaganki i musiał wędrować po omacku, raczej wyczuwając niż widząc kobietę u swego boku. Raz, g«

coś do niej powiedział, spojrzała na niego i ze zdumieniem dostrzegł, iż jej oczy płoną w mroku

złocistym blaskiem. W j go duszy obudziły się wątpliwości i okropne podejrzenia, lei szedł dalej labiryntem ciemnych korytarzy, w którym nawet jego barbarzyńskie wyczucie kierunku nie przydawało się — i nic. W myślach wyzywał się od głupców za to, że pozwolił wciągnąć się w pułapkę, ale było już za późno, żeby zawrócić. Znów wyczuwał życie i ruch w otaczających go ciemnościach, czuł niebezpieczeństwo i żądze płonące z niecierpliwością w mroku. O ile nie oszukał go słuch, złowił uchem nikł szmer, który ucichł w oddali na cichy rozkaz dziewczyny.

Wreszcie doprowadziła go do komnaty oświetlonej upiornym blaskiem czarnych świec, płonących w dziwnym, siedmioramiennym kandelabrze. Wiedział, że znaleźli się głęboko pod ziemią. Komnata była kwadratowa, o ścianach i sklepieni z polerowanego, czarnego marmuru, umeblowana na dawną stygijską modłę; stało w niej hebanowe łóżko okryte czarną aksamitną narzutą i rzeźbiony sarkofag na kamiennym postumencie.

Conan stał wyczekująco, spoglądając na liczne łukowate sklepienie drzwi, prowadzące do komnaty. Jednak dziewczyna najwidoczniej nie zamierzała kontynuować wędrówki. Z koci gracją wyciągnęła się na łóżku, splótła palce na karku i spoglądała na króla spod długich, ciężkich rzęs.

— No i co? — spytał niecierpliwie. — Co robisz? Gdzie Thutothmes?

— Nie ma pośpiechu — odparła leniwie. — Czym jest godzina lub dzień, rok czy stulecie?

Zdejm maskę. Niech ujrzę twoją twarz.

Z pomrukiem irytacji Conan zdjął ciężką maskę, a dziewczyna aprobująco kiwnęła głową, widząc jego poznaną bliznami śniadą twarz i błyszczące oczy.

— Jest w tobie siła — wielka siła. Mógłbyś udusić byka.

Narastały w nim podejrzenia; z dłonią na rękojeści noża niespokojnie przemierzał komnatę, zaglądając w każde łukowate przejście.

— Jeśli zwabiłaś mnie w pułapkę — rzekł — nie ujdiesz z życiem, żeby cieszyć się swym uczynkiem. Zejdiesz z tego łóżka i zrobisz, co obiecałaś, czy mam cię...

Nagle umilkł. Spoglądał na sarkofag, na którym ze zdumiewającym realizmem dawno zapomnianego kunsztu wyrzeźbiono podobiznę jakiejś kobiety. Wyrzeźbiony w kości słoniowej wizerunek miał w sobie coś niepokojąco znajomego i Conan doznał wstrząsu, gdy wreszcie, zdał sobie sprawę z bliźniaczego podobieństwa do twarzy dziewczyny, która leżała na hebanowym łóżku. Mógłby to być jej portret, gdyby nie to, że sarkofag liczył sobie co najmniej kilkaset lat. Na lakierowanym wieku widniały starożytne hieroglify; przeszukawszy strzępy wiedzy, nagromadzone w pamięci podczas pełnego przygód życia, Conan

przeliterował i rzekł głośno:

— Akivasha!

— Słyszałeś o księżniczce Akivashy? — spytała.

— A któż nie słyszał! — odrzekł.

Imię tej starożytnej, pięknej i diabolicznej księżniczki wciąż żyło w pieśniach i legendach, choć minęło już dziesięć tysięcy lat, od kiedy ta córka Tuthamona wyprawiała krwawe biesiady w czarnych komnatach prastarego Luxuru.

— Jedynym jej grzechem było to, że kochała życie we wszystkich jego znaczeniach —

powiedziała Stygijka. — Aby zdobyć życie, kusiła śmierć. Nie mogła znieść myśli o tym, że zestarzeje się, pomarszczy i skurczy, aby w końcu umrzeć jako stara wiedźma. Uwodziła Mrok jak kochanka i otrzymała odeń dar życia — nie takiego, jakie znają śmiertelnicy, lecz takiego, co nie zna starzenia się i śmierci. Weszła między cienie, aby oszukać starość i śmierć...

Conan mierzył ją spojrzeniem oczu, które raptownie zmiękły się w płonące szparki. Nagle obrócił się i zerwał wieko sarkofagu. Trumna była pusta. Dziewczyna za plecami króla wybuchnęła mrozącym krew w żyłach śmiechem. Odwrócił się ku niej, czując, jak włosy jeżą mu się na karku.

— To ty jesteś Akivasha! — zgrzytnął zębami.

Zaśmiała się i odrzuciła w tył czarne włosy, zmysłowo prężąc ramiona.

— Ja jestem Akivasha! Jestem kobietą, która nigdy nie umarła i nigdy się nie zestarzała!

Która wedle głupców w pełnym rozkwicie młodości i urody została uniesiona z ziemi przez bogów, aby królować na wieki w jakichś niebieskich sferach! O nie, to w mroku śmiertelnik znajduje nieśmiertelność! Umarłam dziesięć tysięcy lat temu, aby żyć wiecznie! Daj mi swe usta, siłaczu!

Zwinnie powstawszy, podbiegła do barbarzyńcy, wspięła się na palce i zarzuciła mu ramiona na szyję. Chmurnie spoglądając na jej uniesioną, piękną twarzyczkę, czuł potworną fascynację i mrozący krew w żyłach strach.

— Kochaj mnie! — szepnęła, odrzucając głowę w tył, i rozchylając usta. — Daj mi swą krew dla odnowienia j mej młodości i unieśmiertelnienia wiecznego życia! Ciebie, też uczynię nieśmiertelnym. Nauczę cię mądrości wszystkich wieków, wszystkich tajemnic, jakie przez eony kryły siei w ciemnościach pod tymi czarnymi świątyniami. Uczynię cię królem tej czarnej hordy, co biesiaduje wśród starożytnych grobowców, gdy noc spowija pustynię i nietoperze śmigają po rozświetlonym księżycem niebie. Mam dość kapłanów i magów, i wrzeszczących niewolnic wleczonych przez, portale śmierci. Pożądaj mężczyzny. Kochaj mnie, barbarzyńco.

Przycisnęła ciemną głowę do jego potężnej piersi i nagle poczuł ostre ukłucie u nasady szyi.

Z przekleństwem oderwali ją od siebie i cisnął na łożo.

— Piekielna wampirzyco!

Z rąk na szyi sączyła się strużka krwi.

Usiadła na łożu jak wąż szykujący się do skoku, a jej wielkie oczy płonęły żółtym, piekielnym blaskiem. Ściągnięte wargi ukazały białe, ostre kły.

— Głupcze! — wrzasnęła. — Myślisz, że zdołasz mi umknąć? Będiesz żył i umrzesz w ciemnościach. Sprowadziłam cię głęboko pod świątynię. Sam nigdy nie odnajdziesz drogi.

Nie przedrzesz się przez tych, co strzegą tuneli. Gdyby nie ja, już dawno znalazłbyś się w brzuchach synów Seta. Głupcze, jeszcze napiję się twojej krwi!

— Trzymaj się z daleka albo rozplątam cię na dwoje — mruknął, wstrząsając się z obrzydzenia. — Może jesteś nieśmiertelna, ale stal może cię okaleczyć.

Gdy cofał się do drzwi, przez które tu wszedł, nagle zgasły światła. Wszystkie świece zgasły jednocześnie; nie wiedział, jak to się stało, gdyż Akavisha nawet ich nie dotknęła. Za plecami słyszał drwiący śmiech wampirzycy, jadownicie słodki jak dźwięk piekielnych lutni; bliski paniki, oblał się potem, szukając po omacku wyjścia. Palcami natrafił na otwór drzwi i skoczył w nie jak oparzony. Nie wiedział, czy są to te, którymi tu przyszedł, ale nie dbał o to.

Myślał tylko o jednym — by wydostać się z tej nawiedzanej komnaty, od tyłu wieków zamieszkaną przez tę piękną, odrażającą bestię, żywą i martwą zarazem.

Wędrówka przez ciemne, kręte tunele była nie kończącym się koszmarem. Za plecami i obok siebie słyszał ciche odgłosy pełzania, a raz echo tego słodkiego, piekielnego śmiechu, jaki słyszał w komnacie Akivashy. Ciął wściekle, słysząc lub wyobrażając sobie, że słyszy jakiś dźwięk czy ruch w otaczającym go mroku i raz jego miecz napotkał miękką, podatną materię, zapewne pajęczynę. Miał okropne wrażenie, że z nim igrają, wabiąc głębiej i głębiej w otchłań ostatecznej nocy, gdzie rozprawią się z nim kły i szpony jakiegoś demonicznego potwora.

Budzący się lęk zagłuszała mdląca odraza wywołana straszliwym odkryciem. Legenda o Akivashy była tak stara, że w złowieszczej treści przewijał się także wątek piękna, idealizmu oraz wiecznej młodości. Dla wielu marzycieli, poetów i kochanków Akivasha nie była jedynie występłą księżniczką ze stygijskiej legendy, ale również symbolem wiecznej młodości i urody, jaśniejącym na wieki w jakimś odległym imperium bogów. On poznał

odrażającą rzeczywistość. Źródłem tego wiecznego życia była plugawa perwersja. Fizyczny wstręt mieszał się z żalem po utracie marzenia o ludzkiej doskonałości, której pozłota okazywała się brudem i kosmicznym plugastwem. Narastało w nim poczucie daremności, niejasny lęk przed fałszem wszelkich ludzkich ideałów i marzeń.

Teraz wiedział już, że słuch nie płatał mu figłów. Ścigano go, a prześladowcy znajdowali się coraz bliżej. W mroku rozlegały się szmery i szurania nie wywołane ani ludzką stopą, ani łapą zwykłego zwierzęcia. Może jednak w tych podziemiach żyły inne bestie. Były już tuż za nim. Odwrócił się, stawiając im czoła, choć niczego nie widział, i cofając się powoli: Nagle odgłosy zamilkły, nim jeszcze raz obejrzał się za siebie i gdzieś w głębi długiego korytarza dojrzał słabą poświatę.

XIX

W SALI UMARŁYCH

Conan ostrożnie posuwał się w kierunku dostrzeżonego światła, daremnie nasłuchując odgłosów pogoni, choć czuł, iż mrok za nim jest brzemienno rozumnym życiem.

Źródło światła nie było nieruchome; poruszało się, groteskowo podskakując. Nagle zobaczył je wyraźnie. Tunel, którym podążał, w pewnej odległości przed nim przecinał inny, szerszy korytarz. Kroczył nim dziwny pochód — czterej wysocy, chudzi mężczyźni w czarnych opończach, zakapturzeni i podpierający się kosturami. Idący na przedzie trzymał

nad głową pochodnię płonąca dziwnie równym płomieniem. Jak duchy przecięli pole widzenia barbarzyńcy i zniknęli, zostawiając po sobie jedynie stopniowo słabnącą poświatę.

Wyglądali niesamowicie. Nie byli Stygijczykami ani przedstawicielami jakiegokolwiek znanej Conanowi rasy. Wątpił, czy w ogóle byli ludźmi. Wyglądali jak upiory, skradające się bezszelestnie po tych nawiedzonych podziemiach.

Jednak nic już nie mogło pogorszyć jego sytuacji. Zanim daleka poświata zupełnie zgasła, a nieludzczy prześladowcy za jego plecami podjęli pościg, Conan już gnał korytarzem. Wpadł

do następnego tunelu i zobaczył niknącą w oddali upiorną procesję, kroczącą w kręgu światła.

Bezszelestnie ruszył za nieznanymi, lecz zaraz przywarł do ściany, gdy zobaczył, że zatrzymują się i zbijają w gromadkę, jakby nad czymś radzili. Odwrócili się, jakby chcąc wracać tą samą drogą, a Conan wślizgnął się w najbliższe łukowe przejście. Macając w ciemności, do której tak już się przyzwyczał, że niemal przenikał ją wzrokiem, odkrył, iż ten tunel nie biegnie prosto, lecz wiję się meandrami. Barbarzyńca ukrył się za pierwszym zakrętem, gdzie nie mógł sięgnąć krąg światła niesionego przez nadchodzących

nieznajomych.

Jednak stojąc tam, Conan usłyszał dobiegający gdzieś z tyłu cichy szum, przypominający odległy gwar ludzkich głosów. Zrobiwszy kilka kroków w głąb tunelu, utwierdził się w tym przekonaniu. Zrzucił pierwotny zamiar podążania za niesamowitymi wędrowcami,

dokądkolwiek zmierzali, i ruszył w kierunku źródła dźwięku.

W końcu dostrzegł przed sobą odbłask światła i skręciwszy w korytarz, z którego się ono sączyło, ujrzał na jego końcu słabo oświetlone, szerokie drzwi. Po lewej pięty się w górę wąskie kamienne stopnie; wrodzona ostrożność kazała Conanowi skręcić tam. Gwar, który słyszał, dobiegał z łukowatych drzwi.

W miarę, jak się wspinał, dźwięki w dole cichły i w końcu kolejne drzwi wyprowadziły go na rozległą otwartą przestrzeń wypełnioną upiornym promieniowaniem.

Znalazł się na ciemnej galerii, z której spoglądał na rozległą, wprost gigantyczną, słabo oświetloną salę. Była to Sala Umarłych, którą dane było widzieć niewielu ludziom prócz stygijskich kapłanów. Czarne ściany mieściły setki i tysiące rzeźbionych, malowanych sarkofagów. Każdy stał w osobnej niszy, których otwory piętrzyły się rząd za rzędem, niknąc w mroku pod sklepieniem. Tysiące rzeźbionych masek spoglądały beznamiętnie w dół, na grupkę pośrodku sali, błahą i znikomą wobec bezmiernych szeregów zmarłych.

Dziesięciu spośród tej grupy było kapłanami, a choć nie nosili już masek, Conan rozpoznał

w nich towarzyszy swej wędrowki do piramidy. Stali przed wysokim mężczyzną o orlich rysach twarzy, przy czarnym ołtarzu, na którym spoczywała mumia w gnijących bandażach.

Cały ołtarz zdawał się tonąć w żywym ogniu, który — pulsując i migocząc — słał drżące, złote płomienie na czarny kamień. Ta oślepiająca poświata emanowała z wielkiego klejnotu leżącego na ołtarzu i w jej odbiciu twarze kapłanów zdawały się szare jak popiół, trupie.

Patrząc na to, Conan poczuł brzemień wszystkich długich mil, wszystkich nieprzespanych nocy i męczących dni swej wyprawy, z trudem opanowując obłądną chęć skoczenia na milczących kapłanów, utorowania sobie drogi potężnymi ciosami noża i pochwycenia klejnotu napiętymi z pasji palcami. Jednak trzymał się w żelaznych karbach, przykucnąwszy w cieniu kamiennej balustrady. Jednym rzutem oka upewnił się, że z galerii wiodą na dół przytulone do ściany i na pół skryte w cieniu schody. Spojrzał w półmrok ogromnej sali, szukając innych kapłanów lub wyznawców, lecz dostrzegł tylko grupkę skupioną wokół ołtarza.

W ogromnej, pustej przestrzeni głos wysokiego przywódcy brzmiał dziwnie głucho i niesamowicie.

— ...I tak wieść dotarła na południe. Szeptał ją nocny wiatr, krakały o niej kruki w locie, a ponure nietoperze przekazywały ją sowom i zmijom czającym się w prastarych ruinach. Znał

ją wilkołak i wampir, i hebanowo czarne demony żerujące w nocy. Uśpiona Noc Świata poruszyła się i wstrząsnęła ciężką grzywą, zaś w głębi ciemności zadudniły bębny, a echa upiornych okrzyków przeraziły wieczornych wędrowców. Albowiem Serce Arymana

powróciło, aby wypełnić swe tajemnicze przeznaczenie. Nie pytajcie, w jaki sposób ja, Thutothmes z Khemi i Nocy, usłyszałem to słowo przed Thoth–Amonem, który mieni się księciem wszystkich magów. Są tajemnice nie przeznaczone nawet dla waszych uszu, a Thoth–Amon nie jest jedynym panem Czarnego Kręgu. Wiedziałem i ruszyłem na spotkanie Serca, gdy przybyło na południe. Wiodło mnie nieomylnie, niczym wielki magnes.

Wędrowało od śmierci do śmierci, płynęło rzeką ludzkiej krwi. Krew je żywi i krew przyciąga. Jego moc jest najsilniejsza, gdy zostaje przemocą wydarte właścicielowi, gdy trzymają je świeżo zbroczone ręce. Gdziekolwiek zabłyśnie, tryska posoka, chwieją się królestwa, a siły natury ogarnia chaos. I oto stoję tu, ja — pan Serca, a wezwałem w sekrecie was, mych wiernych akolitów, abyście dzielili ze mną czarne królestwo jutra. Dziś w nocy będziecie świadkami zerwania pętających nas łańcuchów Toth–Amona i narodzin nowego imperium. Kimże jestem, ja, Thutothmes, aby wiedzieć, jakie moce czają się w tych purpurowych głębiach? Serce kryje tajemnice zapomniane od trzech

tysięcy lat. Lecz ja je poznam. Oni mi powiedzą! Gestem wskazał rzędy milczących sarkofagów.

— Spójrzcie, jak śpią, patrząc przez swe rzeźbione maski! Królowie, królowe, generałowie, kapłani, czarnoksiężnicy, całe dynastie i arystokracja Stygii z minionych dziesięciu tysięcy lat! Dotkniecie Serca zbudzi ich z długiego snu. Długo, długo Serce biło i pulsowało w starożytnej Stygii. Tu przez wiele stuleci był jego dom, zanim powędrowało do Acheronu.

Starożytni znali wszystkie jego sekrety i wyjawią mi je, gdy jego czar wskrzesi ich, by dla mnie pracowali. Wskrzeszę ich, obudzę, posiadę zapomnianą mądrość, wiedzę zamkniętą w tych próchniejących czaszkach. Tajemnicą martwych zniewolimy żywych! Tak, królowie, wodzowie i czarnoksiężnicy pospołu będą naszymi pomocnikami i niewolnikami. Któż nam się oprze? Spójrzcie! Ten wyschnięty, skurczony kształt na ołtarzu był niegdyś Thothmekrim, arcykapłanem Seta, i umarł tutaj trzy tysiące lat temu. Należał do Czarnego Kręgu. Znał

Serce. Wyjawi nam jego moc.

Mówiąc to, podniósł wielki kamień, położył go na wyschniętej piersi mumii i unosząc rękę, rozpoczął zaklęcia. Jednak ich nie skończył. Zamarł z podniesioną dłonią i rozchyłonymi wargami, patrząc groźnie gdzieś za plecy kapłanów, którzy odwrócili się, aby przekonać się, na co spogląda.

Przez czarny łuk drzwi do wielkiej sali wkroczyły cztery wychudłe postacie w czarnych oponczach. Ich ocienione kapturami twarze były widoczne tylko jako niewyraźne, żółte owale.

— Kim jesteście? — zawołał Thuthmes głosem groźnym jak syk kobry. — Czyście szaleni, że wdzieracie się do świątyni Seta?

Najwyższy z przybyszów przemówił głosem bezbarwnym niczym dźwięk dzwonu khitajskiej świątyni.

— Ścigamy Conana z Akwilonii. ‘

— Nie ma go tu — odparł Thuthmes, dziwnie groźnym gestem, jak lampart, który ukazuje pazury, zrzucając płaszcz z ramion.

— Kłamiesz. Jest w tej świątyni. Idziemy za nim labiryntem korytarzy od trupa leżącego przy wiodących do piramidy drzwiach z brązu. Szliśmy jego krętym tropem, gdy natknęliśmy się na wasze zgromadzenie. Wnet znów podejmiemy pościg. Jednak najpierw dajcie nam Serce Arymana.

— Szaleństwo poprzedza zgubę — mruknął Thuthmes, przysuwając się do mówiącego.

Jego kapłani również zaczęli skradać się do cudzoziemców, lecz ci wydawali się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

— Któż mógłby spoglądać na nie bez pożądania? — rzekł żółtoskóry. — My w Khitaju słyszeliśmy o Sercu. Jego szkarłatne głębie kryją wspaniałości i przedziwne rojenia. Dajcie je nam, zanim was

zabijemy.

Z dzikim wrzaskiem jeden z kapłanów skoczył, unosząc sztylet do ciosu. Lecz nim zdołał go zadać, łuskowata laska śmignęła i dotknęła jego piersi; padł trupem jak rażony gromem. W następnej chwili Sala Umarłych stała się sceną makabrycznych i krwawych wydarzeń.

Zakrzywione noże błyskały, spływając krwią, a łuskowate kostury śmigały jak węże, a ilekroć dotknęły człowieka, ten padał z przeraźliwym wrzaskiem, nieżywy.

Jeszcze nim zadano pierwszy cios, Conan zerwał się i pognął schodami w dół. Widział tylko fragmenty krótkiej, straszliwej potyczki — zataczających się ludzi, zwartych w walce i broczących krwią; widział jednego z Khitajczyków, niemal porąbanego na kawałki, a jednak nadal trzymającego się na nogach i zadającego śmierć, który padł trupem, gdy Thutothmes uderzył go w pierś otwartą dłonią, choć wcześniej ostra stal nie starczyła, by przewyciężyć nieludzką żywotność żółtolicego.

Zanim pędzący co sił w nogach Conan zbiegł ze schodów, walka właściwie już się skończyła. Trzej Khitajczycy padli, powaleni i porąbani na kawałki, lecz ze Stygijczyków jedynie Thutothmes stał na własnych nogach.

Rzucił się na ostatniego Khitajczyka, niczym oręż unosząc pustą dłoń, czarną jak u Kusyty.

Jednak zanim zdążył uderzyć, śmignęła laska, zdając się wydłużać w dłoni wysokiego Khitajczyka. Jej koniec dotknął brzucha Thutothmesa, który zachwiał się; kostur uderzał raz po raz, aż kapłan zatoczył się i — padł martwy, a jego twarz nagle przybrała czarną barwę, taką samą jak jego zaczarowana dłoń.

Khitajczyk obrócił się do płonącego na piersi mumii klejnotu, lecz Conan był szybszy.

W pełnym napięcia milczeniu stanęli twarzą w twarz na pobojuwisku, pod kamiennym spojrzeniem wyrzeźbionych na sarkofagach oczu.

— Długo podążałem za tobą, o królu Akwilonii — powiedział spokojnie Khitajczyk. —

Wielką rzeką, przez góry, przez Poitain, Zingarę i Argos, wybrzeżem oceanu. Niełatwo było wpaść na twój trop w Tarantii, bowiem kapłani Asury są sprytni. Ślad urwał się w Zingarze, ale znaleźliśmy twój hełm w nadgranicznych lasach u podnóża wzgórz, gdzie walczyłeś z leśnymi gulami. O mało co, a zgubilibyśmy twój trop dzisiejszej nocy w tych labiryntach.

Conan pomyślał, że miał szczęście, opuszczając komnatę wampirzycy innym wejściem, niż został tam wprowadzony. Inaczej wpadłby na te żółte bestie, zamiast dostrzec je z daleka, gdy jak ludzkie psy gończe zwietrzyły jego trop, wiedzione swym niesamowitym darem.

Khitajczyk lekko pokręcił głową, jakby czytając w jego myślach.

— To bez znaczenia; długi szlak kończy się tutaj.

— Dlaczego mnie tropiliście? — spytał Conan, gotów do błyskawicznego skoku w dowolną stronę.

— Mieliliśmy dług do spłacenia — odparł tamten. — Przed tobą, który masz umrzeć, nie będę niczego ukrywał. Jesteśmy wasalami króla Akwilonii, Valeriusa. Służyliśmy mu od dawna, lecz teraz uwolniliśmy się od naszych powinności — moi bracia przez śmierć, a ja przez spełnienie obowiązku. Wrócę do Akwilonii z dwoma sercami: Sercem Arymana dla siebie i sercem Conana dla Valeriusa. Pocałunek tej laski wyciętej z żywego Drzewa Śmierci...

Kostur śmignął jak zmija, lecz cięcie Conanowego noża upредиło go. Laska upadła w dwóch wijących się połowach, a stal ponownie błysnęła jak promień światła i głowa Khitajczyka potoczyła się po posadzce.

Conan obrócił się na pięcie, wyciągając rękę po klejnot... I natychmiast cofnął się, ze zjeżonym włosiem i krwią zastygającą w żyłach.

Na ołtarzu nie było już bowiem wyschniętej, brązowej mumii. Kamień błyszczał na szerokiej piersi nagiego, żywego człowieka leżącego wśród strzępów gnijących bandaży.

Żywego? Conan nie miał pewności. Oczy tamtego były jak czarne, matowe szkło, pod którym tliły się niehumaniczne, ponure ognie.

Człowiek ten podniósł się powoli, trzymając klejnot w dłoni. Stał obok ołtarza — smagły, nagi, o twarzy jak wykutej z kamienia. Bez słowa wyciągnął do Conana dłoń, w której talizman pulsował niczym żywe serce. Król wziął kamień, mając niesamowite wrażenie, że przyjmuje dar od trupa. Domyślił się, że nie wypowiedziano odpowiednich zaklęć, nie zakończono rytuału — i życie niezupełnie wróciło do ciała.

— Kim jesteś? — spytał Cymeryjczyk.

Odpowiedział mu monotony bezbarwny głos, niczym kapanie kropel wody ze stalaktytów w podziemnych jaskiniach.

— Byłem Thothmekrim; jestem umarłym.

— No to wyprowadź mnie z tej przeklętej świątyni, dobrze?

Powolnym, miarowym krokiem zmarły podszedł w kierunku czarnego portalu. Conan

ruszył za nim. Obejrząwszy się za siebie, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem ogromną, mroczną salę, z jej rzędami sarkofagów oraz trupy leżące wokół ołtarza; głowa Khitajczyka, którego zabił, wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w cienie pod sklepieniem.

Klejnot oświetlał czarne tunele swym blaskiem niczym czarodziejska lampa, roniąca złote krople. Raz Conan dostrzegł w ciemnościach błysk alabastrowego ciała i domyślił się, że to wampirzyca zwana Akivashą cofnęła się przed lśnieniem Serca; a z nią i inne, mniej podobne do człowieka stworzenia czmychnęły, roztopiając się w mroku.

Zmarły kroczył wprost przed siebie, nie oglądając się na boki, krokiem jednostajnym jak nadejście śmierci. Zimny pot oblał całe ciało Conana. Dręczyły go wątpliwości. Skąd mógł

wiedzieć, czy ta straszliwa postać z przeszłości prowadzi go na wolność? Jednak zdawał też sobie sprawę z tego, iż sam nigdy nie wydostałby się z labiryntu zaczarowanych korytarzy i tuneli. Podążał więc za swym okropnym przewodnikiem przez mrok zalegający wokół nich i rojący się od pomykających koszmarnych stworów, które pierzchały przed oślepiającym blaskiem Serca.

Aż nagle ujrzał przed sobą wrota z brązu, poczuł powiew chłodnego pustynnego wiatru i ukazały mu się gwiazdy oraz oblana ich blaskiem pustynia, na którą kładł się olbrzymi cień piramidy. Thothmekri w milczeniu wskazał na pustynię, a potem zawrócił i bezszelestnie odszedł w mrok. Conan spoglądał w ślad za cicho oddalającą się postacią, kroczącą w ciemność bezgłównym, pewnym krokiem kogoś, kto podąża na spotkanie nieuchronnej zguby lub wraca w objęcia wiecznego snu.

Z przekleństwem na ustach Cymeryjczyk wypadł przez odrzwia i pognał pustynią, jakby ścigały go demony. Nie oglądał się ku piramidzie czy czarnym wieżom Khemi, mającym nad piaskami. Kierując się na południe, do wybrzeża, biegł jak człowiek ogarnięty niepoahamowaną paniką. Gwałtowny wysiłek oczyścił jego umysł z czarnych pajęczyn; pustynny wiatr wywiał z duszy koszmara, a odraza zmieniła się w uczucie szalonego triumfu, jeszcze nim pustynia ustąpiła miejsca płataninie bagiennej roślinności, przez którą dojrzał

czarne wody zatoczki i stojącego na kotwicy „Śmiałka”.

Skoczył w gąszcz i brnął po pas w grzęzawisku; nie zważając na rekiny czy krokodyle, dał nura w głębszą wodę i podpłynął do galery. Drapał się po łańcuchu kotwicznym na pokład, gdy ociekającego i uradowanego zauważyła wachta.

— Zbudźcie się, psy! — ryknął, odpychając włócznie, którą zaskoczony wartownik wymierzył w jego pierś. — Podnieść kotwicę! Dać temu rybakowi hełm pełen złota i wysadzić na brzeg! Wnet nadejdzie świt, a przed wschodem słońca musimy ruszyć do najbliższego portu Zingary!

I pomachał nad głową olbrzymim klejnotem, który rzucał na pokład plamy złotego blasku.

POWSTANIE Z PROCHU ACHERON

Zima minęła w z Akwilonii. Liście okryły gałęzie drzew, a świeża trawa uśmiechała się pod dotknięciem ciepłych wiatrów z południa. Jednak wiele pól leżało ugorem i wiele poczerńiałych kopczyków popiołu znaczyło miejsca, gdzie niegdyś wznosiły się wspaniałe rezydencje lub kwitnące miasta. Wilki otwarcie polowały wzdłuż zarosłych trawą dróg, a szajki wychudłych, bezdomnych ludzi przekradały się lasami. Tylko w Tarantii widziało się uczy, bogactwo i przepych.

Valerius rządził jak ogarnięty szaleństwem. Nawet wielu baronów, którzy początkowo byli zadowoleni z jego powrotu, w końcu zbuntowało się przeciw niemu. Jego poborcy podatkowi łupili jednako bogatych i biednych, a bogactwa łupionego królestwa płynęły do Tarantii, która teraz mniej przypominała stolicę, a bardziej twierdzę zdobywców w podbitym kraju. Kupcom dobrze się wiodło, lecz było to niepewne powodzenie, gdyż zaden nie znał dnia, w którym jego dobra zostaną skonfiskowane, a on sam, oskarżony na podstawie zmyślonych dowodów o zdradę, skończy w lochu lub na katowskim pniu.

Valerius nie usiłował zjednać sobie poddanych. Utrzymywał się u władzy dzięki

nemedyjskim żołdakom i gotowym na wszystko najemnikom. Wiedział, że jest marionetką Amalryka. Zdawał sobie sprawę z tego, iż władza jedynie z łaski Nemedyczyka i że nigdy nie uda mu się zjednoczyć Akwilonii pod własnym berłem i uwolnić się od jarzma; zewnętrzne prowincje będą bowiem opierać mu się do ostatniej kropli krwi. Nemedycjycy zaś strącą go z tronu przy jakiegokolwiek próbie scalenia królestwa. Wpadł we własne sidła. Gorycz urażonej dumy zżerała mu duszę, więc rzucił się w wir hulank jak człowiek, który żyje z dnia na dzień, nie zaprzatając sobie głowy myślami o jutrze.

A przecież w jego szaleństwie była pewna metoda, zamysł tak subtelny, że nie odgadł go nawet Amalryk. Może dzikie, szalone lata tułaczki napełniły go przechodzącym ludzkie pojecie rozgoryczeniem. Może pogarda dla swej obecnej pozycji przekształciła tę gorycz w pewien rodzaj szaleństwa. W każdym razie żył tylko jednym pragnieniem: aby zniszczyć wszystkich swych sprzymierzeńców.

Wiedział, iż jego władza skończy się w chwili, gdy Amalryk dopnie swego; wiedział też, iż dopóki będzie gnębił swoich poddanych, dopóty Nemedyczyk będzie tolerował jego rządy, gdyż Amalryk pragnął zdeptać Akwilonię, całko wicie t zniszczyć jej niezależność, a na koniec zagarnąć ją dla siebie, za pomocą ogromnej fortuny odbudować na swój sposób i wykorzystać jej lud oraz zasoby do wydarcia nemedyjskiej korony z rąk Tarascusa. Bowiem ostatecznym celem Amalryka był tron imperatora — i Valerius o tym wiedział. Nie był tylko pewien, czy Tarascus to podejrzenia, lecz król Nemedii aprobował poczynania Valeriusa.

Tarascus nienawidził Akwilonii nienawiścią zrodzoną w długich wojnach. Pragnął jedynie zniszczenia zachodniego sąsiada.

A Valerius zamierzał zniszczyć Akwilonię tak doszczętnie, aby nie mogła jej odbudować nawet fortuna Amalryka. Nienawidził barona równie mocno, jak ten Akwilończyków i żywił

tylko nadzieję, iż doczeka dnia, gdy Akwilonia legnie w ruinie, a Tarascus i Amalryk rozpętają rozpaczliwą wojnę domową, która równie kompletnie zniszczy Nemedię.

Był przekonany, że podbój nadal stawiających opór prowincji — Gunderlandii, Poitain oraz bossońskiego pogranicza — zakończy jego panowanie, ponieważ w ten sposób odegrałby rolę wyznaczoną przez Amalryka i stałby się niepotrzebny. Tak więc zwlekał z podbojem tych prowincji, ograniczając się do bezcelowych wypadów i najazdów oraz zbywając ponaglenia Amalryka wszelkimi możliwymi wymówkami i wykrętami.

Jego życie było nieustannym ciągiem uczt i dzikich hulanek. Zgromadził w swoim pałacu najpiękniejsze dziewczęta królestwa, za ich zgodą lub bez niej. Błuźnił bogom i w złotej koronie padał spity jak bela na posadzkę biesiadnej sali, plał miąć winem królewską purpurę szat. W napadach krwiożętej furii ozdabiał szubienice na rynku festonami ciał, dostaci czał

nieustannego zajęcia katowskim toporom i słał swą nemeą dyjską jazdę, by grabiła i paliła kraj. Doprowadzona do szaleństwa ludność raz po raz wzniecała krwawo tłumione bunty.

Valerius plądrował, gwałcił, grabił i niszczył, aż nawet nie znajacy zamiarów sprzymierzeńca Amalryk zaczął protestować, ostrzegając, że nieodwracalnie zrujnuje królestwo.

Zarówno w Akwilonii, jak i w Nemedii rozprawiano o szaleństwie króla, jednak w Nemedii wiele mówiono też o Xaltotunie — człowieku w masce. Niewielu jednak widziało go na ulicach Belverusu. Powiadano, że spędza sporo czasu w górach, na osobliwych naradach z niedobitkami prastarej rasy; ciemnoskórym, milczącym ludem podającym się za potomków mieszkańców jakiegoś starożytnego królestwa. Szeptano o bębnach dudniących wśród uspiionych wzgórz, ogniach płonących w ciemności, dziwnych śpiewach niesionych wiatrem, osobliwych zaklęciach i rytuałach, co zapomnianej wiele wieków temu przetrwały jedynie jako bezsensowne formuły mamrotane przy ogniskach górskich wiosek, którzyci mieszkańcy osobliwie różnili się od mieszkańców dolin.

Nikt nie znał powodów owych spotkań oprócz Orastess, który, z coraz chmurniejszą twarzą, często towarzyszył Pythonijczykowi.

Jednak w pełni wiosny w ginącym królestwie rozniosła się wieść, która ożywiła kraj.

Niczym łagodny wietrzyk nadeszła z południa, budząc pogrążony w bezgranicznej apatii i rozpaczycy lud. Nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd się naprawdę wzięła. Jedni mówili o dziwnej, posępnej staruszce z rozwianym włosiem, która z wielkim szarym wilkiem kroczącym jak pies u jej u boku zeszła z gór. Inni szeptali o kapłanach Asury, którzy jak nieuchwytnie zjawy przemykali od Gunderlandii aż po Poitain i leśne wioski Bossonii.

Jakkolwiek rozeszła się ta wieść, powstanie na pograniczu wybuchło jak pożar. Wysunięte nemedyjskie garnizony brano szturmem i wybijano do nogi, atakowano oddziały

zaopatrzeniowe; zachód chwycił za broń i ten bunt miał inny charakter niż poprzednie —

rozpacz ustąpiła miejsca wściekłej determinacji i ukierunkowanemu gniewowi. Powstał nie tylko prosty lud; baronowie umacniali swe zamki i wypowiadali posłuszeństwo gubernatorom prowincji. Na pograniczu widziano przemieszczające się oddziały Bossończyków — krępych, dzielnych wojowników w łuskowych półpancerzach i stalowych hełmach, uzbrojonych w łuki. Z bezładu, upadku i ruiny wyłaniało się nagle nowe królestwo — pulsujące życiem i groźne. Tak więc Amalryk posłał po Tarascusa, który przybył na czele armii.

W królewskim pałacu w Tarantii obaj królowie oraz Amalryk dyskutowali o powstaniu. Nie posłali po Xaltotuna, zajętego tajemniczymi badaniami w nemedyjskich górach. Od czasu tego krwawego dnia w dolinie Valkii ani razu nie poprosili o jego magiczną pomoc, on zaś usunął się na bok, rzadko się z nimi spotykając, pozornie obojętny wobec ich intryg.

Nie posłali też po Orastesę, jednak ten przybył, biały jak piana gnana sztormem. Stał w komnacie o złotym sklepieniu, w której królowie odbywali naradę, a oni ze zdumieniem spostrzegli jego błędny wzrok i lęk, o jaki nigdy by go nie podejrzewali.

— Jesteś strudzony, Orastesie — rzekł Amalryk. — Usiądź na sofie, a ja każę niewolnikowi przynieść ci dzban wina. Miałeś ciężką podróż...

Orastes zbył zaproszenie machnięciem ręki.

— Gnając z Belverusu, zajeździłem trzy konie. Nie napiję się i nie spocznę, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia.

Krążył tam i z powrotem po komnacie, jakby jakiś wewnętrzny ogień nie pozwalał mu stać w bezruchu, a od czasu do czasu przystawał przed zdumionymi kompanami.

— Kiedy posłużyliśmy się Sercem Arymana, aby przywrócić życie zmarłemu — rzekł

nagle — nie rozważyliśmy konsekwencji poruszenia czarnych pyłów przeszłości. Moja to wina i mój grzech. Myśleliśmy jedynie o naszych ambicjach, zapominając o ambicjach, jakie może mieć ten człowiek. I wypuściliśmy na świat demona, szatana o naturze niepojętej dla zwykłych śmiertelników. Głęboko pogąrzyłem się w grzechu, lecz są pewne granice, których ani ja, ani żaden człowiek mojej rasy i czasów nie przekroczy. Moi przodkowie byli zwykłymi ludźmi, bez demonicznych skłonności; to tylko ja zstąpiłem w otchłanie, ale mogę grzeszyć jedynie w granicach mojej własnej osobowości. Za Xaltotunem stoi tysiąc stuleci czarnej magii i demonologii, starożytna tradycja występku. Nie jesteśmy w stanie ogarnąć go umysłem nie tylko dlatego, że jest czarnoksiężnikiem, ale i dlatego, iż jest synem ludu czarnoksiężników. Widziałem rzeczy, które poraziły mą duszę. W sercu uspiionych gór patrzyłem, jak Xaltotun obcuje z potępionymi duszami i wzywa prastare demony

zapomnianego Acheronu. Zobaczyłem przeklętych potomków tego przeklętego imperium, którzy oddają mu cześć i nazywają swoim arcykapłanem. Widziałem, co knuje i powiadam wam: ni mniej, ni więcej, tylko wskrzeszenie starożytnego, mrocznego, potwornego królestwa Acheronu!

— O czym ty mówisz? — pytał Amalryk. — Acheron rozpadł się w pył. Nie przetrwało tyłu jego potomków, aby mogli stworzyć imperium. Nawet Xaltotun nie zdoła wskrzesić prochu sprzed trzech tysięcy lat.

— Mało wiecie o jego ciemnych mocach — odparł ponuro Orastes. — Widziałem jak pod wpływem jego zaklęć nawet góry przybierały obcy, pradawny kształt. Dostrzegłem, niczym cienie rzeczywistości, niewyraźne kształty i zarysy dolin, lasów, wzgórz i jezior nie takich, jakimi są dzisiaj, lecz w tej mrocznej przeszłości — a nawet bardziej wyczułem, niż zobaczyłem purpurowe wieże Pythonu migoczące jak kłęby mgły o zmierzchu. A podczas ostatniej wyprawy, w której mu towarzyszyłem, w końcu pojąłem sens jego magii, gdy dudniły bębny, a podobni bestiom wyznawcy wyli, posypując głowy popiołem. Powiadam wam; on wskrzesi Acheron mocą swej magii, czarem gigantycznej ofiary krwi, jakiej ludzkie oczy nie widziały. Zniewoli świat i powodzią krwi zmyje teraźniejszość, aby wskrzesić przeszłość!

— Jesteś szalony! — wykrzyknął Tarascus.

— Szalony? — Orastes zwrócił na niego zmęczone spojrzenie. — Czy ktoś, kto widział to, co ja, może pozostać przy zdrowych zmysłach? A jednak mówię prawdę. On zmierza do przywrócenia Acheronu z jego wieżami, czarownikami, królami i potwornościami, takiego samego jak przed wiekami. Potomkowie Acheronczyków staną się kamieniem węgielnym tej budowy, ale to ciała i krew ludzi dzisiejszego świata posłużą mu za cegły i zaprawę. Nie mogę wam wyjaśnić, jak to uczyni. W głowie mi się kręci, gdy próbuję to pojąć. Jednak sam widniałem! Acheron znów będzie Acheronem i nawet góry, lasy oraz rzeki przybiorą swą dawniejszą postać. Dlaczego nie? Jeśli ja, z moim skromnym zasobem wiedzy, zdołałem wskrzesić człowieka nieżywego od trzech tysięcy lat, czemu największy czarnoksiężnik świata nie mógłby uczynić tego samego z królestwem martwym od trzech tysiącleci? Na jego rozkaz powstanie z prochu Acheron.

— Jak możemy temu zapobiec? — spytał przejęty Tarascus.

— Jest tylko jeden sposób — odparł Orastes. — Musimy ukraść Serce Arymana!

— Przecież ja... — zaczął odruchowo Tarascus, lecz natychmiast zamknął usta.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, a Orastes ciągnął:

— To siła, której możemy użyć przeciw niemu. Mając ją w ręku, mogę stawić mu czoła.

Tylko jak zdołamy je ukraść? Ukrył je w jakimś sekretnym miejscu, skąd nawet zamorański złodziej nie zdoła go wykraść. Nie wiem, gdzie je ukrył. Gdyby tylko znów zasnął snem czarnego lotosu... ale ostatni raz zażył go po bitwie pod Valkią, gdy był strudzony potężnym czarem, jaki tam rzucił, i...

Drzwi zostały zamknięte i zaryglowane, lecz teraz otwarły się cicho i stanął w nich Xaltotun

— chłodny i opanowany, gładził swą długą brodę; lecz oczy płonęły mu piekielnym ogniem.

— Zbyt wiele cię nauczyłem — rzekł spokojnie, wskazując na Orastesa palcem, niczym zwiastun zagłady. I nim ktokolwiek zdołał się poruszyć, cisnął garść pyłu pod nogi kapłana, który stał jak

skamieniały. Pył buchnął płomieniem; cienka smuga niebieskiego dymu uniosła się spiralą, spowijając Orastesę. Gdy sięgnęła jego ramion, nagle z szybkością atakującego węża owinęła się wokół jego szyi. Wrzask Orastesę przemienił się w charkot. Poderwał ręce do szyi, wytrzeszczając oczy i wywalając język na brodę. Dym dusił go jak błękitny stryczek; potem rozwiał się i zniknął, a martwy Orastes osunął się na posadzkę.

Xaltotun klasnął w dłonie i do komnaty weszli dwaj mężczyźni, których często widywano w towarzystwie czarnoksiężnika — niscy, odrażająco ciemnoskórzy, o czerwonych skośnych oczach i ostrych, szurzących zębach. Bez słowa chwycili trupa i wynieśli go.

Skwitowawszy sprawę machnięciem ręki, Xaltotun usadowił się za stołem z kości słoniowej, przy którym siedzieli pobledli królowie.

— Nad czym radzicie? — zapytał.

— Akwilończycy wzniesli powstanie na zachodzie — odparł Amalryk, dochodząc do siebie po okropnym szoku, jaki wywołała u niego śmierć Orastesę. — Ci głupcy sądzą, że Conan żyje i nadchodzi na czele poitańskiej armii, aby odzyskać swoje królestwo. Gdyby pojawił się zaraz po bitwie pod Valkią lub gdyby wtedy rozeszła się pogłoska o tym, że żyje, środkowe prowincje nie powstałyby, obawiając się twojej potęgi. Jednak okrutne rządy Valeriusa doprowadziły ich do takiej desperacji, że są gotowi pójść za każdym, kto może ich zjednoczyć przeciw nam, i że wolą szybką śmierć od tortur i nieustannej nędzy. Oczywiście, wieść o tym, że Conan nie został zabity pod Valkią nieustannie krążyła po kraju, ale dopiero ostatnio lud w nią uwierzył. Pallantides wrócił z wygnania w Ophirze i przysięga, iż król tego dnia leżał chory w namiocie, a jego zbroję miał na sobie jeden z jego rycerzy, zaś giermek, który dopiero co doszedł do siebie po otrzymanym pod Valkią ciosie maczugą, potwierdza tę historię — zgodnie z prawdą lub nie. Po kraju wędruje jakaś starucha z oswojonym wilkiem, rozgłaszając, iż król Conan nadal żyje i pewnego dnia wróci, aby odzyskać swoje królestwo.

A ostatnio ci przekłęci kapłani Asury śpiewają tę samą śpiewkę. Twierdzą, że w jakiś tajemniczy sposób otrzymali wiadomość, iż Conan wraca po swoją koronę. Nie mogą złapać ani ich, ani staruchy. Na pewno to sztuczka Trocera. Moi szpiedzy donoszą mi, że są niepodważalne dowody na to, iż Poitańczycy szykują się do inwazji na Akwilonię. Sądzę, że Trocero sprowadzi jakiegoś samozwańca, którego okrzyknie Conanem.

Tarascus zaśmiał się, lecz bez przekonania. Ukradkiem pomacał bliznę pod kaftanem i przypomniał sobie kruki wysłane śladem zbiega; wspomniał przywiezione z pogranicznych gór ciało swego giermka, Arideusa, straszliwie zmasakrowane przez — wedle słów przerażonych żołnierzy — olbrzymiego, szarego wilka. Jednak pamiętał też o czerwonym klejnocie, skradzionym ze złotej szkatuły śpiącemu czarnoksiężnikowi, więc nie odezwał się słowem.

Valerius przypomniał sobie przerażającą opowieść umierającego szlachcica i czterech Khitajczyków, którzy przepadli w labiryntach południa i nigdy już nie wrócili. Jednak trzymał

język za zębami, gdyż nienawiść i podejrzliwość wobec sprzymierzeńców gryzły go jak robak i

niczego bardziej nie pragnął, jak ujrzeć buntowników oraz Nemedyczyków zdychających razem w śmiertelnym starciu. Tylko Amalryk zawołał:

— To absurd sądzić, że Conan żyje!

W odpowiedzi Xaltotun rzucił na stół rulon pergaminu. Amalryk porwał zwój i przebiegł spojrzeniem. Z ust księcia wyrwał się okrzyk wściekłości. Przeczytał:

„Do Xaltotuna, wielkiego szarlatana Nemedii. Acheroński psie, wracam do mego królestwa i zamierzam powiesić twoją skórę nad kominkiem. Conan.”

— Fałszerstwo! — krzyknął Amalryk. Xaltotun pokręcił głową.

— Pismo jest prawdziwe. Porównałem je z królewskimi edyktami znalezionymi w kancelarii. Nikt nie podrobi tych zamaszystych gryzmołów.

— Zatem jeśli Conan żyje — mruknął Amalryk — powstanie będzie inne od poprzednich; ponieważ tylko on może zjednoczyć Akwilończyków. Jednak — oponował książę — to niepodobne do Conana. Dlaczego miałyby budzić naszą czujność takimi przechwałkami?

Należałoby raczej oczekiwać, że uderzy bez ostrzeżenia, na sposób barbarzyńców.

— I tak zostalibyśmy ostrzeżeni — zauważył Xaltotun. — Nasi szpiedzy uprzedzili nas o przygotowaniach Poitainczyków do wojny. Nie zdołałby w tajemnicy przeprawić się przez góry, więc w typowy dla siebie sposób rzuca mi wyzwanie.

— Dlaczego tobie? — pytał Valerius. — Dlaczego nie mnie albo Tarascusowi?

Xaltotun skierował na niego swe nieprzeniknione spojrzenie.

— Conan jest mądrzejszy od was — rzekł w końcu. — On wie już to, czego wy, królowie, dopiero musicie się nauczyć — że nie Tarascus, nie Valerius ani nawet nie Amalryk, lecz Xaltotun jest prawdziwym władcą zachodnich narodów.

Nic nie odrzekli; siedzieli w milczeniu, ogłuszeni paraliżującą świadomością prawdziwości tego stwierdzenia.

— Nie ma dla mnie innej drogi jak ta wiodąca do imperialnego tronu — rzekł Xaltotun. —

Jednak najpierw musimy zniszczyć Conana. Nie mam pojęcia, jak umknął mi w Belverusie, gdyż nie jest mi dana wiedza o tym, co działo się, kiedy leżałem pogrążony we śnie czarnego lotosu. Wiem, że teraz przebywa na południu, zbierając armię. To jego ostatni, desperacki cios, możliwy tylko dzięki rozpaczemu ludu cierpiącego pod rządami Valeriusa. Niech powstaną; trzymam ich wszystkich w garści. Zaczekamy, aż na nas ruszy, a potem zgnieciemy go raz na zawsze. Później rozniesiemy Poitain, Gunderlandię i tych głupich Bossończyków. Potem Ophir, Argos, Zingarę, Koth — wszystkie narody

świata scalimy w jedno ogromne imperium. Będziecie rządzić jako moi namiestnicy, potężniejsi od dzisiejszych królów. Ja jestem niepokonany, gdyż Serce Arymana zostało ukryte i żaden człowiek nie zdoła go użyć przeciw mnie.

Tarascus unikał spojrzenia Xaltotuna, by ten nie odczytał jego myśli. Wiedział, że czarnoksiężnik nie zajrzał do złotej szkatuły z rzeźbami śpiących węży, od kiedy schował w niej serce. Jakkolwiek dziwne by się to wydawało, Xaltotun nie miał pojęcia, że Serce zostało skradzione; dziwny klejnot znajdował się poza kręgiem jego mrocznej wiedzy i nawet niesamowite zdolności maga nie ostrzegły go, że puzdro jest puste. Tarascus nie sądził, by Xaltotun znał wszystkie rewelacje przekazane im przez Orastesa, gdyż nawet nie wspomniał o wskrzeszeniu Acheronu, a tylko o budowaniu nowego, ziemskiego imperium. Tarascus sądził, iż Xaltotun nie jest jeszcze zupełnie pewny swej potęgi; tak jak oni potrzebowali jego pomocy w realizacji swych ambicji, tak samo on potrzebował ich. Magia, przynajmniej w pewnym stopniu, była uzależniona od ciosów mieczów i pchnięć włóczni. Król zrozumiał ukradkowe spojrzenie Amalryka: niech czarnoksiężnik użyje swej sztuki, aby pomóc im pokonać ich najgroźniejszego wroga. Przyjdzie czas, aby rozprawić się z Xaltotunem. Może jeszcze znajdzie się sposób, aby okpić tę mroczną siłę, którą wskrzesili.

ZŁOWIESZCZE WERBLE

Wojna stała się faktem, gdy dziesięcioletnia armia Poitain z powiewającymi

sztandarami, wśród błysków stali przekroczyła południowe przełęcz. A na jej czele, przysięgali szpiedzy, jechała olbrzymia postać w czarnej zbroi, z haftowanym złotem, królewskim lwem Akwilonii na jedwabnym płaszczu. Conan żył! Król żył! Teraz w ludzkich sercach, zarówno przyjaciół, jak i wrogów, nie pozostała już żadna wątpliwość.

Razem z wieścią o inwazji z południa dotarła wiadomość, przyniesiona przez pędzących dniem i nocą kurierów, że jazda Gunderlandii, wzmocniona przez baronów z północnego zachodu i Bossończyków z północy, posuwa się na południe. Tarascus pomaszerował z trzydziestoma tysiącami wojska do Galparanu nad rzeką Shirki, którą Gundermani musieli przekroczyć, aby uderzyć na miasta wciąż znajdujące się w rękach Nemedyczyków. Shirki była bystrą, wzburzoną rzeką rwącą na południowy zachód skalistymi przełomami i kanionami i armia mogła ją o tej porze roku sforsować tylko w kilku miejscach, bowiem rzeczny nurt aż po brzegi wezbrał od stopionych śniegów. Cały kraj na wschód od Shirki kontrolowali Nemedycy, więc wydawało się logicznym założenie, iż Gundermani spróbują przepłynąć się albo przy Galparan, albo przy leżącym dalej na południe Tanasul. W

każdej chwili oczekiwano posiłków z Nemedii, aż przysłała wieść, że król Ophiru urządza wrogie demonstracje na południowych rubieżach Nemedii, tak więc wysłanie następnych oddziałów oznaczałoby narażanie królestwa na inwazję z południa.

Amalryk i Valerius opuścili Tarantię z dwudziestoma pięcioma tysiącami wojska, zostawiając na czas swej nieobecności możliwie najliczniejszy garnizon do tłumienia buntów w miastach. Chcieli napotkać i rozetrzeć na proch Conana, zanim dołączą doń buntownicy z całego królestwa.

Wprawdzie król wraz z Poitainczykami przepłynął się przez góry, ale nie doszło do żadnych większych starć, ataków na miasta czy fortece. Conan pojawił się i zniknął. Najwidoczniej skręcił na zachód i przez dzikie, słabo zaludnione pogórze wkroczył na bossońskie pogranicze, zbierając po drodze ochotników. Amalryk i Valerius ze swą jazdą złożoną z Nemedyczyków, akwilońskich renegatów i dzikich najemników wściekli krążyli po kraju, szukając nieuchwytnego nieprzyjaciela.

Amalryk przekonał się, iż nie jest w stanie zdobyć żadnych wieści o ruchach Conanowych oddziałów, a tylko mętne pogłoski. Podjazdy ruszały, by nigdy nie wrócić, a widok ukrzyżowanego na dębie szpiega nie należał do rzadkości. Wieś powstała i uderzała tak, jak walczy prosty lud i chłopstwo — gwałtownie, zabójczo i skrycie. Jedyne, czego Amalryk był

pewien, to tego, że znaczne siły Gundermanów i północnych Bossończyków znajdują się gdzieś przed nim na północy, za Shirki, a Conan z mniejszą armią Poitainczyków i południowych Bossończyków jest gdzieś na południowym zachodzie.

Zaczął się obawiać, że jeśli pójdą z Valeriusiem dalej w głąb tej dzikiej krainy, Conan może im się

wymknąć i ominąwszy ich, zaatakować centralne prowincje. Amalryk wycofał się z doliny Shirki i rozbił obóz na równinie, o dzień drogi od Tanasul. Tam czekał. Tarascus pozostał pod Galparan, gdyż obawiał się, iż manewr Conana miał na celu zwabić go na południe i otworzyć Gundermanom drogę do królestwa przez bród na północy.

Xaltotun przybył do obozowiska Amalryka swym rydwanem ciągniętym przez

niesamowite, nie znające zmęczenia konie i wszedł do namiotu, w którym baron naradzał się z Valeriuszem nad mapą rozłożoną na obozowym stoliku z kości słoniowej.

Xaltotun zgniótł mapę i cisnął ją na ziemię.

— To, czego nie mogli dowiedzieć się wasi zwiadowcy — rzekł — powiedzieli mi moi szpiedzy, choć są to wieści dziwnie mgliste i niepełne, jakby działały przeciw mnie jakieś niewidzialne moce. Conan posuwa się wzdłuż Shirki z dziesięcioma tysiącami

Poitaińczyków, trzema tysiącami południowych Bossończyków oraz lennikami baronów z zachodu i południa w sile pięciu tysięcy ludzi. Trzydziestotysięczna armia Gundermanów i północnych Bossończyków idzie im na spotkanie z północy. Utrzymują łączność

tajemniczymi sposobami przeklętych kapłanów Asury, którzy najwyraźniej występują przeciw mnie i których po bitwie rzucę na pożarcie wężom — i przysięgam na Seta! Obie armie kierują się ku przeprowie pod Tanasul, lecz nie sądzę, aby Gundermani mieli forsować rzekę, Sądzę, iż to raczej Conan przejdzie bród i dołączy do nich.

— Dlaczego Conan miałby przechodzić przez rzekę? — zapytał Amalryk.

— Ponieważ odwleknięcie bitwy jest dla niego korzystne. Im dłużej zwleka, tym staje się silniejszy, a my słabsi. W górach? po drugiej stronie rzeki roi się od ludzi całkowicie oddanych; jego sprawie — wyrzutków, wygnańców, uciekinierów zbiegłych przed

okrucieństwem Valeriusa. Z całego królestwa pojedynczo i grupkami ciągną ludzie, aby przyłączyć się do jego armii. Codziennie nasze oddziały wpadają w zasadzki i są wycinane w pień przez wieśniaków. W centralnych prowincjach wzbierają niepokoje, które niebawem przerodzą się w otwarty] bunt. Garnizony, które tam pozostawiliśmy, nie wystarczają; a na razie nie możemy liczyć na posiłki z Nemedii. W tym zamieszaniu na ophirskiej granicy widzę rękę Pallantidesa. On ma krewnych w Ophirze. Jeśli szybko nie rozprawimy się z Conanem, na naszych tyłach wybuchnie powstanie. Musielibyśmy wówczas wycofać się do Tarantii, aby ocalić dotychczasowe zdobycze; a więc musielibyśmy przebijać się przez: ogarnięty buntem kraj, z Conanem depczącym nam po piętach, a potem wytrzymać oblężenie stolicy, mając nieprzyjaciela zarówno za murami, jak i w mieście. Nie, nie możemy zwlekać. Musimy zniszczyć Conana, zanim jego armia stanie się zbyt silna i zanim powstaną centralne prowincje. Zobaczycie, jak szybko upadnie bunt, kiedy jego głowa zawiśnie nad bramą Tarantii.

— Dlaczego nie rzucisz klątwy na całą jego armię i nie zabijesz ich wszystkich? — spytał

na pół drwiąco Valerius.

Xaltotun spojrział na Akwilończyka tak jakby do końca zgłębił złośliwe szaleństwo drzemiące w tych upartych oczach.

— Nie obawiaj się — rzekł wreszcie. — Moje fortele zmiążdżą w końcu Conana, jak obcas depcze jaszczurkę. Jednak nawet magia wymaga pomocy pik i mieczów.

— Jeśli przeprawi się przez rzekę i zajmie pozycje w Górach Goraliańskich, trudno będzie go wyprzeć — stwierdził Amalryk. — Lecz jeżeli dopadniemy go w dolinie po tej stronie rzeki, możemy go pokonać. Jak daleko Conan ma do Tanasul?

— Maszerując w dotychczasowym tempie, powinien dotrzeć do przeprawy jutro w nocy.

Jego ludzie są wytrzymali, a on gna ich ostro. Powinien przybyć tu przynajmniej dzień wcześniej niż Gundermani.

— Dobrze! — Amalryk rąbnął pięścią w stół. — Mogę dotrzeć do Tanasul przed nim.

Wyślę Tarascusowi wiadomość, żeby do mnie dołączył. Nim przybędzie, odetnę Conana od przeprawy i rozbiję go. Potem razem z Tarascusem przejdziemy rzekę i rozprawimy się z Gundermanami.

Xaltotun niecierpliwie potrząsnął głową.

— To dość dobry plan, gdybyś miał do czynienia z kimkolwiek innym, ale nie z Conanem.

Twoje dwadzieścia cztery tysiące wojska to za mało, aby zniszczyć jego osiemnaście tysięcy przed nadejściem Gundermanów. Będą się bić z zaciekłością ranionych panter. A jeśli Gundermani przybędą w trakcie bitwy? Zostaniesz wzięty w dwa ognie i zniszczony, zanim zdoła nadciągnąć Tarascus. Dotrze do Tanasul za późno, aby ci pomóc.

— Cóż zatem robić? — spytał Amalryk.

— Rusz przeciw Conanowi z całą swą siłą — odparł człowiek z Acheronu. — Wyślij do Tarascusza gońca z rozkazem,

żeby tu do nas dołączył. Zaczekamy na niego. Potem razem pomaszerujemy pod Tanasul.

— Ale kiedy będziemy czekać — protestował Amalryk — Conan znajdzie się na drugim brzegu i dołączy do Gundermanów.

— Conan nie przekroczy rzeki — odpowiedział Xaltotun. Amalryk poderwał głowę i spojrział w nieprzeniknione czarne oczy maga.

— Co masz na myśli?

— Załóżmy, że daleko na północy, u źródeł Shirki, spadłyby ulewne deszcze? Załóżmy, że rzeka tak by wezbrała, iż przeprawa pod Tanasul byłaby niemożliwa? Czy nie moglibyśmy wtedy poprowadzić całą naszą armię z taką szybkością, z jaką zechcemy, dopaść Conana po tej stronie rzeki i zniszczyć go, a potem, kiedy wody opadną — co, jak sądzę, nastąpi na drugi dzień — przeprowić się i rozbić Gundermanów? W ten sposób moglibyśmy użyć wszystkich naszych wojsk przeciw każdej z mniejszych armii po kolei.

Valerius skwitował jego słowa śmiechem, jakim zawsze witał perspektywę upadku przyjaciela czy wroga, i nerwowo przesunął dłonią po zmierzwionych płowych kędziorach.

Amalryk spojrział na Acheronczyka z mieszaniną strachu i podziwu.

— Jeśli dopadniemy Conana w dolinie Shirki, gdzie będzie miał góry po prawej, a wezbraną rzekę po lewej — przyznał — wszystkimi naszymi siłami możemy zmieść go z powierzchni ziemi. Czy myślisz... Czy jesteś pewien... czy sądzisz, że takie deszcze spadną?

— Idę do mego namiotu — odparł Xaltotun, wstając. — Czarów nie czyni się, wymachując różdżką. Pchnij gońca do Tarascusa. I niech nikt nie zbliża się do mojego namiotu.

Ten ostatni rozkaz nie był potrzebny. Za żadne pieniądze w całej armii nie znalazłoby się człowieka, który podszedłby do tego tajemniczego namiotu z czarnego jedwabiu o zawsze zaciągniętych połach. Nikt prócz Xaltotuna nigdy tam nie wchodził, a jednak często słyszano dobiegające ze środka głosy; w bezwietrzną pogodę jego ściany wydymały się czasem i z głębi dochodziła niesamowita muzyka. Czasami w środku nocy czerwone płomienie

podświetlały od wewnątrz jedwabne ściany, rysując przemieszczające się tam i z powrotem, zniekształcone sylwetki.

Leżąc tej nocy w swoim namiocie, Amalryk słyszał w kwaterze Xaltotuna rytmiczny łoskot bębna, który dudnił rytmicznie, i Nemedyczyk mógłby przysiąc, że od czasu do czasu z pulsującym łoskotem mieszał się głęboki, chrapliwy głos. Baron drżał wówczas, bo wiedział, iż ten głos nie należy do Xaltotuna. Bęben pomrukiwał basowo jak grzmot słyszany z daleka; Amalryk, wyjrzawszy z namiotu przed świtem, dostrzegł czerwone migotanie błyskawic na północnym horyzoncie. Pozostałe części nieboskłonu były oświetlone jasnymi gwiazdami.

Jednak tam dalekie błyskawice migotały bezustannie, jak szkarłatny odblask ognia na maleńkim, wirującym ostrzu.

Nazajutrz o zachodzie słońca Tarascus dotarł ze swym wojskiem, zakurzonym i utrudzonym forsownym marszem. Piechota przybyła kilka godzin po jeździe. Rozłożyli się na równinie opodal Amalrykowego obozowiska, a o świcie połączone siły ruszyły na zachód.

Przodem zostały wysłane liczne oddziały zwiadowców i Amalryk niecierpliwie

wyczekiwał, aż wrócą z wieściami o Poitainczykach schwytanych w potrzask przez rwący nurt. Jednak zwiadowcy powrócili do głównych sił z wiadomością, iż Conan przekroczył

rzekę!

— Co takiego? — wrzasnął Amalryk. — Czy przeprowił się przed powodzią?

— Nie było żadnej powodzi — odparli zdziwieni zwiadowcy. — Późną nocą Conan dotarł do Tanasul i przerzucił armię za rzekę.

— Nie było powodzi? — wykrzyknął Xaltotun, po raz pierwszy w obecności Amalryka zbity z tropu. — Niemożliwe! Tej i poprzedniej nocy w górnym biegu Shirki padały potężne deszcze!

— To możliwe, wasza lordowska mość — odparł zwiadowca. — Istotnie, woda zmętniała, a mieszkańcy Tanasul mówią, że od wczoraj jej poziom podniósł się może o stopę; ale to nie wystarczyło, żeby zapobiec przeprowie.

Czary Xaltotuna zawiodły! Ta myśl tłukła się w mózgu Amalryka. Jego lęk przed tym dziwnym człowiekiem z przeszłości nieustannie narastał od tamtej nocy w Belverusie, gdy ujrzał, jak brązowa, pomarszczona mumia pęcznieje i staje się żywym mężczyzną. Śmierć Orasteses zmieniła skrywany lęk w otwarte przerażenie. Amalryk w głębi serca był

przeświadczony, że ten człowiek — czy demon — jest niezwyciężony. A przecież teraz otrzymał niepodważalny dowód jego niepowodzenia.

Jednak nawet największym czarnoksiężnikom czasem coś się nie uda, myślał baron. W

każdym razie, on nie ośmieli się stawić czoła Acheronczykowi — przynajmniej teraz. Orastes nie żył, smażąc się w Mitra wie jakim bezimiennym piekle, zaś Amalryk wiedział, że jego miecz na nic się nie zda tam, gdzie zawiodła czarna magia kapłana — renegata.

Nieodgadniona przyszłość kryła na razie przerażające okropności knute przez Xaltotuna.

Natomiast Conan ze swą armią stanowił realne zagrożenie, wobec którego czarnoksiężski kunszt Acheronczyka mógł się okazać niezwykle użyteczny.

Przybyli do Tanasul, małej, ufortyfikowanej wioski stojącej w miejscu, gdzie wypiętrzenie skał tworzyło naturalny most nad rzeką, przejezdny zawsze prócz okresów największych powodzi. Zwiadowcy przynieśli wieści, że Conan zajął pozycję w Górach Goraliańskich, wznoszących się kilka mil za rzeką. Tuż przed zachodem słońca dołączyli doń Gundermani.

Amalryk patrzył na Xaltotuna, nieprzeniknionego i obcego w blasku płonących pochodni.

Wokół zapadła noc.

— I co teraz? Twoje czary zawiodły. Conan czeka na nas z armią niemal tak liczną jak nasza i ma przewagę pozycyjną. Musimy wybierać z dwojga złego: albo obozować i czekać na atak, albo wycofać się do Tarantii i oczekiwać na posiłki.

— Czekanie grozi klęską — odparł Xaltotun. — Przejdźcie rzekę i rozbijcie obóz na równinie. Uderzymy o świcie.

— Ale jego pozycja jest zbyt mocna! — wykrzyknął Amalryk.

— Głupcze! — w przyływie gniewu czarnoksiężnik zrzucił maskę spokoju. — Czyś już zapomniał o Valkii? Masz mnie za bezsilnego tylko dlatego, że jakiś kaprys żywiołów zapobiegł powodzi? Zaplanowałem, że wasze włócznie zniszczą naszych wrogów, lecz nie obawiaj się — to mój kunszt rozniesie ich armię. Conan wpadł w pułapkę. Nie ujrzy już następnego wschodu słońca. Przeprowadźcie się przez rzekę!

Przeprowadzili się przy świetle pochodni. Końskie kopyta dudniły po skalnym moście i rozpryskiwały wodę na mieliznach. Czerwone błyski pochodni na tarczach i puklerzach odbijały się w czarnych wodach rzeki. Kamienny most był szeroki, lecz dopiero dobrze po północy armia stanęła obozem na równinie. W oddali widzieli płonące wysoko ognie. Conan zajął pozycje w Górach Goraliańskich, które nie raz już służyły za ostatni bastion oporu akwilońskim królom.

Amalryk opuścił swoją kwaterę i niespokojnie krążył po obozowisku. W namiocie

Xaltotuna migotała upiorna poświata i od czasu do czasu demoniczny wrzask przerywał ciszę, wtórując cichemu, złowieszczemu odgłosowi bębna, który raczej pomrukiwał, niż dudnił.

Amalryk, instynktem wyostrzonym przez noc i okoliczności, przeczuwał, że Xaltotun ma przeciw sobie coś więcej niż jedynie fizyczną siłę. Opadły go wątpliwości co do potęgi czarnoksiężnika. Zerknął na palące się wokół ogniska i jego twarz ściągnął ponury grymas.

Wraz ze swą armią znalazł się w głębi wrogiego kraju. Tam, pośród tych wzgórz, czaiły się tysiące półdzikich postaci o sercach i duszach pozbawionych wszelkich uczuć i nadziei, prócz szalonej nienawiści wobec najeźdźców i obłąkańczej żądzy zemsty. Klęska oznaczała unicestwienie, odwrót przez wrogi kraj rojący się od żądnych krwi nieprzyjaciół. A rankiem ma rzucić swą armię przeciw najstraszliwшему wojownikowi ludów zachodu i jego zdesperowanej hordzie. Jeśli Xaltotun i teraz zawiedzie...

Z mroku wyłoniło się pół tuzina zbrojnych. Blask ognisk migotał na ich puklerzach i hełmach. Na pół prowadzili, na pół wlekli wychudłą postać w łachmanach.

Zasalutowali i zameldowali:

— Panie, ten człowiek sam oddał się w nasze ręce i powiedział, że chce mówić z królem Valeriuszem. To Akwilończyk.

Wyglądał raczej jak wilk — wilk naznaczony zębami potrzasku. Na przegubach i kostkach nóg miał szramy, jakie mogły pozostawić tylko obręcze kajdan. Wielkie znamię, wypalone rozżarzonym żelazem, zniekształcało mu twarz. Jego oczy jarzyły się jak węgle spod zmierzwionych włosów, gdy przygięty do ziemi stał przed baronem.

— Kim jesteś, parszywy psie? — zapytał Nemedyczyk.

— Zwij mnie Tiberiasem — odparł tamten, szczękając zębami w mimowolnym skurczu. —

Przyszedłem powiedzieć wam, jak schwytać w pułapkę Conana.

— Zdrajca, tak? — zagrział baron.

— Powiadają, że masz złoto — bełkotał obdartus, trzęsąc się jak liść. — Daj mi trochę! Daj mi trochę, a powiem wam, jak pokonać króla!

Jego szeroko otwarte oczy były szkliste, a wyciągnięte, odwrócone dłonie przypominały drżące szpony.

Amalryk z niesmakiem wzruszył ramionami. Jednak żadne narzędzie nie było dlań zbyt plugawe, jeśli dzięki niemu miał dopiąć celu.

— Jeśli mówisz prawdę, otrzymasz więcej złota niż zdołasz unieść — rzekł. — Jeśli jesteś szpiegiem, każę cię ukrzyżować głową w dół. Prowadźcie go tu.

W namiocie Valeriusa baron wskazał na skulonego i otulającego się łachmanami mężczyznę.

— On mówi, że zna sposób, jak nam pomóc w jutrzejszej bitwie. Jeśli plan Xaltotuna nie powiedzie się i tym razem, będziemy potrzebowali pomocy. Gadaj, psie.

Ciało mężczyzny skręcały dziwne konwulsje. Słowa wydobywały się bełkotliwym potokiem.

— Conan rozbił obóz w Dolinie Lwów. Ma ona kształt wachlarza otoczonego stromymi urwiskami. Jeśli zaatakujecie go jutro rano, będziecie musieli pomaszerować w głąb doliny.

Nie zdołacie wspiąć się na otaczające ją skały. Jeśli jednak król Valerius raczy skorzystać z mojej pomocy, przeprowadzę go przez góry i pokażę, jak może uderzyć na Conana od tyłu.

Jeżeli ma to nastąpić, musimy wyruszyć niebawem. Mamy przed sobą kilka godzin jazdy, gdyż trzeba pojechać parę mil na zachód, później na północ, a potem skręcić na wschód, żeby dostać się do Doliny Lwów od tyłu, tak jak dotarli tam Gundermani.

Amalryk wahał się, tarmosząc podbródek. W tych czasach zamętu nie było trudno znaleźć ludzi gotowych sprzedać własną duszę za kilka sztuk złota.

— Jeśli mnie zwodzisz, zginiesz — rzekł Valerius. — Wiesz o tym, prawda?

Mężczyzna zadygotał, lecz nie spuścił oczu.

— Zabij mnie, jeśli cię zdradzę!

— Conan nie odważyłby się podzielić swoich sił — zastanawiał się Amalryk. — Będzie potrzebował wszystkich swych ludzi, aby odeprzeć nasz atak. Nie może wysłać żadnych oddziałów, aby zastawiły zasadzki w górach. Ponadto ten nędznik wie, że całość jego skóry zależy od tego, czy zaprowadzi nas tam, gdzie obiecał. Czy taki pies poświęciłby własne życie? Bzdura! Nie, Valeriusie, sądzę, że to uczciwy człowiek!

— Albo złodziej większy od innych, bo gotów sprzedać swego wyzwoliciela — zaśmiał się Valerius. — Doskonale. Pójdę za tym psem. Ilu ludzi możesz mi dać?

— Pięć tysięcy powinno wystarczyć — odparł Amalryk. — Niespodziewany atak na ich tyły narobi zamieszania, a to mi wystarczy. Będę oczekiwał twojego ataku około południa.

— Zobaczysz, kiedy uderzę — odparł Valerius.

Wróciwszy do swej kwatery, Amalryk stwierdził z ulgą, że Xaltotun wciąż przebywa w swoim namiocie, sądząc po mrozących krew w żyłach wrzaskach, od czasu do czasu przerywających nocną ciszę. Gdy w końcu usłyszał w ciemności szczęk stali i pobrzękiwanie uprzęży, uśmiechnął się ponuro. Valerius właściwie zrobił już swoje. Baron wiedział, że Conan jak ranny lew nawet w agonii kąsa i szarpie. Gdy Valerius uderzy nań od tyłu, Cymeryjczyk rozpaczliwym kontratakiem może zniszczyć nieprzyjaciela, zanim sam padnie.

Tym lepiej. Amalryk czuł, że może doskonale obejść się bez Valeriusa, gdy tylko ten utoruje drogę do nemedyjskiego zwycięstwa.

Pięć tysięcy jazdy towarzyszącej Valeriusowi składało się w większości z zahartowanych w bojach akwilońskich renegatów. W ciszy rozgwieżdżonej nocy wyruszyli z uspiętego obozu, kierując się na zachód, wzdłuż wielkich, czarnych masywów, piętrzących się na tle nieba. Na czele jechał Valerius, a przy nim Tiberias z uwiązany do nadgarstka rzemieniem dzierzonym przez zbrojnego. Inni, z dobytymi mieczami trzymali się w pobliżu.

— Spróbuj sztuczek, a umrzesz w mgnieniu oka — przypomniał Valerius. — Nie znam każdej owczej ścieżki w tych górach, ale na tyle znam ukształtowanie terenu, by wiedzieć, w jakim kierunku powinniśmy zdążać, aby wyjść na tyły Doliny Lwów. Uważaj, żebyś nie wywiódł nas na manowce.

Tiberias potrząsnął głową i zaszczekał zębami, z zapalem zapewniając władcę o swoim oddaniu i głupkowato popatrując na powiewający nad nimi sztandar starej dynastii ze złotym węzem.

Omijając kraniec wzgórz otaczających Dolinę Lwów, szerokim łukiem skręcili na zachód.

Po godzinie jazdy skierowali się na północ, pnąc się przez dzikie, poszarpane góry ledwie widocznymi, krętymi ścieżkami. Wschód słońca zastał ich kilka mil na północny zachód od obozowiska Conana i tu przewodnik skręcił na wschód, prowadząc wojowników przez labirynt głązów i turni. Valerius skinął głową, oceniwszy pozycję wedle kilku szczytów, wystających nad inne. Przez cały czas orientował się w terenie i wiedział, że wciąż zmierzają w dobrym kierunku.

Jednak teraz, bez ostrzeżenia, szara, wełnista masa napłynęła kłęбами z północy, zasnuwając zbocza i rozchodząc się po dolinach. Przysłoniła słońce; świat zmienił się w szarą otchłań, w której widzialność była ograniczona do kilku kroków. Marsz zmienił się w męczącą wędrówkę na oślep. Valerius zaklął. Nie widział już szczytów służących mu za drogowskazy. Musiał całkowicie polegać na zdradzieckim przewodniku. Złoty wąż zwisał w nieruchomym powietrzu.

Teraz i Tiberias wyglądał na zbitego z tropu; przystanął i niepewnie rozejrzał się wokół.

— Zgubiłeś drogę, psie? — spytał ostro Valerius.

— Słuchaj!

Gdzieś z przodu dobiegał słaby, wibrujący dźwięk — rytmiczny pomruk bębna.

— Werble Conana! — zawołał Akwilończyk.

— Jeśli jesteśmy tak blisko, że słyszymy bębny — rzekł Valerius — to czemu nie słysząc krzyków i szczęku oręża? Bój musiał się już zacząć.

— Wąwozy i wiatry płatają dziwne figle — odparł Tiberias, szczękając zębami jak w febrze, co często zdarza się ludziom, którzy wiele czasu spędzili w wilgotnym lochu. —

Posłuchaj!

Do ich uszu doleciał cichy, zduszony ryk.

— W dolinie trwa już bitwa! — krzyknął Tiberias. — Bębny biją na wzniesieniach.

Spieszmy się!

I ruszył, kierując się wprost na dźwięk dalekich werbli, jak ktoś, kto w końcu pojął, gdzie się znajduje. Valerius podążył za nim, przeklinając mgłę. Nagle przyszło mu do głowy, że ukryje ona jego oddział. Conan go nie zobaczy. Spadnie Cymeryjczykowi na kark, zanim światło dnia rozproszy opary.

Teraz nie zdołałby stwierdzić, co znajduje się po bokach — urwiska, gąszcz czy wąwozy.

Bębny dudniły nieustannie, coraz głośniejsze, w miarę jak posuwali się dalej, ale nie słysząc było zgiełku bitwy. Valerius nie miał pojęcia, w jakim kierunku podążają. Wzdrygnął się, ujrawszy szare skalne ściany wylaniające się po obu stronach z tumanów mgły i pojął, że jadą przez wąski parów. Jednak przewodnik nie okazywał śladu zdenerwowania i Valerius odetchnął z ulgą, gdy ściany rozstały się na boki, znikając we mgle. Przeszli przez przesmyk; gdyby zmierzali w pułapkę, zastawiono by ją właśnie tu.

Lecz nagle Tiberias ponownie przystanął. Werble dudniły głośniejsze i Valerius nie potrafił

określić, skąd dobiega ich dźwięk. Raz wydawało mu się, że z przodu, raz z tyłu, to znów że z lewej

lub z prawej. Valerius rozejrzał się niecierpliwie ze swego wierzchowca; wokół niego kłębiły się gęste opary, a zbroja uzurpatora lśniła od wilgoci. Za jego plecami długa kolumna zakutych w stal jeźdźców niknęła w szarych kłębach jak korowód widm.

— Czemu zwlekasz, psie? — zapytał przewodnika.

Ten zdawał się wsłuchiwać w upiorne dudnienie. Powoli wyprostował się w siodle, odwrócił głowę i z przerażającym uśmiechem na ustach spojrzął w oczy Valeriusowi.

— Mgła rzednie, Valeriusie — rzekł zmienionym głosem, wyciągając kościsty palec. —

Patrz!

Bęben zamilkł. Mgła szybko opadała. Najpierw nad szarymi chmurami ukazały się wierzchołki gór. Tuman spełzał niżej i niżej, rzedniejąc i blednąc. Valerius stanął w strzemionach i wydał okrzyk, powtórzony przez pięć tysięcy gardzieli. Ze wszystkich stron otaczały ich skalne urwiska. Nie znajdowali się, jak sądzili, w rozległej otwartej dolinie.

Tkwili w skalnym kotle, otoczonym stromymi urwiskami wysokimi na kilkaset metrów.

Jedynym wejściem i wyjściem był wąski parów, przez który się tu dostali.

— Psie! — Valerius uderzył Tiberiasa w usta zakutą w stal pięścią. — Co to za diabelska sztuczka?

Tiberias splunął krwią i zaniósł się straszliwym śmiechem.

— Sztuczka, która uwolni świat od bestii! Patrz, psie! Valerius ponownie krzyknął, bardziej z gniewu niż ze strachu.

Wylot kotliny blokowała okropna zgraja ludzi, stojących nieruchomo jak posągi — setki obdartych, kudłatych mężczyzn z włóczniami w dłoniach. A wysoko na skałach pojawili się inni — tysiące wychudłych, groźnych postaci o twarzach naznaczonych ogniem, stałą i głodem.

— To podstęp Conana! — szalał Valerius.

— Conan nic o tym nie wie — zaśmiał się Tiberias. — To spisek wyrzutków, ludzi, których zrujnowałeś i zmieniłeś w zwierzęta. Amalryk miał rację. Conan nie rozdzielił swych sił.

Jesteśmy tylko ciągnącą za jego wojskiem hałastrą, wilkami skradającymi się przez te góry, ludźmi bez domu i bez nadziei. To był nasz plan, a kapłani Asury wspomogli nas mgłą.

Spójrz na nich, Valeriusie! Każdy nosi twój znak — na ciele albo na sercu! Popatrz na mnie!

Nie znasz mnie, tak? A co powiesz o tym znamieniu, wypalonym przez twego kata? Kiedyś mnie znałeś. Kiedyś byłem panem Amilius, człowiekiem, którego synów zamordowałeś, którego córkę twoi żołdacy zgwałcili i zabili. Powiedziałeś, że nie poświęciłbym się, żeby wciągnąć cię w

pułapkę? Wszechmocni bogowie, gdybym miał nawet tysiąc żywotów, oddałbym je wszystkie, byle kupić twą zagładę! I kupiłem ją! Spójrz na ludzi, których przywiodłeś do nędzy, cienie ludzi, co niegdyś żyli jak królowie! Nadeszła ich godzina! Ten wąż stanie się twym grobem. Spróbuj wspiąć się na skały; są wysokie i strome. Spróbuj się stąd wyrwać: włócznie zagrodzą ci drogę, zmiażdżą cię spadające głazy! Psie! Zaczekam na ciebie w piekle!

I odrzuciwszy głowę w tył, ryknął śmiechem, który zdawał się wstrząsać skałami. Valerius przechylił się w siodle i zamachnął swym wielkim mieczem, rozcinając obojczyk i pierś.

Broczący krwią Tiberias runął na ziemię, wciąż dławiąc się upiornym śmiechem.

Znów odezwały się bębny, otaczając kotlinę głuchym dudnieniem; z góry runął grad kamieni, a przenikliwy świst nawały nadlatujących strzał zagłuszył wrzaski konających.

DROGA DO ACHERONU

Świt białiał już niebo na wschodzie, gdy Amalryk podciągnął swe wojska do wylotu Doliny Lwów. Dolinę otaczały niskie, strome szczyty o płaskich wierzchołkach, a jej dno pięło się łagodnie ciągiem naturalnych, nieregularnych tarasów. Na najwyższym z nich zajęła pozycję armia Conana, oczekując ataku. Oddziały maszerujące z Gunderlandii, które jako ostatnie dołączyły do jego sił, nie składały się wyłącznie z oszczepników. Razem z nimi przybyło siedem tysięcy bossońskich łuczników, a cztery tysiące baronów i ich lenników z północy oraz z zachodu powiększyło szeregi konnicy.

Pikinierzy stali zwartym klinem w wąskim końcu doliny. Było ich” dziewiętnaście tysięcy, w większości Gundermanów, chociaż blisko cztery tysiące pochodziło z innych prowincji Akwilonii. Na obu skrzydłach mieli po pięć tysięcy bossońskich łuczników. Za szeregami pikinierów stali jezdni z uniesionymi kopiami — dziesięć tysięcy rycerzy z Poitain oraz dziewięć tysięcy Akwilończyków, baronów i ich lenników.

Zajmowali mocną pozycję. Nie można jej było oskrzydlić, gdyż oznaczałoby to wspinaczkę po stromych skałach bronionych przez strzały i miecze Bossończyków. Conan ulokował obóz bezpośrednio za ich wojskami w wąskiej, przepaścistej kotlinie, stanowiącej przedłużenie Doliny Lwów, lecz położonej nieco wyżej. Cymeryjczyk nie obawiał się ataku od tyłu, gdyż w górach roilo się od bezgranicznie oddanych mu uchodźców i zubożałej szlachty.

Jednakże pozycję tę jednakowo trudno było zdobyć, jak wycofać się z niej. Była jednocześnie pułapką i fortecą, ostatnim bastionem zdesperowanych ludzi, którzy nie liczyli na to, że przeżyją inaczej niż jako zwycięzcy. Jedyna droga odwrotu’ wiodła przez wąską dolinę na tyłach.

Xaltotun wspiał się na wierzchołek po lewej stronie doliny, w pobliżu jej szerokiego wylotu. Ten szczyt wznosił się wyżej| od innych, a nazywano go Królewskim Ołtarzem — z przyczyn dawno już zapomnianych. Te powody znał tylko Xaltotun, którego pamięć sięgała trzy tysiące lat wstecz.

Nie był sam. Towarzyszyli mu dwaj milczący, kudłaci słudzy, posępni i ciemnoskórzy, niosąc młodą Akwilonkę ze spętanymi rękami i nogami. Położyli ją na wieńczącym szczyt wzgórza kamieniu, dziwnie podobnym do ołtarza. Stał tu przez wiele wieków, ulegając działaniu żywiołów, aż wielu zwątpiło, by był czymś więcej niż tylko osobliwie uformowanym głazem. Lecz czym był w istocie i dlaczego go tu umieszczono, Xaltotun pamiętał z dawnych czasów. Dwaj towarzysze maga odeszli, przygarbieni jak milczące gnomy, i Xaltotun z rozwianą na wietrze brodą został sam przy kamiennym ołtarzu, spoglądając w dolinę.

Obejmował wzrokiem zarówno dolinę Shirki, jak i góry zamykające Dolinę Lwów. Widział

błyszczący, stalowy klin stojący na najwyższym tarasie, hełmy łuczników’ migoczące wśród głazów i zarośli, nieruchomych jeźdźców siedzących na bojowych rumakach, powiewające nad nimi proporczyki oraz las sterczących kopii.

Patrząc w przeciwną stronę, ujrzał połyskujące stalą, długie szeregi Nemedyczyków, wkraczających w dolinę zwartym szykiem. Za nimi różnobarwne ozdobne namioty lordów i rycerzy oraz szare namioty zwykłych wojowników tworzyły obozowisko sięgające prawie do samej rzeki.

Niczym rzeka stali nemedyjska armia wlewała się w dolinę pod łopoczącym w górze wielkim szkarłatnym smokiem. Pierwsi równymi szeregami kroczyli kusznicy, którzy nieśli na pół uniesione kusze z napiętymi cięciwami, trzymając palce na spustach. Dalej pikinierzy, a za nimi prawdziwa siła armii — konni rycerze z proporczykami furkoczącymi na wietrze i uniesionymi kopiami, jadący na swych ogromnych rumakach niczym na wystawny bankiet.

Wyżej, na zboczu, mniej liczebna akwilońska jazda stała w posępnym milczeniu.

Nemedyjskiego rycerstwa było trzydzieści tysięcy i — jak u większości hyboryjskich nacji

— stanowili oni chlubę i ostrze armii. Piechota miała jedynie oczyścić drogę dla pancernej jazdy. Pieszych było dwadzieścia jeden tysięcy pikinierów i kuszników.

Ci ostatni, nie rozrywając szyku, jęli strzelać w marszu, ze I świstem i brzękiem miotając swoje bełty. Jednak pociski albo nie dolatywały do celu, albo bezsilnie grzechotały po wysokich tarczach Gundermanów. A zanim kusznicy zdążyli dojść na i odległość

skutecznego rażenia, strzały Bossończyków zaczęły zbierać straszliwe żniwo w ich szeregach.

Po nieudanej próbie odpowiedzenia równie celnym ogniem nemedyjscy kusznicy rozpoczęli bezładny odwrót. Ich lekkie pancerze nie dawały żadnej ochrony przed długimi strzałami Bossończyków. Zachodnich łuczników kryły zarośla i skały. Co więcej, nemedyjska piechota nie wykazywała takiego morale jak jazda, wiedząc, iż używa się jej tylko po to, by utorowała drogę rycerstwu.

Kusznicy wycofali się, a ich miejsce w szyku zajęli pikinierzy. Ci składali się przeważnie z najemników, których wodzowie poświęcali bez najmniejszych skrupułów. Zamierzano pod ich osłoną podciągnąć jazdę na odległość umożliwiającą sku teczną szarżę. Tak więc kusznicy prowadzili z dużej odległości: ostrzał ze skrzydeł, a pikinierzy ruszyli wprost w grad padających z góry strzał, mając za sobą rycerzy.

Gdy pikinierzy zaczęli chwiać się pod straszliwą nawałnicą pocisków spadających na nich ze stoków, rozległ się dźwięk trąbki, kompanie rozbiegły się na prawo i lewo, a w powstałą wyrwę runęło rycerstwo.

I wpadło wprost w chmurę świszczącej śmierci. Długie strzały znajdowały każdą szczelinę w pancerzach jeźdźców i czaprakach rumaków. Wspinające się na trawiaste tarasy konie stawały dęba i waliły się w dół, pociągając za sobą jeźdźców. Odziane w stal postacie zasłały ziemię. Szarża załAmala się i cofnęła się.

Amalryk przeformował oddziały u wylotu doliny. Tarascus walczył z mieczem w ręku pod sztandarem ze szkarłatnym smokiem, lecz to baron Tor dowodził tego dnia armią. Amalryk zaklął, widząc las kopii sterczących za plecami Gundermanów. Miał nadzieję, że odwrót zachęci Conanowe

rycerstwo do szarzy w dół stoku, podczas której zostałyby ono zdziesiątkowane z obu skrzydeł przez kuszników i pochłonięte przez liczniejszą nemedyjską jazdę. Jednak tamci nawet nie drgnęli. Ciury obozowe przynosiły bukłakami wodę z rzeki. Rycerze zdejmowali hełmy i ocierali spocone czoła. Ranni na zboczach daremnie wołali pić. W górze doliny strumienie dostarczały wody obrońcom. Armia Conana nie cierpiała pragnienia w tym długim, gorącym wiosennym dniu.

Z Królewskiego Ołtarza, obok pradawnego, rzeźbionego głazu, Xaltotun spoglądał na przyływy i odpływy stalowej fali. Ruszyli rycerze, z powiewającymi pióropuszcami i nastawionymi kopiami. Przeorali świszczącą chmurę strzał, by jak grmiąca fala rozbić się o najeżoną włóczniami ścianę tarcz. Nad zdobnymi w pióra hełmami uniosły się i opadły topory, włócznie uderzyły w górę, powalając konie i jeźdźców. Gundermani nie ustępowali dumą rycerzom. Nie traktowano ich jako mięso bitewne, poświęcane dla chwały lepszych od siebie. Byli najlepszą piechotą na świecie, o tradycji czyniącej ich morale niewzruszonym.

Królowie Akwilonii już dawno poznali wartość nieustraszonej piechoty. Jej szyki trwały nieugięte; nad lśnącymi szeregami powiewał sztandar ze złotym lwem, a na samym ostrzu klina gigantyczna postać w czarnej zbroi ryczała, szalejąc jak huragan i rozcinając okrwawionym toporem żelazo, ciało, kości.

Nemedycyzy walczyli z męstwem, jakiego wymagało od nich tradycyjne uwielbienie odwagi. Jednak nie byli w stanie rozerwać żelaznego klina, a strzały słane z porośniętych krzakami stoków na obu flankach bezlitośnie przerzedzały ich szeregi. Ich strzelcy byli bezużyteczni, a pikinierzy nie mogli wspiąć się na zbocza, aby związać walką Bossończyków.

Powoli, opornie, w ponurym milczeniu, posępni rycerze cofali się, licząc straty. Stojący w górze Gundermani nie wznosili okrzyków triumfu. Zwarli szyki, wypełniając luki po poległych towarzyszach. Pot spływał im na twarze spod żelaznych hełmów. Ściskali włócznie i czekali, czując wzbierającą w dzikich sercach dumę, że oto sam król walczy pieszo w ich szeregach. Akwilońscy rycerze za ich plecami nawet nie drgnęli. Siedzieli na swych rumakach w posępnym bezruchu.

Bodąc ostrogami spienionego wierzchowca, nemedyjski rycerz wjechał na szczyt zwany Królewskim Ołtarzem i obrzuciwszy Xaltotuna rozgoryczonym spojrzeniem, rzekł:

— Amalryk kazał mi powiedzieć, iż nadszedł czas, byś użył swej magii, czarnoksiężniku.

Tam, w dolinie, giniemy jak muchy. Nie możemy rozerwać ich szeregów.

Xaltotun zdawał się rosnąć, potężnieć, stawał się groźniejszy i straszliwszy.

— Wracaj do Amalryka — odrzekł. — Powiedz mu, żeby przegrupował wojska do ataku i czekał na mój znak. Zanim go otrzyma, zobaczy coś, co zapamięta do końca swego życia!

Rycerz jakby wbrew własnej woli oddał mu honory i na złamanie karku pognął w dół

zbocza.

Xaltotun stał przy czarnym kamieniu ofiarnym i spoglądał w dolinę na zabitych i martwych na

tarasach, na posępną, okrwawioną piechotę akwilońską i zakurzone stalowe szeregi przegrupowujące się u wylotu doliny. Spojrzał w niebo, a potem na wiotką, białą postać leżącą na ciemnym kamieniu. I uniósłszy ozdobiony starożytnymi hieroglifami sztylet, zaintonował prastare zaklęcie:

— Secie, boże ciemności, łuskowaty panie mroku, przez krew dziewicy i siedmioraki znak przyzywam twych synów z głębi czarnej ziemi! Dzieci otchłani spod ziemi czerwonej i czarnej, zbudźcie się i wstrząśnijcie straszliwymi cieniami przodków! Niech zatrzęsą się skały i głązy runą na mych wrogów! Niech pociemnieją niebiosa nad ich głowami, a ziemia niechaj zakołysze się pod ich stopami. Niech podmuch z serca czarnej ziemi zakłębi się pod ich nogami, niech szernieją i skurczą się...

Nagle urwał, wciąż unosząc sztylet. W pełnej napięcia ciszy słyhać było tylko niesiony wiatrem z doliny ryk obu armii.

Po drugiej stronie ołtarza stał mężczyzna w czarnej szacie, której kaptur ocieniał delikatną, bladą twarz i spokojne, pełne zadumy, ciemne oczy.

— Psie Asury! — szepnął Xaltotun głosem przypominającym syk rozwścieczonej żmii. —

Czyś jest szalony, że szukasz zguby? Do mnie, Baalu, Chironie!

— Zawołaj jeszcze raz, acheronński psie! — rzekł tamten ze śmiechem. — Wołaj ich, a głośno. Nie usłyszą, chyba że twoje wrzaski sięgną piekieł!

Z kępy zarośli na skraju grani wyszła posępna staruszka w wieśniaczym stroju;

rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, a wielki szary wilk kroczył u jej boku.

— Wiedźma, kapłan i wilk — mruknął ponuro Xaltotun i roześmiał się. — Głupcy, mierzyć swe szarlatańskie sztuczki z moją sztuką! Jednym machnięciem ręki zmiotę was z mojej drogi!

— Twój kunszt jest tyle wart co źdźbła trawy na wietrze, pythonijski kundlu — odparł

kapłan Asury. — Czy zastanawiałeś się, dlaczego Shirki nie wylała i nie uwięziła Conana na drugim brzegu? Gdy ujrzałem w nocy błyskawice, pojąłem twój plan i rozpędziłem chmury, nim zdołały rzucić swe brzemie. Nawet nie wiedziałeś, że nie udało ci się sprowadzić deszczu.

— Kłamiesz! — wrzasnął Xaltotun, lecz w jego głosie nie było już pewności siebie. —

Czułem, że przeciwstawia mi się potężna moc — lecz żaden człowiek na świecie nie jest w stanie odczynić raz rzuconego deszczowego zaklęcia, jeśli nie posiadał samego źródła magii.

— Jednak zaplanowana przez ciebie powódź nie nastąpiła — odparł kapłan. — Spójrz na swych sprzymierzeńców w dolinie, Pythonijczyku! Powiodłeś ich na rzeź! Wpadli w potrzask i nie zdołasz im pomóc! Patrz!

Wskazał ręką. Z wąskiego parowu w górze doliny, za Poitainczykami, wypadł jakiś jeździec,

wywijając nad głową czymś, co błyszczało w słońcu. Jak szalony gnał w dół między szeregami Gundermanów, którzy wydali potężny ryk, łomocząc włóczniami o tarcze, aż echo poszło po górach. Jeździec gwałtownie osadził spienionego rumaka na tarasie, wrzeszcząc jak opętany i wymachując czymś nad głową. Był to strzęp szkarłatnego sztandaru; słońce krzesło oślepiające błyski ze złocistych łusek wijącego się na nim złotego węża.

— Valerius nie żyje! — zawołał dźwięcznym głosem Hadrathus. — Mgła i bęben

przywiodły go ku zgubie! Ja wywołałem tę mgłę, phytonijski psie, i ja ją rozpędziłem! Ja, za pomocą mej magii, która jest potężniejsza od twojej!

— I cóż z tego! — ryknął Xaltotun, którego gorejące oczy i konwulsyjnie wykrzywiona twarz budziły grozę. — Valerius był głupcem. Nie potrzebuję go. Mogę zniszczyć Conana bez ludzkiej pomocy!

— Czemuś więc zwlekał? — drwił Hadrathus. — Czemu pozwoliłeś tylu sprzymierzeńcom paść od strzał lub włóczni wroga?

— Ponieważ przelew krwi wspomaga wielką magię! — zagrzmiał Xaltotun głosem, od którego zatrzęśły się skały. Wokół jego straszliwej głowy pojawił się posępny nimb. —

Ponieważ żaden czarnoksiężnik nie trwoni bezmyślnie swych sił. Ponieważ chciałem zachować moją moc na wielkie dni, które dopiero nadejdą, a nie marnotrawić je na drobne potyczki. Jednak teraz, na Seta, wykorzystam je w pełni! Patrz, psie Asury, fałszywy kapłanie lichego bożka, a zobaczysz widok, który na zawsze pozbawi cię zmysłów!

Hadrathus odrzucił głowę w tył i roześmiał się, a był to straszliwy śmiech.

— To ty popatrz, czarny diable z Pythonu!

Jego dłoń wynurzyła się z fałd togi, trzymając coś, co płonęło i jarzyło się w słońcu, zmieniając blask dnia w pulsującą, złotą poświatę, w której ciało Xaltotuna przybrało trupią barwę.

Acherończyk wrzasnął jak pchnięty sztyletem.

— Serce! Serce Arymana!

— Tak! Oto moc potężniejsza od twojej!

Xaltotun zdawał się kurczyć i starzeć w oczach. Nagle posiwiała mu broda, a szron przyprószył włosy na skroniach.

— Serce! — bełkotał. — Ukradłeś je! Psie! Złodzieju!

— Nie ja! Odbyło długą podróż, daleko na południe, lecz teraz jest w moich rękach i twa czarna magia nie zdoła mu sprostać. Jak przywróciło ci życie, tak z powrotem rzuci cię w ciemność, skąd zostałeś przyzwany. Podążysz do Acheronu mroczną drogą, drogą milczenia i nocy. Ciemne imperium, nie wskrzeszone, pozostanie legendą i czarnym wspomnieniem.

Conan znowu zasiądzie na tronie, zaś Serce Arymana powróci do jaskini pod świątynią Mitry, aby płonąć przez tysiąc lat jako symbol akwilońskiej potęgi!

Xaltotun z nieludzkim wrzaskiem skoczył na Hadrathusa, unosząc sztylet, lecz skądś — może z nieba, a może z wielkiego klejnotu jarzącego się w dłoni kapłana — wystrzelił

oślepiający snop roziskrzonego, niebieskiego światła. Uderzył wprost w pierś maga i przez góry przetoczyła się potężna eksplozja. Czarnoksiężnik z Acheronu padł jak rażony gromem i jeszcze nim dotknął ziemi, zaszła w nim przerażająca zmiana. Przy ołtarzu nie leżał dopiero co zabity człowiek, a skurczona mumia, brązowy, wyschnięty, odmieniony nie do poznania trup spowity w gnijące bandażę.

Stara Zelata obrzuciła go posępnym spojrzeniem. — Nie był żywym człowiekiem —

powiedziała. — Serce obdarzyło go pozorem życia, który oszukał nawet jego. Ja zawsze widziałam w nim tylko mumię.

Hadrathus pochylił się, aby uwolnić jęczącą na ołtarzu dziewczynę, gdy spośród drzew wyłonił się osobliwy pojazd — rydwan Xaltotuna, ciągnięty przez upiorne konie.

Niesamowite rumaki bezgłośnie podjechały do ołtarza i stanęły tak, że koło rydwanu niemal dotknęło brązowego, skurczonego kształtu leżącego na trawie. Hadrathus uniósł mumię czarnoksiężnika i umieścił w rydwanie. Nieziemskie rumaki natychmiast zawróciły i ruszyły w dół zbocza, na południe. A Hadrathus, Zelata i szary wilk spoglądali za nimi — jak jadą w długą drogę do Acheronu, leżącego poza granicami ludzkiego pojmowania.

W dole Amalryk zeszywniał w siodle, gdy dostrzegł dzikiego jeźdźca, który zakosami galopował w dół doliny, wywijając nad głową okrwawionym wężowym Sztandarem. Potem jakiś instynkt kazał mu odwrócić głowę ku szczytowi znanemu jako Królewski Ołtarz. Baron rozdziawił usta. Ujrzeni to wszyscy w dolinie — łukowatą smugę oślepiającego blasku, która unosiła się z wierzchołka góry, sypiąc złotymi skrami. Wysoko nad szeregami obu armii rozpękała się w przeraźliwie jasnym błysku, który na moment przyćmił słońce.

— To nie jest znak Xaltotuna! — ryknął baron.

— Nie! To sygnał dla Akwilończyków! Spójrz!

W górze poruszyły się nieruchome dotychczas szeregi, a po dolinie przetoczył się głęboki, gardłowy ryk.

— Xaltotun nas zawiódł! — wrzeszczał z wściekłością Amalryk. — Valerius zawiódł!

Wpadliśmy w pułapkę! Niech Mitra ukarze Xaltotuna, który nas tu sprowadził! Trąbić do odwrotu!

— Za późno! — jęknął Tarascus. — Patrz!

Las kopii na stoku drgnął i pochylił się. Szeregi Gundermanów rozstały się na prawo i lewo jak

rozchylona kurtyna, po czym z gromowym łoskotem podobnym do huku

nadciągającego huraganu, akwilońscy rycerze runęli w dół zbocza.

Nic nie mogło oprzeć się impetowi tej szarży. Bełty puszczone przez rozproszonych kuszników odbijały się od tarcz i hełmów. Z łopotem pióropuszy i proporców, z

nastawionymi kopiami przelecieli po skłębionych szeregach pikinierów i niepowstrzymaną falą spadli na dolinę.

Amalryk krzykiem wezwał swe wojska do ataku i Nemedycjczycy z desperacką odwagą poderwali się do kontrataku. Nadal mieli przewagę liczebną. Jednak byli strudzeni, ich konie zmęczone i musieli szarżować pod górę. Natomiast nadciągający rycerze nie zadali dotąd ani jednego ciosu. Mieli świeże wierzchowce. Pędzili w dół z błyskawiczną szybkością. I uderzyli jak piorun w poszarpane linie Nemedycjczków — rażąc, rozbijając, rozrywając na strzępy — i pognali niedobitki na łeb na szyję po stokach.

Za nimi gonili pieszo ogarnięci żądzą krwi Gundermani, a na zboczach zaroilo się od Bossończyków, szyjących w biegu do każdego nieprzyjaciela, który jeszcze się ruszał.

Bitewna fala przewaliła się po stokach, zmywając oszołomionych Nemedycjczków. Ich kusznicy rzucili kusze i zmykali, ile sił w nogach. Tych pikinierów, którzy przeżyli niszczycielską szarżę rycerstwa, rąbali na kawałki bezlitośni Gundermani.

W chaosie i zamieszaniu bój przetoczył się przez szerokie wrota doliny na rozciągającą się za nimi równinę. Zaroilo się na niej od wojowników, ścigających i ściganych, walczących w pojedynkę i grupami rycerzy na rozszalałych, stojących dęba wierzchowcach. Nemedycjczycy niebyli w stanie na nowo zewrzeć szyków, by stawić skuteczny opór. Uciekali setkami, gnając ku rzece. Wielu dotarło do niej, przepравиło się i umknęło na wschód. Lecz cały kraj ogarnęło powstanie i lud ścigał ich jak wściekłe wilki. Nielicznym udało się dotrzeć do Tarantii.

Ostateczne rozstrzygnięcie bitwy przyszło jednak dopiero ze śmiercią Amalryka. Baron, daremnie próbując zebrać swoich ludzi, wpadł na oddział rycerzy jadących za olbrzymem w czarnej zbroi z królewskim lwem na płaszczu. Nad głową wielkoluda powiewały sztandary z akwilońskim lwem i po — itaińskim lampartem. Wysoki wojownik w lśniącej zbroi pochylił

kopię i ruszył na spotkanie barona Tor. Starli się z gromowym łoskotem. Lanca

Nemedycjczyka uderzyła w hełm nieprzyjaciela i rozerwała rzemienie oraz zapinki, strącając żelazo z głowy i odsłaniając twarz Pallantidesa. Lecz grot kopii Akwilończyka przebił tarczę i puklerz, przesywając serce barona.

Głośny krzyk przeleciał po polu, gdy Amalryk spadł z siodła, łamiąc kopię, która go przebiła, i nemedyjskie szeregi pękły, jak tama pod niepowstrzymanym naciskiem powodziowej fali. W popłochu pognali ku rzece, jak liście pędzone wiatrem. Godzina Smoka minęła.

Tarascus nie uciekał. Amalryk był maKwy, królewski chorąży zabity, a nemedyjski sztandar

wdeptany w krew i kurz. Większość jego rycerstwa umykała, ścigana przez Akwilończy — ków. Tarascus wiedział, że bitwa jest przegrana, lecz z garstką wiernych wojowników wciąż szalał po polu, mając tylko jedno pragnienie — spotkać Conana z Cymerii. I w końcu go spotkał.

Oddziały poszły w rozsypkę, zwarte szyki splątały się i zmieszały. Pióropusz Trocera powiewał na jednym krańcu równiny, proporce Pallantidesa i Prospera na drugim. Conan był

sam. Gwardziści Tarascusa padli już, jeden po drugim. Królowie spotkali się sam na sam.

Gdy podjeżdżali do siebie, koń Tarascusa zarzęził i upadł. Conan zeskoczył z siodła i podbiegł do władcy Nemedii, który wyplątał się ze strzemion i wstał. Stał oślepiająco błysnęła w słońcu, brzęknęła, trysnęły skry i Tarascus z łoskotem runął jak długi na ziemi, powalony piorunującym ciosem Conanowego miecza.

Cymeryjczyk postawił obleczoną w stal stopę na piersi wroga i uniósł miecz. Zgubił gdzieś hełm; potrząsał czarną grzywą, a niebieskie oczy błyszczały mu dawnym płomieniem.

— Poddajesz się?

— A darujesz mi życie? — spytał Nemedyjczyk.

— Tak. I to na lepszych warunkach, niż tyś mi dał. Wezmę żywcem ciebie i wszystkich twoich ludzi, którzy rzucą broń. Chociaż powinienem rozplątać ci łeb za to potworne złodziejstwo — dodał po chwili.

Tarascus wykręcił szyję i spojrzał na równinę. Resztki nemedyjskiej armii zmykały przez kamienny most, mając na karkach rój zwycięskich Akwilończyków, siekących z furią zapiekłej nienawiści. Bossończycy i Gundermani przebiegali przez nieprzyjacielskie obozowisko, rozdzierając na strzępy namioty w poszukiwaniu łupów, chwytając jeńców, rozpruwając toboły i wywracając wozy.

Tarascus zaklął soczyście i wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalało mu niewygodne ułożenie ciała.

— Znakomicie. Nie mam wyboru. Czego żądasz?

— Oddasz mi wszystko, co zdobyłeś w Akwilonii. Wydasz rozkaz, aby twoje garnizony opuściły wszystkie zajmowane miasta oraz zamki, pozostawiając broń, i wyprowadzisz swoje przekłete wojska z Akwilonii tak szybko, jak tylko to możliwe. Ponadto oddasz wszystkich Akwilończyków sprzedanych w niewolę, a oprócz tego wypłacisz odszkodowanie, którego wysokość będzie podana później, kiedy należycie oszacuje się szkody, jakie poniósł kraj w wyniku twojej okupacji. Dopóki te warunki nie zostaną spełnione, pozostaniesz w niewoli.

— Dobrze — zgodził się Tarascus. — Poddam bez oporu wszystkie zamki 4 miasta

zajmowane przez moje garnizony, a i pozostałe warunki będą dopełnione. Jakiego okupu żądasz za moją osobę?

Conan roześmiał się, zdjął stopę z okutej stałą piersi wroga, chwycił go za ramię i postawił

na nogi. Zaczął coś mówić, ale urwał na widok nadchodzącego Hadrathusa. Kapłan był jak zawsze spokojny i zatopiony we własnych myślach; szedł ostrożnie, omijając trupy ludzi i koni.

Okrwawioną dłonią Conan otarł z czoła zlepiony potem kurz. Walczył przez cały dzień, najpierw z oszczepnikami, potem w siodle, kierując szarżą. Zgubił gdzieś płaszcz, a zbroję miał zbryzganą krwią i powgniataną od ciosów mieczów, maczug i toporów. Stał, olbrzymi, pośród krwawego poboju, niczym jakiś posępny bohater pogańskiego mitu.

— Dobra robota, Hadrathusie! — zawołał gromko. — Na Krotna, rad ujrzałem twój sygnał.

Moi rycerze szaleli z niecierpliwości i wychodzili z siebie, chcąc wreszcie chwycić za miecze.

Nie powstrzymałbym ich dłużej. Co z czarnoksiężnikiem?

— Odszedł mroczną drogą do Acheronu — odparł Hadrathus. — A ja... Ja ruszam do

Tarantii. Tutaj moje dzieło skończone, a mam jeszcze coś do zrobienia w świątyni Mitry.

Tutaj zrobiliśmy już wszystko. Na tym oto polu ocaliliśmy Akwilonię — i nie tylko Akwilonię. Twój marsz do stolicy zmieni się w triumfalny pochód przez oszalały z radości kraj. Cała Akwilonia będzie wiwatować na cześć powracającego króla. Tak więc, dopóki nie spotkamy się w sali tronowej — żegnaj!

Conan w milczeniu spoglądał za odchodzącym kapłanem. Ze wszystkich stron podążali ku niemu rycerze. Ujrzał Pallan — tidesa, Trocera, Prospera i Serviusa Galannusa w zbrojach splamionych krwią. Zgiełk bitwy zmieniał się w ryk triumfu i radości. Wszystkie oczy, rozpalone walką, błyszczące uniesieniem, zwróciły się ku czarnej, ogromnej postaci króla; opancerzone ramiona wymachiwały zboczonymi ostrzami. I po poboju przetoczył się krzyk, głęboki i potężny jak fala przyboju:

— Chwała Conanowi, królowi Akwilonii!

Tarascus powiedział:

— Jeszcze nie wyznaczyłeś okupu za mnie.

Conan zaśmiał się, wsuwając miecz do pochwy. Rozprostował ramiona i przesunął zakrwawionymi palcami po gęstych kędziorach, jakby szukając odzyskanej korony.

— W twoim seraju jest dziewczyna o imieniu Zanobia.

— No tak, jest. I cóż z tego?

— Doskonale — uśmiechnął się król, jakby na szczególnie przyjemne wspomnienie. —

Ona będzie okupem za ciebie i nic poza tym. Przyjadę po nią do Belverusu, jak obiecałem. W Nemedii była niewolnicą, lecz w Akwilonii uczynię ją królową!